

Andrzej Pilipiuk

Dziedziczki

Rozdział 1

Pierwsza fala czerwcowych upałów spaliła koniuszki traw. Elektrociepłownia w Łęgu puszczała z kominów dymy, z pobliskiego osiedla dobiegał warkot silnika autobusu. Cykały świerszcze. Łąka była pusta, tylko na skraju olszyny pasły się konie. Pachniało sianem, rozgrzanym asfaltem, nadchodzącym latem.

Katarzyna mocno ujęła rękojeść bułatowej szabli wykutej przez mistrza Michała. Zerknęła na niego ukradkiem. Niestety, pogrążony w konwersacji z przyrodnikiem nie zwracał na nią uwagi. Westchnęła. Stanisława dobiła swojej batorówki. Głównie zalsniły. Agentka stanęła bokiem do przeciwniczki. Śmiercionośne ostrza, to gładkie i to, na którym różne gatunki stali tworzyły wzór przywodzący na myśl słoje drzewa, zwarły się z chrzęstem. Dziewczyny wymieniły kilka szybkich ciosów i odskoczyły. Alchemik spojrzał na nie z leciutką pobłażliwością. Znowu się starły.

- Nieźle sobie radzi ta twoja wychowanka - ocenił Arminius.

- To nie ja ją szkoliłem - wyjaśnił Sędziwój, starannie dobierając na wpół zapomniane węgierskie słowa. - Jej ojciec był prawdziwym kresowym rębajłą. Odziedziczyła po nim duży talent. Może nawet większy niż mój.

Gestem odesłał agentkę na bok. Popatrzyła na niego z urazą. Stał naprzeciw Stanisławie. Do był z pochwy długi sumatrzeński klewang. Dostarczyli do siebie, zrobił piękny zwód i uderzył tak, by wybić jej broń z ręki. A figę. Ułamek sekundy wcześniej przerzuciła batorówkę do lewej dłoni i wykonała krótkie, podstępne cięcie. Uchylił się w ostatniej chwili, uratowało go wyłącznie doświadczenie zdobyte przez stulecia machania szabłą.

Monika w błękitnej, jedwabnej bluzeczce weszła pomiędzy konie. Szkapę przerwały skubanie trawy i obserwowowały ją zaniepokojone.

- Boją się - zauważył Laszlo, postępujący za nią krok w krok. - Wyczuwają cię. Konie, psy, koty, niektórzy ludzie.

- Owce i kozy - uzupełniła. - Tylko krowy i świnię jakoś nie zwracają na mnie uwagi. Wszyscy się mnie boją, przynajmniej na początku - westchnęła. - Albo i próbują zabić. - Dotknęła palcem jego piersi.

Wspomnienie pomyłki niełatwo mijało. Zacerwienił się. I jej trudno było zapomnieć tamte chwile. Nieczęsto człowiek tak blisko ociera się o śmierć.

- Całe życie marzyła mi się taka dziewczyna jak ty - powiedział, obejmując ją delikatnie.

Fajny chłopak. Inteligentny, sympatyczny, ba, nawet przystojny. I chyba wpadła mu w oko. Pytania, które zadawała sobie przez ostatnie tygodnie, powróciły. Minęło wiele stuleci, od kiedy była z kimś związana. Może pora raz jeszcze poddać się uczuciom? Poczucie bicia serca tak silne, jakby pomiędzy żebrami trzepotał się mały ptaszek?

- Mhm... - mruknęła, odsuwając się kawałek. - I jak na złość, zamiast normalnej, miłej i ładnej Węgierki znalazłaś sobie cudzoziemkę i wampiryzkę, która do tego ma kompletnie rozregulowany zegar biologiczny. Wyglądam na piętnaście lat!

- Dla ciebie gotów jestem stać się zdeklarowanym pedofilem - zażartował. - A co do zegarów, jeśli Alchemik uzna, że jestem godzien... - Obejrzał się na mistrza Michała. - Nie będzie to dużym problemem. Czerwona tynktura umożliwi przedłużenie życia.

- Mhm... - powtórzyła. - Wyjeżdżacie? - zmieniła temat.

- Na kilka tygodni, może miesięcy - wyjaśnił. - Chciałbym... Pozwolisz, że będę do ciebie pisał listy?

- Tak. - Nie zawahała się nawet na ułamek sekundy.

- Dostanę całuska na pożegnanie?

Czasy się zmieniają, a ludzie dziczeją. A może wręcz przeciwnie, wracają do stanu naturalnego? Ale dla niej pocałunek, zwykle muśnięcie policzka wargami, to obietnica i pewna deklaracja zarazem.

- Lepiej poczekajmy z tym do twojego powrotu. - Spojrzała na niego zalotnie i uśmiechnęła się.

Konie wróciły do skubania trawy. Ulicą przejechał autobus. Zmiana. Katarzyna osuszyła rękawem spocone czoło i ponownie natarła na kuzynkę. Ta cofała się małymi kroczkami, po mistrzowsku parując i blokując jej uderzenia.

- Macie jakiś ślad? - zagadnął Sędziwój.

- Coś tak jakby - przyznał Arminius. - Nie wiem. A ty też, zdaje się, planujesz dalszą wyprawę?

- Muszę zbadać pewien ciekawy trop. Chcę sprawdzić, czy na Tajwanie, w Makao i Hong-Kongu żyją jeszcze jacyś chińscy alchemicy.

* * *

Kuchnia jest do bólu nowoczesna. Stanisława, urządzając mieszkanie, nie odmówiła sobie nabycia lodówki, zmywarki i kuchenki z płytą indukcyjną. Szafki są zupełnie zwyczajne. Ale ich zawartość już nie. W szklanych i glinianych pojemnikach zgromadziła ogromną ilość własnoręcznie suszonych ziół. Doprawia potrawy zgodnie z wymogami kuchni kresowego ziemiaństwa. Sypie dużo „korzeni”, mięso maceruje octem, marynuje w jakichś straszliwych mieszankach oliwy, pieprzu, tymianku i innych tajemniczych ingrediencji. Z Etiopii przywiozła trochę tamtejszych przypraw. Stoją w słoikach opisanych kilkoma dziwnymi alfabetami. Katarzyna przeglądała

je kiedyś, ale zdołała zidentyfikować tylko szafran i kurkumę. Alchemiczka jest też fanatyczką kiszenia. Ogórki, kapusta, czosnek, cebula - nie budzą niczyjego zdziwienia. Jednak w kamionkowych garnkach wylądowały także pomidory oraz pocięte w kostkę dynie i arbuzy. W kilku butelkach czerni się ocet balsamiczny. Zazwyczaj gospodyni używa tego najpospolitszego, kupowanego w supermarkecie, ale od święta wydobywa ze skrzynki flaszeczkę z tym specjalnym, który leżakował kolejno w beczkach z drewna dębowego, kasztanowego, wiśniowego, morwowego i z jałowca przez czterdzieści lat. Ma też ze dwadzieścia rodzajów oleju.

Jeśli zaś do robienia obiadu uda się zagonić Monikę, można przewidzieć, że nadużyje czosnku, a zapas suszonych pomidorów i śliwek ulegnie poważnemu uszczupleniu. W jej daniach aż brązowo od oliwek i papryki. Przyprawia po bałkańsku, na ostro. Laszlo i Arminius, gdy wpadli kiedyś na obiad, nie mogli wyjść z podziwu.

Wyposażenia dopełnia trochę sprzętów, które nieczęsto widuje się we współczesnej kuchni. Moździerz mosiężne i ceramiczne, miedziane rondle, prasa do sera, dzieżki do zaczyniania ciasta, małe żarna, maselnica... Do odmierzania składników służą dwie wagi, jedna szalkowa, druga to stary bezmian. Cały ten sprzęt jest sprawny i regularnie używany.

Stanisława mocniej dokręciła korbę praski. Ostatnie kilka kropli spłynęło rynienką do podstawionej szklanki. Alchemiczka uniosła zawartość i obejrzała ją pod światło. Płyn był mętny, ale kolor ją właściwie zadowolił.

- Olej orzechowy - powiedziała w zadumie jej kuzynka. - Nie prościej kupić w supermarkecie?

- Tamten jest rafinowany na gorąco, a nasz na zimno. - Monika cierpliwie tłumaczyła różnicę.

- To znaczy?

- Oj, to inna technologia. Tamten się gniece i podgrzewa, żeby wyciekł. A my tylko gniciemy i ściskamy.

- To jak z oliwą pierwszego i drugiego tłoczenia - wyjaśniła alchemiczka. - Poza tym kosztuje ździebko za drogo.

- Będziemy klarować? - zapytała księżniczka.

- E, po co? Zaraz i tak zużyjemy.

Rozgrzała tłuszcz na patelni. Rzuciła na to plastry mocno naczosnkowanej baraniny i krążki gruzińskiego sera. Niebiański zapach wypełnił mieszkanie.

- Ech, Gruzja... - Księżniczka wyjęła z lodówki dobrze schłodzoną butelkę wina Gurdjaani. - Nie byłam tam... No, będzie z dziewięćdziesiąt lat. To piękny kraj. Klasztor Sziongwime, Mcheta... A i kuchnia ciekawa.

- Tak - westchnęła Stanisława. - Ale czasem nie warto wracać w miejsca, które się ukochało. Pamiętam taki karawanseraj w Egipcie. Śliczny, mały hotelik opodal piramid, prowadzili go Koptowie. Dziś stoi tam ohydny, dziesięciopiętrowy i pięciogwiazdkowy klocek. Nawet Etiopia bardzo się zmieniła. A jak jesienią wpadłam do Kruszewic...

- Nasza rodzinna wieś? - zagadnęła agentka. Alchemiczka spojrzała na nią półprzytomnie.

- Nigdy tam nie byłam. - Katarzyna zaczerwieniła się. - Dziadek wspominał tylko, że wygonili ich w czterdziestym ósmym, jak robili kolektywizację. Trochę wygrzebałam po książkach informacji, ale w sumie nic szczególnie ciekawego...

- Z dworu pozostał już tylko fundament - powiedziała kuzynka. - Ze wsi zgoła nic. Wygląda mi na to, że kochana władza starała się zetrzeć z powierzchni ziemi każdy ślad. Dziś to tylko ruiny i skupisko baraków. Ale wzgórza się nie zmieniły. I krzaki pigwy ciągle tam rosną... - Zamyśliła się. - Nawet krzyża na wzgórzu nie uszanowali. - Wstała i podeszła do okna.

Oparła czoło o szybę i popatrzyła w ciemność. Jej plecami wstrząsnął szloch.

- Nie zostało nic, tylko jedna szabla i to, co pamiętam, garść wspomnień zamknięta w mojej głowie... - Łkała. - Wszystko, co budowaliśmy przez sześćset lat, poszło na marne.

Katarzyna podskoczyła i objęła Stasię ramieniem. Monika odwróciła się i w milczeniu pilnowała kolacji.

- Uspokój się - poprosiła agentka. - Nic na to nie poradzimy. Przepadło...

Plecy kuzynki drgnęły i nagle szloch urwał się jak ucięty nożem. Oderwała dłonie od parapetu, podeszła do ściany i zdjęła z niej szablę. Obnażyła ostrze i przez długą chwilę patrzyła na poznaczoną szczerbami stal. Zbieła się w sobie. Gdy się odwróciła, już nie płakała. Jej oczy lśniły ponurym, wewnętrznym ogniem.

- O, nie - powiedziała z zacięciem. - Nas, Kruszewskich, tak łatwo się z ojcowizny nie wyrzuca! Odzyskamy majątek. A jak się komuś nie spodoba, to nahajami pokażemy mu, gdzie jego miejsce!

- Nie przesadzaj. Jeśli ktoś będzie nam bruździł, to go ustawimy, ale nie nastawiaj się od razu na konfrontację. I nie nahajką, dziś używa się subtelniejszych metod. Zresztą i wtedy chyba nieczęsto ją stosowałaś?

- Chyba ze dwa razy. Co do metod subtelnych, już zacznij się przygotowywać.

- Tak sądzisz?

- Po prostu znam życie. Prawowici właściciele nigdzie nie są mile widziani.

Księżniczka bezszelestnie rozstawiła talerze na stole. Cmoknął korek wyrwany z szyjki butelki. Zasiadły do kolacji.

- Poważnie chcesz tam wrócić? - zapytała Katarzyna. - Odniosłam wrażenie, że lubisz raczej włóczyć się po świecie. Kilka lat tu, kilka tam. Znasz ze dwadzieścia języków, wszędzie jesteś jakby trochę u siebie...

- Ale mam dość. Takie życie jest jałowe. Poza tym ciągnęło mnie do Polski. Myślałam, że Kraków, moje ulubione miasto...

- A teraz poczułaś, że jednak...
 - Tam jest moje miejsce. Wiem, pewnie masz mnie za idiotkę, wpadłam na jakiś pomysł pięć minut temu i już chcę się brać za realizację.
 - Mnie się podoba, ale pochopne działania to szaleństwo. Sama powiedziałaś, że prawowici właściciele nigdzie nie są mile widziani. Mam już nawet plan, jak powinnyśmy się przygotować.
 - Jak?
 - Po pierwsze, trzeba zrobić dokładną wizję lokalną. Po drugie, sprawdzić, w czyich rękach jest obecnie majątek, a jeśli jest własnością państwa, kto podejmuje decyzje o jego losie. Należy ustalić, kto jest kim na tym terenie, a potem poszukać na wszystkich potężnych haków.
 - Haków? - zdziwiła się Stanisława.
 - Jeśli spróbują nam bruzdzić, musimy być gotowe do kontrataku. Odwet powinien być straszliwy i natychmiastowy. Przydałaby się mała demonstracja siły na początek. Warto też w lokalnych strukturach władzy umieścić własną agenturę. Dzięki temu będziemy z wyprzedzeniem informowane o wszystkich posunięciach.
 - Agenturę?
 - Dwóch lub trzech ludzi, którzy będą działali niezależnie od siebie, ba, nawet nie wiedząc, że nie są jedynymi agentami.
- Monika pokiwała głową z uznaniem.
- To co? - Stanisława puściła całą tę przemowę częściowo mimo uszu. - Może wybierzemy się w weekend rozejrzeć po okolicy? - Rozłożyła na wolnej części stołu mapę. - Niedaleko jest stadnina, pożyczymy sobie trzy koniki, bo z tego, co pamiętam, droga jest w tragicznym stanie. Zresztą, jadąc samochodem przez wieś, przedwcześnie spłoszymy mieszkańców. Konno możemy dotrzeć tam ścieżką przez las i przekraść się do Kruszewie jakby od kuchni...
 - Dobry pomysł. - Katarzyna wolała się nie przyznawać, że po raz pierwszy będzie siedzieć w siodle.

* * *

Dotarli właśnie na skraj doliny, gdy ze wschodu dmuchnął zimny wiatr. Chłód przeniknął je natychmiast do kości.

Wysoko w lesie, pośród wzgórz, bije źródło. Wartki strumyk zasila nieduży staw otoczony kamieniami. Na brzegu widać jeszcze fundamenty starego młyna. Przez dawną młynówkę woda wpada do niewielkiej sadzawki i dalej, już jako wesoła rzeczka, spływa na dno doliny. Dwór stał na plateau prawie na wysokości ruin. Dziś został po nim tylko prostokąt podmurówki. Po zabudowaniach folwarku nie ma śladu. Wszystko zarastają krzaki dzikiego bzu. Na stoku, gdzie kiedyś był ogród, rozplenili się pigwy. I jeszcze sad, dobre pół hektara kompletnie zdziczałych jabłonek i śliw.

Wieś leżała zawsze na dole, rozrzucona po obu stronach rzeczki, przecięta drogą wiodącą od przełęczy do dworu. Z dostatnich niegdyś gospodarstw nie pozostało nic. Wszystko zmiotły wojny i czerwona władza. Chaty, obórki i stodoły zburzono, a na ich miejscu wzniesiono dwa długie baraki po kilkanaście mieszkań. Przed nimi w czasach świetności PGR Kruszewice były ogródki, ale teraz straszą tylko zardzewiałe słupki - pamiątka po ogrodzeniach. Obok dostawiono budynek z pustaków mieszczący niegdyś biura, magazyn i salkę klubową. Kawałek dalej były kiedyś silosy na kukurydzę, zbiornik na gnojówkę i chlewnie. Silosy oczywiście skradli nieznani sprawcy, przypominają o nich tylko kruszejące betonowe podstawy. Dach chlewni zapadł się, a ściany popękały. Dróżki wyłożone perforowanymi, betonowymi płytami dawno zarosły. Asfalt szosy biegnącej pomiędzy barakami przypomina powierzchnię Księżycy.

Tyle zdążyły zobaczyć, nim ciężkie, ołowiane chmury pokryły cały widnokrąg, a delikatna mżawka zamieniła się momentalnie w prawdziwą ulewę.

- Średnio nam się ta wycieczka udała - westchnęła Stanisława. - Zawracamy. Gdzie Monika?
- Gdzieś tam. - Katarzyna próbowała przebić wzrokiem wodny tuman. - Widzę ją, chyba już jedzie.

* * *

Deszcz pochłaniał szybko rozległą dolinę. Kryte eternitem dachy baraków przez moment majaczyły niczym wraki statków spoczywające kilem do góry, a potem znikły. Stary Maciej wyszedł z domu, ostrożnie przekraczając zgniły próg. Wiszące na paskach linoleum drzwi uderzyły o wzniesioną z pustaków ścianę. Kopnął na bok poniewierającą się pod nogami pustą flaszkę, stanął w miejscu byłego ogródka i dobywszy siurka, ulżył pęcherzowi.

Beknął głośno, rozsiewając wokół woń przetrawionego już nieco taniego wina, pierdnął i już miał wracać do barłogu, gdy nieoczekiwanie poczuł na sobie czyjś badawczy wzrok. Uniósł głowę. Wodny tuman rozwiewał się chwilami. Po drugiej stronie nieistniejącego płotu na niedużej, gniadej klaczy siedziała z gracją dziewczyna. Złociste włosy wymykające się spod eleganckiego toczka spięła z tyłu w kucyk. Maciej czknął i zatoczył się lekko, ale na szczęście futryna była pod ręką i miał się czego złapać. Dziewczyna, na oko sądząc, miała nie wię-

cej niż szesnaście lat, więc schował ptaka do rozporoka. Nadal mierzyła go wzrokiem, a on czuł, jak to spojrzenie wywraca go na drugą stronę.

Coś było nie tak. Co ona tu, u licha, robiła? Były PGR Kruszewice leżał z dala od innych wsi i głównych szos. Obcy zapuszczali się tu wyjątkowo rzadko. W dodatku nastolatka była nienaturalnie czysta - teraz dopiero to spostrzegł. Białe spodnie, jasna bluzka, peleryna narzucona na ramiona... Nawet strzemiona lśniły jak świeżo wypolerowane. Dziewczyna uderzyła klacz piętami i po chwili zniknęła w ulewie. Z dali dobiegło rżenie jeszcze co najmniej dwu koni.

- Diabli nadali - mruknął, spluwając uroczyście. Stał przez jakiś czas, zastanawiając się, co robić. Tak, o nieoczekiwanym spotkaniu należy powiadomić kogo trzeba... Założył dziurawe gumofilce i poczłapał przez kłaskające błoto do sąsiedniego baraku. Józwa, były sołtys, już nie spał. Od samego świtu siedział przy aparaturze. Pomieszczenie, w którym urządził bimbrownię, nie było duże. Kiedyś stał tu zapasowy agregat prądotwórczy. Dym z paleniska uchodził częściowo przez komin, częściowo snuł się po klitce niczym mgły nad norweskim fiordem. Poblask ognia na zakopconych szybach oraz gruba, wieloletnia warstwa sadzy na ścianach nadawały melinie wygląd zbliżony do jaskini Hefajstosa.

Słyszając, że ktoś wszedł, bimbrownik odwrócił w stronę gościa czerwoną gębę pokrytą trzydniowym zarostem. Rozchełstany na piersi, brudny drelich odsłaniał kępy siwych kudłów porastających tors.

- A, to ty - burknął. - Poczekaj, aż skończę... Chłodnica, wymontowana z wraku ciężarówki, hurkotała głucho, a do podstawionego słoika kapał mętny i cuchnący buraczany samogon.

- Czego? - zapytał wreszcie.

Widok przyjaciela odrobinę go zdziwił - Maciej rzadko wstawał z wyrka przed południem.

- Widziałem coś dziwnego... - zaczął opowiadać gość.

Były sołtys słuchał go długo i uważnie.

- Jesienią widziałeś dziedziczkę na rowerze - powiedział. - A teraz to... - Zasepił się.

- Co to znaczy?

- Dobrze nie jest. Coś będzie, a może i nie będzie. - Poskrobał się po zawszonej czuprynie. - Budź Hankę...

- Jestem. - Była brygadzystka stanęła w drzwiach, swoją tuszą wypełniając niemal całą futrynę. - Też nie mogę spać. Coś się dzieje?

Opowiedzieli jej.

- Daj jajko - poleciła, szczerząc krzywe, popsute zęby.

Podreptał w kąt i wydobyl jedno z koszyka. Położyła je na blacie i zakręciła zręcznie grubymi jak ogórki paluchami. Potem nadtłukła i wylała do szklanki.

- Żółtko czerwonawe - mruknęła. - Idą zmiany. Pociągnęła samogonu prosto ze słoika, a potem splunęła w palenisko i długo obserwowała płomienie.

- Wraca stare - powiedziała wreszcie uroczyście i z grobową miną. - Poruszyliśmy pajęczą sieć. Dziedziczka przypomniała sobie o nas.

- O, kurde - zaklął Józwa.

Maciej nic nie powiedział, tylko wymknąwszy się chyłkiem, opuścił chatę. Na skraju wsi na drzewie wisiał kawał starej blachy od siewnika. Starzec ujął w dłoń solidną, dębową łagę i zaczął bić na alarm. Skacowany Heniek, dawny traktorzysta, mrużąc zaropiałe oczy, powoli wypełził na światło dzienne i gnany starym nawykiem powłókł się na placyk przed dawnym biurem.

Więcej mieszkańców Kruszewice nie miały.

* * *

Poranna ulewa pozostawiła po sobie jedynie kałuże. Czerwona kula słońca wisiała nisko na niebie, gdy na szczycie wzgórza stanął Maciej. Ubrany był w waciak, na nogach miał wypchane szmatami gumiaki. W dłoni trzymał krzepko motykę.

Splunął, a potem się przeżegnał. Jego łapy odwykły od takiej roboty, ale posapując, kuł twardą ziemię, aż odsłonił resztki spróchniałej, kwadratowej belki obłożonej wokół kamieniami. Obejrzał znalezisko, a potem rozejrzał się wokół. Zachód tam, gdzie nad horyzontem widać dymy Huty. To wschód pewnie po drugiej stronie. Kopał dłuższą chwilę, nim natrafił na starą, przegniłą drewnianą skrzyneczkę. Rozbił ją butem. Z obawą popatrzył na ukryty wewnątrz przedmiot. Wreszcie przemógł się, porwał go w dłoń i szybkim krokiem ruszył w stronę wsi.

Hanka czekała nad stawem.

- Po co żeś tam łaził? - warknęła na jego widok. - Pod krzyżem kopaleś, durniu?

- A co? - wycedził. - Mamy siedzieć z założonymi rękami? Czekać, aż nas dorzną? Gównu. Wykopałem i podłóżę jej, jak zacznie tu wściubiać nos.

- A wiesz chociaż, co to jest?

- Wiem - odparł, ale w jego oczach nie było pewności. - Legendy słyszałem...

- Gównu tam wiesz. Ile czasu to masz w kieszeni? Piętnaście minut? - sapnęła ze złością. - Dawaj to natychmiast, zanim biedy napytasz. Bo jak się obudzi...

- Nasza dziedziczka...

- Debilu, nasza dziedziczka jest dziwna, ale jest człowiekiem. To nie jest. Dawaj.

Z wahaniem sięgnął do kieszeni i oddał jej amulet. Hanka zamachnęła się i rzuciła go na środek stawu.

Starannie otrzepała dłonie i splunęła z obrzydzeniem.

- Miejmy nadzieję, że nic z tego nie będzie - mruknęła. - Może nie zdążył się ruszyć. A może i tak. - Spojrzała z niepokojem w słońce, które posyłało właśnie na ziemię ostatnie promienie.

* * *

- PGR Kruszewice? - Pracownik Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa rozwinął arkusz mapy sztabowej. - Proszę bardzo. Powierzchnia pól w 1990 roku wynosiła osiemdziesiąt hektarów. Obecnie zapewne wszystko zarosło, od piętnastu lat niczego się tam nie uprawia. Do tego około czterdziestu hektarów lasu i sto hektarów łąk. Ostatnią meliorację przeprowadzono w początkach lat siedemdziesiątych, więc teraz to pewnie bagno...

- Rozumiem. - Kiwnęła głową.

- PGR nastawiony był na uprawę kukurydzy i hodowlę nierogacizny. Przez pięćdziesiąt lat istnienia nie było ani jednego roku, w którym odnotowano by jakiegokolwiek zyski. Jeśli akurat obrodziła kukurydza, świnie zdychały na pomór. Gdy świnie przeżyły, kukurydzę szlag trafiał. A jak przypadkiem kiedyś udało się jedno i drugie, jadąca do rzeźni ciężarówka wywróciła się i tuczniaki poległy bohaterską śmiercią...

- Rozumiem.

- Do tego zabudowania.

Wyjął z szafy opasłe tomiszczce i długo szukał odpowiednich akt.

- O, proszę, dwa baraki po osiem mieszkań, jeden dodatkowy na biuro. Chlewnia o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych w ruinie, fundament obory, silos stalowy na ziarno, ale od co najmniej dziesięciu lat nieużywany, pozostałych silosów brak... Jeszcze jakieś pomieszczenia magazynowe z blachy falistej, o ile ich dawno temu nie rozkradli.

- Rozumiem.

Jej kamienny spokój zaczął działać mu na nerwy.

- Maszyny rolnicze i inwentarz zabrał syndyk. A, no i oczywiście zasoby ludzkie. - Tu skrzywił się niemiłosiernie. - Z czterdziestu dwóch mieszkańców zostało czworo. Reszta wywędrowała, ale nadal jest zameldowana. Wszyscy, którzy tam jeszcze wegetują, są na garnuszku opieki społecznej. Nie podlegają eksmisji z racji wieku lub chorób, wywołanych głównie nałogowym chłaniem...

- Rozumiem. Gdy się chłopom zabiera dziedzica, to takie są skutki. - Jej słowa padały ciężko, jak odlane z ołowiu. - Ile to by kosztowało?

- PGR? Chyba nie chce pani kupić tego chlewu? - zdziwił się.

Przechyliła głowę i popatrzyła na niego spokojnie. Zrozumiał natychmiast. Ona nie żartuje. Uśmiechnął się w duchu, może będzie okazja do drobnego zarobku.

- Sekundkę.

Wyjął z szuflady kalkulator i dłuższą chwilę wykonywał skomplikowane obliczenia.

- Taniocza - zakpił. - Trzysta osiemdziesiąt dwa tysiące siedemset czterdzieści trzy złote i dwadzieścia sześć gorszy.

Kwota nie stropiła dziewczyny.

- Biorę - powiedziała krótko. - Macie zapewne notariusza, który współpracuje z wami przy dokumentowaniu transakcji?

- Oczywiście.

- Czy możemy przeprowadzić operację natychmiast?

- Nie, trzeba najpierw dokładnie sprawdzić księgi wieczyste i hipotekę nieruchomości. Myślę, że potrwa to co najmniej dwa, trzy miesiące. No, chyba żeby wdrożyć pewne procedury mające na celu przyspieszenie. - Wykonał palcami gest liczenia pieniędzy.

- Proszę zatem je wdrożyć - rzekła obojętnie. Powtórzył gest.

- A jak cię, robaczku, coś swędzi, to się podrap - powiedziała słodko, a potem rzuciła na biurko kartkę pokrytą cyframi.

Uniósł ją do oczu. Przez chwilę gapił się zaskoczony, a potem nagle zrozumiał. Momentalnie zaschło mu w gardle, poczuł straszliwy chłód w żołądku, zupełnie jakby połknął kostkę lodu. Papier zapisany był numerami działek budowlanych, które od lat, wykorzystując stanowisko, kupował w Agencji na podstawionych „słupów”. Uśmiech spelzł z jego twarzy, czoło zrosił zimny pot. Jak ta cholera to wykryła? I co zamierza dalej robić?

- To jak będzie? - zapytała. - Możemy się umówić z notariuszem na popołudnie?

- Jasne - wykrztusił z ulgą. - Zaraz przygotuję wszystkie papiery. Jak się pani nazywa?

- Kruszewska. Katarzyna Kruszewska.

Wymieniła nazwisko podobne do nazwy wsi, ale był zbyt zszokowany, by to skojarzyć.

Księżniczka Monika obudziła się i jak zwykle natychmiast była zupełnie przytomna. Rzuciła okiem na zegarek, szósta rano. W mieszkaniu panowała cisza. Ach tak, Kruszewskie pojechały do Warszawy. Przez uchylone okno wpadały poddmuchy pachnącego wiatru. Stara lipa na rogu ulicy zakwitła. Nawet w środku miasta znalazły się pszczoły, krążyły teraz wokół drzewa, brzęcząc. Wygrzebała się spod cienkiego, polarowego koca. Przeciągnęła, aż zatrzeszczały jej wszystkie stawy. Zrobiła dwadzieścia pompek i stanęła w oknie. Patrząc na drzewa, uśmiechnęła się pod nosem. Dziś pierwszy dzień wakacji.

Jak łatwo przyszło jej zagrać rolę licealistki! Przez dziesięć miesięcy chodziła do szkoły, słuchała bajdurzenia profesorów, odrabiała lekcje, plotkowała z koleżankami. Nawet to świadectwo... Nie przejmowała się specjalnie ocenami, ale przez ostatni miesiąc dołożyła starań, aby uzyskać jak najlepsze noty. Choć sama nie wie, dlaczego. Wakacje, sporo czasu minęło, od kiedy po raz ostatni odpoczywała. Teraz też czeka ją dużo pracy. Trzeba pomóc przyjaciółkom przy odbudowie folwarku.

Poranek był cudownie świetlisty. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Dziś robi sobie wagiary. Nie, nie wagiary, do licha, szkoła się skończyła. Ale trzeba się troszkę dotlenić. Godzinę później wysiadła z autobusu na pętli. Do stadniny miała tylko kilka kroków. Nieduża, brązowa klacz już ją знаła. Pozwoliła się osiodłać bez protestów, choć momentami kładła po sobie uszy. Kłusowała potem z gracją pomiędzy kępami krzaków i stosami materiałów porzuconych tu niefrasobliwie po budowie okolicznych zakładów i osiedla.

Dziewczyna przymknęła oczy, poddała się rytmowi. Chłodne, cudownie czyste powietrze upajało jak najlepsze wino. Tysiące razy w życiu siedziała na koniu. Przemierzyła w siodle odległości, które zebrane razem pozwoliłyby wielokrotnie opasać kulę ziemską... Często koń był dla niej ostatnią deską ratunku, wiele razy wymykała się nocami, by gdzieś daleko zacząć wszystko od nowa. Dobrze powspominać dawne czasy.

Nagle coś wyrwało ją z zadumy. Zmiana rytmu. Ściągnęła cugle. Co się mogło stać? Kamień utkwiał w kopycie? Zeskoczyła i obejrzała wszystkie cztery nogi klaczy. Na zadniej odkryła przyczynę kłopotów. Podkova oblużowała się i odpadła. Księżniczka cofnęła się po śladach i po chwili poniosła zgubę z ziemi. A to pech, trzeba wracać... A może?

Gdzieś z daleka wiatr niósł metaliczne dźwięki. Ludzie, może brygada remontowa naprawiająca tor kolejowy? Nieistotne. W każdym razie mają młotek. Kto wie, może i kilka gwoździ się znajdzie? Uśmiechnęła się pod nosem. Lubiła samodzielnie rozwiązywać problemy. Wskoczyła na siodło i stępa ruszyła w kierunku, skąd, jak jej się wydawało, dobiegały odgłosy. Niewielka kuźnia ukryta była znakomicie i gdyby nie widoczny z daleka słup jasnego dymu, mogłaby szukać jej do upojenia.

Budę o wymiarach dwa na dwa metry wzniesiono ze starych, drewnianych podkładów kolejowych. Trzy zewnętrzne ściany obsypano ziemią do ich pełnej wysokości, nakryto też podkładami. Wewnątrz wymurowano z gliny i starych cegieł szamotowych spory piec, a za kowadło służył kawał toru kolejowego.

Księżniczka zatrzymała konia. Obaj kowale, mężczyzna, na oko sądząc, zbliżający się do czterdziestki i chłopiec o wyglądzie gimnazjalisty, kręcący korbą od nawiewu, zamarli na jej widok w bezruchu. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Już na pierwszy rzut oka poznała, że ten maleńki warsztatik jest całkowicie nielegalny.

- Dzień dobry, potrzebuję podbić... - zacięła się na ułamek sekundy, szukając odpowiedniego słowa. - Podkuć konia. - Wskazała trzymaną za cugle klacz.

Proste, wydawałoby się, polecenie stropiło ich wyraźnie. Starszy kowal poskrobał się po głowie.

- Mam podkowę. - Wręczyła mu znaleźnisko.

- Zaraz zobaczymy, co się da zrobić - obiecał.

Cażkami wyrwał jeden ocalały hufnal i oglądał, jakby coś podobnego widział pierwszy raz w życiu. Wyszukał kawałek stalowego drutu, rozgrzał go w piecu i bez problemu przekuł na sześć odpowiednich gwoździ. Schłodził je w misce z wodą.

- Która to noga? - zapytał z głupia frant. Pokazała mu gestem. Z dzinsów wyciągnęła pasek, oplótła pęcinę i złapawszy kopyto, ustawiła je w pozycji do pracy. Kowal z wyraźną obawą podszedł do zwierzęcia. Przeczyścił zrogowaciałą tkanę pilnikiem, najgrubszym jaki znalazł, przyłożył podkowę odwrotnie niż trzeba, zauważył błąd, odwrócił, przypasował, a potem zrećnie wbił wszystkie hufnale. Cofnął się nieco pobladły i otarł pot z czoła.

- Co się stało? - Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Wybacz pani. - Uśmiechnął się lekko. - Ten ogierek wygląda na narowistego.

Co on, płci nie rozpoznał na pierwszy rzut oka? Przygłup jakiś?

- Ile się należy? - zagadnęła, sięgając do kieszeni po pieniądze.

- Nie mam pojęcia. - Bezradnie rozłożył ręce. - Dziesięć złotych nie będzie za drogo?

- Ja też nie wiem. Jak to? - Wyrzeszczyła oczy. - Przecież kowale...

- No, niby tak - przyznał. - Tylko że, wie pani, jestem z wykształcenia fizykiem. Roboty w zawodzie nie mogę znaleźć, no to zabrałem się za rzemiosło. Metodą prób i błędów dochodziłem do wprawy. I jakoś prosperujemy, na chleb wystarcza. To był pierwszy raz, kiedy podkuwałem konia.

Rozejrzała się po warsztatiku. „Średniowieczne” topory, miecze, sztylety, umbo oraz inne elementy uzbrojenia...

- Przez Internet rozprowadzamy - dodał chłopak.

- Do kata... - Zagryzła wargi.

On też z trudem panował nad wesołością. Odliczyła im dwa banknoty po dziesięć złotych. Puściła cugle. Z zaniepokojeniem wzięła w dłoń jeden z leżących w skrzynce noży.

- Taki, nazwijmy to, egzemplarz okazowy - wyjaśnił mężczyzna.

Delikatnie prądkowana stal, mosiężna garda i rękojeść z orzechowego drewna. Broń świetnie leżała w dłoni.

- Damast, sto dwadzieścia osiem warstw - wyjaśnił. - Sprzedajemy po trzysta złotych.

- Można u was coś zamówić?

- Po to jesteśmy. - Zatarł dłonie.

- Na przykład komplet noży kuchennych z takiej stali? - Zmrużyła oczy. - Ile czasu zajęłoby wykonanie?

- Kuchennych? - Zdumiał się. - W sumie, czemu nie, zlecenie to zlecenie... Na przyszłą sobotę byłyby do odebrania.

- W takim razie proszę wyznaczyć cenę, zostawię zadatek i za tydzień wpadnę po odbiór.

* * *

- Czym mogę służyć? - Kierowniczką biura opieki społecznej miała na twarzy paskudny, lizusowaty uśmiešek.

- W waszej ewidencji figuruje czterech mieszkańców byłego PGR Kruszewice. - Katarzyna przez chwilę podziwiała bogatą kolekcję złotych pierścionków zdobiących tłuste paluchy babsztyla.

- Figuruje.

Pomoc społeczna przyznawana jest przynajmniej częściowo wedle uznania takich drobnych pluskiewek. Jeśli petentów odpowiednio się „opodatkuje”, można wyjść na swoje...

- Proszę zdjąć ich z ewidencji. Wszystkich.

- A co, nie żyją? - Urzędniczka popatrzyła na nią kompletnie zdumiona.

- Żyją, ale dostali właśnie robotę, więc żadna pomoc im już nie przysługuje.

- Jak to? Wszyscy? W tej gminie jest czterdziestoprocentowe bezrobocie! - Jak lwica broniła swoich żywicieli.

- Wszyscy. Majątek Kruszewice Nowe wznawia właśnie działalność.

- A jak nie zechcą się u pani zatrudnić? - Baba chytrze zmrużyła ślepkę.

- Zagonię do roboty siłą - wyjaśniła z godnością agentka. - A pani niech zapamięta, jeśli dostaną tu choćby złotówkę, policzymy się.

- Już się boję - warknęła wyzywająco. Katarzyna obojętnie rzuciła na blat jakiś papier.

- Myślę, że Urząd Skarbowy zainteresuje się tym drobiazgiem. Ponoć za takie informacje nawet nagrody wypłacają.

Kobieta spojrzała na kartkę i zamarła. Na papierku widniały adresy czterech mieszkań w Krakowie, kupionych za pieniądze z łapówek i teraz wynajmowanych na lewo studentom.

- Jasne, natychmiast ich wykreślamy - wykrztusiła, ale dziwnej klientki już nie było.

* * *

- Mistrzu, chcemy zbudować dwór - powiedziała Stanisława. - Taki jak dawniej. Opracujesz nam projekt?

Alchemik uśmiechnął się pod wąsem.

- Nie mam uprawnień architekta, które byłyby honorowane w tych czasach - powiedział.

- Żałosna czkawka historii - parsknęła jego uczennica. - Trudno, niech to będzie samowola budowlana. Wykreślisz nam plany?

Sięgnął po blok i ołówek. Katarzyna westchnęła z podziwem i patrzyła, jak szkicuje. Był zdumiewająco dokładny, ołówek prowadził po papierze w sposób niemal elegancki. Nie potrzebował żadnych przyrządów, by kreślić linie proste jak wydrukowane. Sień na przestrzał przez bryłę budynku, szeroka, w razie konieczności tu zbiegną się domownicy wraz z czeladzią, a jeżeli zwali się wielu gości, można postawić stoły i wyprawić ucztę. Po lewej stronie główny salon, a także alkierze dla gospodarzy. Po prawej kuchnia oraz spiżarka, drugi spory pokój, izba, pomieszczenia służby. Z sieni wejście do arsenaliku i schody na poddasze.

Zamyślił się, patrząc na projekt.

- Zadowolone? - Błysnął zębami w uśmiechu. Agentka posłała mu zachwycone spojrzenie, ale ku jej rozczarowaniu, nie zwrócił na nie uwagi. Znowu zabrał się do pracy. Na kolejnej karcie zaznaczył długość i grubość ścian, obrysował kreską miejsca mocowania belek stropowych.

- Pod oknem kuchni posadzi się orzech - zdecydowała Stanisława.

- Po co? - Katarzyna przechyliła głowę.

- Muchy nie lubią tego zapachu, nie będą nam leciały w garnki - wyjaśniła.

- A nie prościej siatkę w oknie?!

Alchemik szkicował, wypełniając kolejne karty bloku. Robił to jakby od niechcienia, szybko, ale z niezwykłą wprawą. Wyjął z szuflady stary, mosiężny suwak logarytmiczny, coś przeliczał, sprawdzał wytrzymałość dREW-

nianych stropów i elementów więźby dachowej.

- Za kilka dni wyjeżdżam - powiedział wreszcie. - Ale powinniście poradzić sobie beze mnie. W razie czego piszcie maile.

- Dokąd jedziesz, mistrzu? - zainteresowała się Katarzyna. - Do Chin? Kiedy możemy się spodziewać twojego powrotu?

- Na Formozę, czyli, jak się teraz mówi, Tajwan. Nie będzie mnie najwyżej kilka miesięcy.

- Myślisz, że hermetyzm mógł przetrwać w tej części świata? - zaciekała się.

- Kto wie... To właśnie chcę sprawdzić.

Opatrzył ostatni szkic swoim zamasztyłym podpisem i wręczył go Stanisławie. Agentka spuściła oczy.

* * *

Ciężarówka przejechała świtem przez wieś, wzbijając tumany kurzu. Maciej gapił się z szeroko otwartymi ustami. Przez ostatnie piętnaście lat zdążył zapomnieć, że samochody mogą być takie duże. Pojazd dotarł na wzgórze, w miejsce, gdzie kiedyś stały zabudowania folwarku. Kilku śniadych robotników wypakowało dziwne płyty, położyło je na ziemi i szepiło zatrzaskami. A potem nastąpiły prawdziwe czary. W ciągu najwyżej dwu godzin obok fundamentów dworu wyrósł zgrabny, nieduży budynek z płyt styropianowo-aluminiowych. Gdy około dziesiątej pozostali tubylcy wypelzli z barłogów, ich oczom ukazał się ukończony domek o oślepiająco białych ścianach. W świeżo przetartych szybach odbijało się słońce.

- O, kuźwa - zaklął sołtys, zegnając się odruchowo. - A cóż to takiego?

Obok zagadkowej budowli do płotu przywiązano konia. Lodowaty dreszcz przebiegł starem po plecach. Stąd, z dołu, wyraźnie widział trzy postaci. Stały przy płocie i rozglądały się po okolicy.

- Cóż za paskudne miejsce - mruknęła Stanisława, patrząc ze stoku na skupisko baraków. - Nawet czworaki wyglądały dużo estetyczniej. To nic, wyburzy się, dynamitu dość - stwierdziła pogodnie.

- Mamy koniec czerwca - zauważyła jej kuzynka. - Pola nieobsiane. W tym roku nie wydusimy z tej ziemi ani złotych.

- Wydusimy - uspokoiła ją.

W krzakach majaczyły jakieś ruiny. Stara studnia z kamienną cembrowiną pełna była chłodnej wody. Nowiutki baraczek wyglądał tu dziwnie nie na miejscu, jakby spadł z kosmosu. Monika wyjęła z teczek przedwojenną fotografię i przez chwilę porównywała oba obrazy, ten sprzed siedemdziesięciu lat i obecny.

- Do licha! - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Totalna dewastacja... Jak my to odbudujemy? Tu nie ma nawet prądu...

Rząd słupów wysokiego napięcia przecinał wprawdzie wieś, ale kabel dawno został ukradziony i przepity.

- Damy radę - stwierdziła Stanisława.

- Jeśli poważnie myślisz o odbudowie dworu, trzeba poszukać dobrej brygady budowlańców - zauważyła Katarzyna. - Albo cieśli, na przykład tych Czezczeńców, którzy nam postawili domek. Alchemikowi zrobili strych, znają się na ciesiołce.

- Nie. - Stasia pokręciła głową. - Możemy ich zatrudnić przy robotach pomocniczych, ale do budowy dworu potrzeba prawdziwego fachowca. Jest cech specjalnie szkolonych ludzi. A właściwie był. - Zasepiła się.

- Cech budowniczych dworów? - zdumiała się jej kuzynka.

- Nie tylko dworów. Stawiali zamki, pałace i katedry. Oczywiście nie wszystkie, tylko niektóre. Ich usługi były droższe niż zwykłych murarzy.

- Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

- To dlatego, że ten cech był ściśle tajny - powiedziała Monika. - Niewielu wiedziało o jego istnieniu, nikt nie znał ich sekretów. Zwykli architekci mieli swoje tajemnice, każdy z nich był zaprzysiężony. Podobnie murarze i cieśle. Ale umiejętności, choć doskonałe przez dziesięciolecia, opierały się głównie na tym, co zdołali rozszyfrować i skopiować z metod prawdziwych ekspertów. To była bardzo stara organizacja, wywodziła się od Hirma, budowniczego świątyni króla Salomona...

- Tak jak masoni? - Agentka wreszcie znalazła jakiś punkt zaczepienia.

- Owszem, tylko że masoni udają - mruknęła alchemiczka, patrząc na księżniczkę spod oka.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, że to złotowłose, piętnastoletnie cielątko jest trzy razy starsze od niej. I znacznie lepiej urodzone.

- Od bardzo dawna nie stawia się u nas dworów, o zamkach nie wspominając - zauważyła Katarzyna. - Sądzi się, że ten cech jeszcze istnieje? I jak niby mamy ich odnaleźć, jeśli to takie ściśle tajne?

- Mam jeden adres kontaktowy. Sprzed siedemdziesięciu lat, ale kto wie, może jeszcze aktualny.

- Zwariowałaś.

- Wiem, mistrz Michał niejedną raz mi to powtarzał - zakpiła łagodnie. - A na razie trzeba zobaczyć, czym dysponujemy, na jaką pomoc możemy liczyć tu, na miejscu.

Osiadła klacz Moniki i zjechała w dolinę. Sołtys, widząc, że kobieta kieruje się w jego stronę, zaklął. Przez chwilę rozważał, czy nie ukryć się w domu, ale się nie zdecydował. Czuł, że wyłamałaby drzwi i wyciągnęła go

siłą spod łóżka... Zatrzymała się w miejscu, gdzie resztki palików wyznaczały linię nieistniejącego od lat płotu. Nie była wysoka, jednak siedząc na koniu, górowała nad chłopem. Chłodne, niebieskie oczy patrzyły ostro i przenikliwie. Zdjął czapkę i stanął na baczność, skarcił się w myślach, dał sobie „spocznij”, ale spostrzegł, że jego ciało znówu pręży się jak struna.

- Jesteś tu sołtysem? - Przechyliła głowę.

- Jestem. Właściwie to byłem - wykrztusił. - Yyyyy... No bo...

- Wiem - ucieła krótko. - Ile takich zombi macie na stanie? - Spojrzała z odrazą na Macieja, który wymiotował przewieszony przez pobliski płot.

- W Kruszewicach mamy czterech ludziów. - Józef złożył z trudem w miarę poprawne zdanie.

- Cztery osoby - poprawiła go. - Reszta uciekła?

- A na co mieli czekać?

- Na mój powrót. - Uśmiechnęła się olśniewająco. Strasznie chciało mu się zakląć, ale kobieta trzymała w dłoni szpicrutę i jakoś tak mu się wydało, że jeśli rzuci miechem, oberwie natychmiast przez łąb.

- Zwołaj na piętnastą zebranie mieszkańców. Obecność obowiązkowa. Macie tu odpowiednią salę?

- O, tamoj klub był. - Wskazał barak z nieco zapadniętym dachem.

- Może być - mruknęła. - Potem postawi się coś lepszego.

- Co powiedziecie ludziom? - zapytał.

Spojrzała na niego zaskoczona. Przygłup jakiś czy co?

- Że mają przyjść - wytłumaczyła raz jeszcze cierpliwie.

- A jak zapytają, po co?

- Odbędzie się zebranie na temat przyszłości wsi i majątku. To i owo chcę tu zmienić. Zapewne będą chcieli poznać moje plany. - Wzruszyła ramionami i spiąwszy konia, odjechała.

Były sołtys poskrobał się po głowie. Od początku wiedział, że będą problemy, ale nie sądził, że aż takie.

Pozostali schodzili się niechętnie, z obawą, ale o oznaczonej godzinie pojawili się na miejscu. Stanisława w towarzystwie kuzynki i Moniki stanęła przed drzwiami baraku i spojrzała z niechęcią na zardzewiałą kłódkę.

- Poproszę klucz - poleciała.

Najlepszą metodą błyskawicznego narzucenia ludziom władzy jest wydanie kompletnie niewykonalnego polecenia. Trafiała bez pudła.

- Zgubiony jeszcze z dziesięć lat temu - wybąkał sołtys.

Kiwnęła głową i spojrzała znacząco na Monikę. Księżniczka uśmiechnęła się i bez trudu wyrwała gołą ręką skobel. Zaszemrali ze zdumienia. Weszli do środka, płosząc myszy, które rzuciły się do panicznej ucieczki. Niewielkie pomieszczenie dawnej świetlicy zawałone było resztkami mebli. Ściany, murowane z pustaków, były kiedyś obite drewnopodobną boazerią. Obecnie pozostały z niej tylko łąty i listwy cokołowe. Kable wyszarpano. Linoleum kryjące pozarywaną podłogę było nieprzyjemnie szare. Betonowy strop znaczyły rdzawe zacieki: żelazne pręty korodowały pomalutku. Przez dwa brudne, zakratowane okna wpadało trochę światła. Mniej więcej jedną piątą sali zajmowała drewniana scena.

- Krzesło - zadysponowała dziedziczka.

Sołtys rzucił się w stronę stosu połamanych mebli, wyszukał taboret, przetaił go ofiarnie własnym rękawem i ustawił na podwyższeniu. Usiadła. Patrzyła teraz na zebranych z góry.

- Wiem, co wam chodzi po głowach - powiedziała. - Wasi przodkowie byli chłopami pańszczyźnianymi mojej rodziny jeszcze przed opuszczeniem Kruszewie Nowych na początku siedemnastego wieku. Znacnie nasze rodzinne legendy.

- A jakże. - Brygadzistka Hanka wytarła usta dłonią - Opowieść o pannie Stanisławie, która zarznęła męża, napiła się jego krwi i już się nie zestarzała, i nie umarła...

Alchemiczka przechyliła głowę i otaksowała spojrzeniem brudną, starą babę.

- Dziadkowie opowiadali - dodał Maciej. - Ostrzegali, że możesz wrócić, ty wampirzyco...

- Co do męża, należało mu się. - Wzruszyła ramionami. - I nie czuję najmniejszych wyrzutów sumienia. - Twarze pobladły. - Ale co do reszty, mylicie się całkowicie - zaprotestowała z godnością. - Nie jestem wampirem.

- Ja jestem - nagle odezwała się siedząca na parapecie okna Monika i dla potwierdzenia słów strzeliła ssawką.

Mieszkańcy przeżegnali się odruchowo.

- Czego od nas chcesz? - zapytał sołtys. - Krwi? Złota ani pieniędzy nie mamy...

- Majątek wznawia działalność. Potrzebuję pracowników. Dam dobre warunki i nieźle zapłacę. W zamian oczekuję wydajnej pracy.

- A co, znaczy, trzeba by zrobić? - zainteresował się Heniek.

- Na początek głównie karczowanie krzaków i prace ziemne. Potem trzeba będzie poprawić nawierzchnię drogi, znajdzie się robota przy ciesiołce, ścinie drzew i murarce.

- E, to nie dla nas. - Rozczarował się z miejsca.

- A co byś chciał? - Spojrzała na niego badawczo.

- Traktorzystą byłem. - Wypiął dumnie zapadłą pierś. - A i vistulą jeździć umiem.

- Co to, u diabła, jest vistula? - zdumiała się Stanisława.

- Bardzo starego typu kombajn - powiedziała jej kuzynka. - Robili je zanim ruszyła produkcja bizonów. Ostatni widziałam... No, będzie z piętnaście lat temu.

- Sprzętu zmechanizowanego nie będziemy chwilowo używali - dziedziczka zwróciła się do kandydata na pracownika.

- E, to ja nie jestem zainteresowany. A siłą nas nie zagonicie. Pańszczyzna zniesiona. - Poczul się ciut pewniej.

- W zasadzie tak. - Katarzyna otworzyła teczkę. - Jednak nie do końca. Nabyliśmy cały majątek, wasze baraki też.

- Baraki, ale nie ludzi - warknął Józwa. - Nasze ulice, wasze kamienice. - Resztki pamięci, nie do końca wypłukanej samogonem, przechowały troskliwie usłyszane kiedyś od dziadka, przedwojenne jeszcze haselko i wykorzystały je twórczo.

- W sumie na jedno wychodzi. Skoro baraki są nasze, będziecie musieli płacić czynsz. Takie jest prawo. Do tego fundusz remontowy i akumulacyjny.

Tubylcy popatrzyli na nią kompletnie zdumieni.

- Jak to? - wykrztusił ktoś.

- Nie będzie wysoki - uspokoiła ich Stanisława. - Trzysta złotych miesięcznie. Kto nie zapłaci, pół godziny na spakowanie i won. Nie pójdzie dobrowolnie, to wyniesiemy w kawałkach.

Katarzyna syknęła na nią dyskretnie. Kuzynka znowu nieco przesadziła.

- Tak nie wolno - jęknął Heniek. - To nieludzkie. A prawa człowieka to co? Już nam nie przysługują? Odwołamy się do Strasburga! A oni was ustawią.

- A wiecie chociaż, gdzie jest ten Strasburg? - zakpiła.

- Nie musimy nic wiedzieć. Listonosz trafi - mruknął Maciej. - A jaki znaczek nalepić, to na poczcie nam powiedzą!

- I może jeszcze będziecie umieli pozew napisać? - Mało nie parsknęła śmiechem. - A może zrzucicie się po kilka stów na honorarium dla adwokata?

- Nie kpj sobie z prostych ludzi. Szlachetnie urodzonej to nie przystoi - odezwała się Monika po łacinie.

Dziedziczka zacisnęła wargi. Księżniczka miała świętą rację.

- Oczywiście, dopuszczam myśl, że ktoś z was może nie mieć pieniędzy - powiedziała. - Więc postanowiłam, że ci, których nie stać, mogą czynsz odpracować. Spotykacie się jutro o szóstej rano przy ruinach dworu. Każdy ma przynieść własną łopatę. Zgłosicie się u naszej brygadystki. - Wskazała gestem Monikę. - Powie wam, co macie robić. A jak przez miesiąc wypracujecie więcej niż trzysta złotych, to i wypłata będzie.

- A jak ktoś nie przyjdzie, to ja pójde po niego. - Księżniczka uśmiechnęła się słodko i znowu strzeliła ssawką. - I nie radzę nikomu zaspać.

- Jeszcze jedno - odezwała się Katarzyna. - Wszystkie bimbrownie będzie trzeba zlikwidować. Cud prawdziwy, że jeszcze się do was policja nie dobrała.

- Eee? - zdziwił się Heniek. - Jak to, zlikwidować?

- Normalnie - mruknęła Stanisława. - A kto przyjdzie pijany do roboty, zostanie dwie godziny dłużej niż pozostali.

Tubylcy milczeli dłuższą chwilę. Przetrawiali w myślach to, co usłyszeli.

Zasiadły do kolacji. Baraczek z płyt nie był duży, dwanaście metrów kwadratowych. Ale na początek wystarczy. Długo mieszkać się w nim nie da, człowiek źle znosi życie w styropianie.

- Generalnie, materiał ludzki kompletnie do kitu - stwierdziła Katarzyna.

- Może uda się ich zmusić, żeby coś zrobili pod batem, ale na nic więcej bym nie liczyła... - westchnęła Stanisława.

- Przestań co chwila wyskakiwać z tą nahajką. Na to są paragrafy. Trzeba raczej użyć kija i marchewki.

- Na walenie kijem pewnie też są? - Monika pogubiła się w niuansach polszczyzny.

Wyjaśniły jej, o co chodzi.

- Poza tym jest ich raptem czworo - dodała agentka.

- Trzeba będzie uzupełnić niedobory. - Alchemiczka w zadumie spoglądała na dolinę.

- Sądzisz, że ktoś zechce iść na wieś na parobka w czasach, gdy rolnictwo jest nierentowne, a ze wsi wszyscy uciekają? - Katarzyna spojrzała na kuzynkę spod oka.

- Każda epoka ma ludzi luźnych, którzy egzystują poza systemem cechowo-feudalnym i dla których wejście w zależności lenne będzie dobrym rozwiązaniem...

- Że co?!

- Gdy byłam młoda, mieliśmy na Ukrainie podobne problemy. Ziemi można było zorać po horyzont, tylko że do zbiorów i pracy na roli potrzeba wielu rąk. Więc mój ojciec robił po miastach nabór. Zawsze było tam trochę biedoty, uczniowie, którzy nie przeszli przez egzaminy cechowe, żebracy... Nawet beznogich inwalidów można było zatrudnić do przędzenia wełny i lnu.

- I oni zgadzali się, żeby z ludzi wolnych stać się chłopami pańszczyźnianymi? - Agentka wytrzeszczyła oczy.

- A co mieli do stracenia? U nas po kilku latach pracy każdy stawiał własną chałupę, mógł założyć rodzinę, miał chleb i do chleba, hodował jakąś chudobę. A w niedzielę do kościoła szedł w odświętym ubraniu. Przy zakła-

daniu nowej wsi jego dzieci mogły liczyć nawet na dwadzieścia lat zwolnienia z wszelkich powinności. Bez trudu znajdowaliśmy chętnych. Żeby nie te ciągle najazdy, dorobiliśmy się gigantycznej fortuny.

- Ale pańszczyzna...?

- A teraz niby co jest? Żeby móc żyć, i to często na pół gwizdka, trzeba tyrać jak dziki osioł. Ilu ludzi musi harować za groszowe stawki po kilkanaście godzin na dobę? A podatki? W starożytnym Rzymie niewolnik mógł zatrzymać jedną dziesiątą tego, co zarobił. Dziś wolni ludzie oddają państwu jedną piątą dochodów, czterdzieści jeden procent na ZUS, a od tego, co zostanie, płacą VAT... Jak to nazwać? U nas była taka zasada: cztery dni odrobku tygodniowo na pańskim polu, dwa dni na swoim.

- I to miało być niby lepsze?! - Katarzyna uśmiechnęła się z przekąsem. - Dwie trzecie czasu harowali na was.

- Cztery dni od dymu, czyli od chaty - sprecyzowała Stanisława. - Jak ktoś miał czterech synów, to każdy odrabiał po jednym dniu. Czyli tak, jakby dziś płacił sam podatek dochodowy, bez tych wszystkich dodatkowych obciążeń. A rodziny wtedy były liczne. I ośmioro dzieci nie było rzadkością.

- Boję się, że czasy się zmieniły. A wraz z nimi mentalność - mruknęła Katarzyna. - I, co więcej, zmieniły się ambicje. Poza tym przeceniasz naszych bezrobotnych. Owszem, są wśród nich ludzie niezaradni życiowo, ale większość reprezentuje dokładnie ten typ myślenia, co ci tutaj. - Wskazała baraki. - Nie robim, bo się zmęczym. Nie pójdzie taki do łopaty, bo kiedyś był traktorystą. Jakbyś mu traktor podstawiła, to pewnie by wsiadł.

- Na pewno wielu chciałoby, a nie może znaleźć zajęcia. Dla nich to może być dobra alternatywa.

- Ja nigdy nie miałam problemów ze znalezieniem pracy, ty chyba też nie? - Spojrzała spode łba na kuzynkę. - Monika rzucona w obce środowisko ustawiła się błyskawicznie. I chyba nieźle zarabia...

Stanisława westchnęła.

- Odpowiednio inteligentna i wykształcona jednostka poradzi sobie zawsze - powiedziała. - Ale nie trzymasz dziesięciu milionów ludzi z informatyki czy tłumaczenia tekstów. Poza tym zawsze będzie grupa bardziej pasywna, mniej rozgarnięta. I tacy właśnie potrzebują, żeby ktoś stał nad nimi i mówił od czasu do czasu, co robić. Pańszczyzna jest tu dobrym rozwiązaniem.

- Nie uda ci się.

- Zobaczymy. Przede wszystkim zgłoszę się do kapucynów. Jeszcze nie teraz, jesienią.

- Dlaczego tam? - Nie zrozumiała jej kuzynka.

- Prowadzą szeroką i różnorodną działalność charytatywną. Z pewnością mają trochę podopiecznych rokujących jeszcze jakieś nadzieje. Za dworem uchowały się resztki sadów. Trzeba je odnowić. Za rok obsiejemy pola pszenicą, sprzedamy ziarno i owoce...

- Za owoce kiepsko płacą - zauważyła Katarzyna. - A zboża mamy gigantyczną nadprodukcję. Żeby wyjść na swoje, trzeba by mieć tysiące hektarów szklarni. Tylko że jesteśmy chyba trochę za daleko od Krakowa, żeby skalkulował się transport warzyw. To nie twoja epoka - rzekła bezlitośnie. - W siedemnastym wieku wystarczyło posłać ziarno tratwami do Gdańska i inkasowało się mieszki holenderskich dukatów. Dziś Europa dusi się od nadmiaru żywności.

- Do diaska - zmartwiła się Stanisława.

- Pola nieobsiane, więc na dotacje z Unii też nie możemy chyba liczyć.

- Nie jestem żebraczką, żeby brać pieniądze od Niemców i Francuzów.

Agentka zamyśliła się głęboko.

- Twoja wizja, kuzynko, w zasadzie nie jest zła - powiedziała. - Ale trzeba ją nieco zmodyfikować i dostosować do naszych czasów. Bo coś mi się wydaje, że od siedemnastego stulecia nie zajmowałaś się rolnictwem ani handlem?

- Prowadziłam interesy w Etiopii - zaoponowała Stasia. - Głównie szmugiel broni dla chrześcijańskiej partyzantki w Sudanie, do tego wielbłądy i handel platyną. A i wcześniej nie stroniłam od gospodarki kapitalistycznej. Byłam właścicielką kilku małych fabryczek, gdzie, jak to się mówi, eksploatowałam klasę robotniczą.

- Czyli podstawy teoretyczne masz - zakpiła jej kuzynka.

- Można tak powiedzieć. Powinam wysłać pszenicę tirem? Czy może koleją?

- Czy ty w ogóle znasz ceny skupu owoców, że o zbożu nie wspomnę?

- Nie...

- Za surowe owoce płacą kiepsko. Na przykład jabłka... - Katarzyna wyciągnęła z torby jakąś gazetę. - O, proszę, siedem groszy za kilogram.

- Hańba...

- Ale sądzę, że wysokiej jakości przetwory, robione wedle starych receptur, idealnie czyste, ekologiczne, miałyby spore wzięcie. Widziałyście kiedyś w handlu, na przykład, dżemy z pigwy? Albo przecier z derenia?

- Myślisz? - Alchemiczka popatrzyła na nią z ciekawością. - Jednego i drugiego rośnie tu całe zatrzęsienie.

- Przydałby nam się w takim razie jeszcze szklarz do dmuchania słoików albo garncarz, żeby robić kubeczki, tylko trzeba wymyślić, jak je hermetycznie zamykać.

- Słoiki można kupić.

- Tak, ale nasza produkcja musi być nie tylko ciekawa, ale i bardzo atrakcyjnie zapakowana. Zwykły słoik to

zwykła zawartość. Tymczasem klient już na pierwszy rzut oka musi się zorientować, że wewnątrz znajdzie coś specjalnego, produkt dla wybrańców...

- Wydaje mi się, że masz rację.

- Tak się zastanawiam... - Katarzyna popatrzyła na kuzynkę. - Z pewnością pamiętasz trochę starych przepisów, które dawno poszły w zapomnienie?

- Na przykład?

- Wtedy na Ukrainie i potem tutaj... Z pewnością jedliście od święta rzeczy, których dziś...

- Kwas chlebowy się piło - westchnęła Stanisława z rozmarzeniem. - Mieliśmy mnóstwo ciekawych potraw. Gęś na czarno, kapłon w winie, szczupak w szarym sosie, chrapy łosia w galarecie...

- Khm... Widzę tu mały problem z brakiem odpowiedniej ilości łosi. Ale wymieniaj dalej.

- Gęsi smalec, miód z orzechami, olej z prażonych nasion słonecznika...

- Czym się różni od normalnego?

- Jest ciemny, prawie czarny, i ma taki miły aromat, posmak dymu. Olej z orzechów, cieciorka...

- Co to jest, u diabła? - zdumiała się Katarzyna. - Pierwsze słyszę.

- Nasiona ciecierzycy - wyjaśniła. - Pasternaku też dawno nie widziałam.

- Zaczniemy od gęsi - zdecydowała agentka. - Olej z prażonego słonecznika to też dobry pomysł. W handlu nie widziałam, ale rozmaite oliwy się do naszego kraju sprowadza, więc myślę, że i na to będzie zbyt...

- A ja umiem zrobić ostry sos z papryki - odezwała się milcząca dotąd Monika. - Poza tym nie macie dobrych suszonych śliwek. A w każdym razie nie spotkałam się...

- Jak to nie? - Katarzyna zmarszczyła brwi. - W każdym sklepie z zieleniną...

- Ona powiedziała „dobrych” - zaakcentowała Stanisława. - To, co sprzedają, jest diabła warte. Trzeba by zrobić wędzone, jak to się dawniej mówiło, „na lasach”, czyli na drewnianym ruszcie, w dymie odpowiednio dobranych gatunków drewna.

- No właśnie - uśmiechnęła się wampirzyca.

- Pytanie, czy z samego rolnictwa wyżyjemy - zadumała się agentka. - Myślę, że tak, ale warto by trochę bardziej rozwinąć skrzydła. Potrzebujemy przede wszystkim rzemieślników. Cieśli i stolarzy do budowy, potem może rozkręcimy małą produkcję mebli.

- Ja bym chyba miała na oku kowala - powiedziała księżniczka.

- Dobry? - zaciekawiła się Stanisława.

Monika wyjęła z torby paczkę, rozplatała sznurek i wyłożyła na stół noże. Alchemiczka ujęła jeden w dłoń, wypróbowała elastyczność.

- Wyrób świetny, ale temu twojemu kowalowi chyba kociołek nie gotuje. - Popukała się palcem w skroń.

- Dlaczego?

- Co za idiota robi noże kuchenne z damastu? Przecież to by było obłędnie drogie!

Jej przyjaciółka spuściła oczy i uśmiechnęła się skromnie.

* * *

Tubylcy stawili się w komplecie, to znaczy we czwórkę. Przynieśli nawet zardzewiałe motyki i łopaty. Stanęli w karnym rzędzie, trąc zaspane ślepia i ziewając rozdzierająco. Monika zlustrowała ich kpiącym wzrokiem.

- Entuzjazm to aż z was bije. - Powachlowała się przed nosem, by odpędzić woń przetrawionego wina.

- Ty wyglądasz na najbardziej rozgarniętego, więc będziesz moim zastępcą. - Wskazała Józwę.

Jeśli stosuje się przymus, najważniejsze jest skłócenie ofiar. Wówczas walczą ze sobą, zamiast z prześladowcą.

- No dobra - burknął stary. - Sołtysem byłem, to przeżyję jakoś taką degradację...

- A teraz do roboty. Wykarczować krzaki, oczyścić fundament dworu. I bez obijania się.

Złapała szpadel, zakreśliła nim straszliwego młynka nad głową i zabrała się do pracy. Niechętnie ruszyli w jej ślady. Powyrywali krzewy czarnego bzu razem z korzeniami. Wyszarpali darń wciskając się pomiędzy kamienie. Stanisława nadeszła i przez dłuższą chwilę, milcząc, lustrowała postęp prac. Nawet jakoś im szło.

Zewnętrzny obrys wymurowano z solidnych, granitowych głazów. Połączono je sztyftami z brązu, które następnie zalano ołowiem. Jeden rzut oka upewnił dziedziczkę, że to ta sama konstrukcja, którą zbudowano w czasach jej młodości. Jeśli w stanie niemal nienaruszonym przetrwała cztery stulecia, powinna wytrzymać kolejne kilkadziesiąt lat. Podłogi na podwalinie z bloczków wapienia wyłożone były ceglanyimi płytami. Prawie wszystkie zostały strzaskane na kawałki, tylko w sieni, wybrukowanej solidnie, posadzka przetrwała burze dziejowe.

Odwróciła się na pięcie i razem z Katarzyną poszła do sadu prześwietlić korony jabłonek. Po godzinie postanowiła skontrolować, jak idzie tubylcom. Od wschodu spływ błota ze stoku wzgórze znacznie podniósł poziom ziemi.

- Obkopcie z tamtej strony. Szerokość tranzei trzy metry, głębokość pół - poleciała i wróciła do sadu.

- Co to jest tranzeja? - zaciekawił się Heniek.

- Rów - wyjaśniła Monika.

Zaznaczyła na ziemi linie, przydzielając każdemu kawałek gruntu, i mocniej chwyciła trzonek łopaty.

- A może tak przerwa na papierosa, co, chłopaki? - zagadnął Heniek, sięgając do kieszeni.
 - Żadnych przerw, palenie szkodzi i przeszkadza w pracy. - Pogroziła mu palcem.
 - Gówno - warknął, demonstracyjnie wkładając peta między wargi.
 Monika doskoczyła błyskawicznym ruchem i zamierzyła się styliskiem, jednocześnie wysuwając ssawkę.
 - Przerwa śniadaniowa za dwie godziny - wyszczała. - Wtedy sobie wypalicie. Poza tym to zębny nałóg. Od tego się umiera!
 - Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś umarł od palenia szlągów - odpyskowała Hanka.
 - W dodatku tytoń jest drogi. Pomyślcie, ile forsy idzie co miesiąc na te wasze papierosy - prychnęła Monika. - Każde z was przepaliło do tej pory równowartość samochodu i przynajmniej połowy domu!
 - O, kuźwa. - Maciej wybałuszył gały.
 - A mnie się chce szczać - zaprotestował Józwa.
 - To lej w gacie. - Wzruszyła ramionami, a potem znowu uniosła ostrzegawczo język.
 Z miejsca spotulnieli, ale wyłapała kilka złowrogich spojrzeń. Transzeja pogłębiała się powolutku. Monika spod oka obserwowała byłych pegeerowców. Ruszali się jak muchy w smole, z jak gdyby wrodzonym lenistwem. Widać przez wiele dziesięcioleci udawali, że pracują. Pokręciła głową ze zdumienia. Z drugiej strony, z kilkudziesięciu byłych pracowników zostali tylko oni. To oznacza, że ci, którzy cokolwiek potrafili, chcieli i umieli pracować, wyjechali. Westchnęła w duchu. Jeśli Kruszewskie nie uzupełnią szybko zasobów ludzkich, mogą zapomnieć o całym tym interesie.
 Coś chrupnęło pod jedną z łopat. Wszyscy przerwali robotę. Maciej schylił się i wyciągnął z ziemi szyjkę balonu na wino. Szkło musiało przebywać w glebie bardzo długo, pokryło się tęczową łuską, poszarzało.
 - Hy! - zidentyfikował znalezisko.
 Pozostali odłożyli narzędzia i ruszyli w jego stronę podziwiać odkrycie.
 - A wy gdzie? - syknęła. - Kopać, ale to już! Sama podeszła i wyjęła mu kawałek szkła z ręki.
 Szyjka zabezpieczona korkiem i solidnie nawoskowana. Po co? Natychmiast domyśliła się, że ktoś chciał w ten sposób uchronić zawartość balonu przed wilgocią. Starannie obkopała miejsce wokół. Przeczucie jej nie myliło. W ziemi spoczywała reszta słoja. Widać było zgniłe już paski rogoży.
 - Pomożemy. - Heniek starał się być miły. - Po co się pani sama będzie męczyć...
 Rozejrzała się. Znowu wszyscy stali. Gapili się jak cieleta na malowane wrota.
 - Do roboty! - Złapała szpadel.
 Odeszli potulnie, przeklinając pod nosami. Pracowała szybko i ostrożnie. Wydobyła naczynie z błota. Stare szkło, grube, mętnozielonkawe i pełne bąbli, kryło jakieś podłużne kształty. Zwitki papieru, okręcone ciasno sznurkiem i zalane woskiem. Archiwum? Dokumenty majątku?
 - Kopać wokoło - poleciała. - Ostrożnie, może tego być więcej.
 Nie trzeba im było powtarzać, migiem wyryli ogromną dziurę, ale nie znaleźli już nic. Stanisława przyszła godzinę później. Oceniała na zimno postęp prac i skrzywiła się.
 - Siły macie tyle co na pierdnięcie - warknęła. - Wydajność niemal zerowa.
 - Tak nasączeni alkoholem, że mięśnie nie pracują właściwie - zauważyła uczenie Monika. - Trzeba by im wszyć esperal i odczekać z pół roku, aż odzyskają formę.
 - Esperal? - przeraził się Maciej. - Tak nie wolno. To poniżanie godności człowieka!
 Nie zdołały powstrzymać uśmiechów.
 - To pierwszy dzień pracy po wieloletniej przerwie - uspokoiła ją dziedziczka. - W ciągu tygodnia, może dwóch, powinni się rozruszać. Będą mieli straszliwe zakwasy, ale ciała niebawem przystosują się do zwiększonego wysiłku.
 - Znaleźliśmy jakieś dokumenty. - Księżniczka pokazała zwitki suszące się na fundamencie.
 - Ciekawe. - W oczach alchemiczki błysnęło zainteresowanie. - Może ukryto je w czasie wojny, a kto wie, czy nie wcześniej... Wiesz, dwór był drewniany, więc dla bezpieczeństwa ważne papiery zawsze trzymaliśmy gdzie indziej. Przejrzymy je po kolacji - zdecydowała.
 Niestety, w ocenie wydajności pracowników nie myliła się. Efekty działań ekspegeerowców były raczej żałosne. Kopiąc do późnego popołudnia, ledwie zdołali się uporać z jedną trzecią zadań przewidzianych na ten dzień. Na szczęście Monika wyrobiła pełne trzysta procent normy.

* * *

Pociąg z Oslo do Trondheim pędził na północ prawie pusty. Dwa rzędy wygodnych, lotniczych siedzeń, klimatyzacja, cudowne widoki za oknem... Obaj łowcy usiedli na końcu wagonu, wyciągnęli prowiant i jednym okiem spoglądając na dzikie góry, wiedli ożywioną rozmowę.
 - Zwiąż go Architektem - powiedział Arminius. - Mistrz Sędziwój spotkał go prawdopodobnie tylko raz, w Krakowie, w roku 1748. Nasz ptaszek zwał się wtedy Lech Rydel. Szukam go od sześćdziesięciu lat.
 - Żyje co najmniej...
 - Nie udało mi się ustalić. - Stary wzruszył ramionami. - Ale być może to najstarsza istota na naszej planecie.

Trafiłem na jego trop przypadkiem. Na wzniesionych przez siebie budynkach zostawia ten symbol. - Wykonał pospieszny szkic na kartce.

- Gdzieś to już widziałem - mruknął Laszlo. - Zamek w Sinaja, koło bramy?

- W twoich stronach? - Wyjął z teczki laptopa i uruchomił go.

Otworzył folder z fotografiami.

- Malowane klasztory, bazylika w Jassach... Najstarszy ślad, jaki odnalazłem, to świątynia Hagia Sophia w Konstantynopolu. A sam symbol, cóż, jest dużo starszy. To filar dzed, staroegipski symbol trwałości i niezmienności. Amulet wkładany między bandaże mumii albo znak malowany na wiekach sarkofagów, mający ochronić je przed zniszczeniem.

- Ten człowiek pochodzi ze starożytnego Egiptu?

- Nie wykluczam. Przyłożył rękę do co najmniej stu różnych budowli. Znajdowałem ten znak na budynkach, które wyznaczały nowe prądy w architekturze. Opactwo Cluny, katedra w Chartres. I takich, które stanowią kwintesencję danego stylu, najwyższe, niedoścignione...

- Rozumiem.

- Jak na przykład zamek w Malborku.

- Czy nasz murarz jest wampirem?

- Nie wiem. Ale musimy to ustalić. Coś trzyma go przy życiu. Jeśli to bionekroza, trzeba go wyeliminować. Jest jeszcze coś. Stanisława pamięta, że taki sam symbol był wykuty na stopniach jej dworu.

- W Kruszwicach?

- Właśnie. I to dziwna sprawa. Fundament i schody wymurowano w czasach jej wczesnej młodości. Robił to jakiś fachowiec wynajęty przez jej ojca. Nie pamięta, jak się nazywał, ale kojarzy, że zginął przy pracy. Obrabiał duży blok kamienia, uderzył kilofem, narzędzie odskoczyło i trafiło go drugim końcem w czoło. Umarł po godzinie w straszliwych męczarniach.

- Umarł?

- Jak widać nie. Sądziło się, że ta śmierć przyniosła im pecha, przez następne trzysta lat dwór palił się co najmniej osiem razy.

- Ładny mi symbol trwałości - prychnął Laszlo. - Tam, gdzie jedziemy...

- Trondheim, dawna stolica Norwegii. W średniowieczu nazywała się Nidaros. Jest znana z pięknej katedry. Katedry, do której nasz ptaszek kilka razy przyłożył rękę. I którą kilka razy musiano odbudowywać. Znak dzed znajduje się na partiach muru z trzynastego i szesnastego wieku oraz na ścianie, w części zrekonstruowanej na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

- Jakiś trop?

- Tak. Wygrzebałem coś w Internecie. - Otworzył dokument. - W tym mieście działa pracownia konserwacji zabytków murowanych, na czele której stoi architekt Lars Riedel. A to ich logo. - Wyświetlił obrazek.

- Filar dzed.

- Właśnie. Tu masz zdjęcie kierownika... A to szkic wykonany przez Alchemika. Lech Rydel, Lars Riedel...

- Czyli, podobnie jak Stanisława i Monika, przyzwyczajony jest do swojego nazwiska i gdy tylko może, używa go, co najwyżej modyfikując brzmienie.

- Na to wygląda.

- A może tak poszukać jego wcześniejszych śladów? Może po nazwisku?

- Już to zrobiłem: Leon Rissel, Leau Riddle, Leszek Rydlewski, Lew Rydlow, Li Rehen, Leoncio Ridosa... I trzydzieści podobnych.

- Fiu...

- Rozbijał się po całym niemal świecie. Ale ostatni budynek wznosił przed siedemdziesięciu laty. Sądziłem, że nie żyje, ale widać tylko zmodyfikował swoje zainteresowania. Współczesna architektura jakoś do niego nie przemawia, więc zajął się rekonstruowaniem i odbudową pomników wcześniejszych epok.

- Powiedziałbym, że to szlachetna praca.

- Spora część jego budynków ma dziwnego pecha. I to głównie ich odbudowę się zajmuje. Jak gdyby już na etapie ich wznoszenia robił coś, co sprawia, że są nietrwałe. Na tyle nietrwałe, że co i rusz trzeba przy nich coś naprawiać.

- Cwaniaczek. - Młody cmoknął z uznaniem. - Załatwił sobie w ten sposób robotę do siódmej nieskończoności! Ale mimo wszystko nie wygląda mi na człowieka, który chciałby żyć kosztem ludzkich istnień.

- Też mnie to gryzie. Widzisz, wampiry, te prawdziwe, nie są specjalnie twórcze. Nie malują obrazów ani nie komponują muzyki. Ich umysły działają jakoś inaczej. Ale może inne istoty pasożytnicze nie podlegają tym ograniczeniom.

- Inne istoty?

- Właśnie. Dlatego, zanim dziabniemy go kołkiem, trzeba sprawę dokładnie wyświetlić. Żebyśmy się nie pomylili - dodał i zamilkł, przypominając sobie dawne i nowsze pomyłki.

- Opowiedz mi o bionekrozie - poprosił Laszlo. - Dziadek, odnoszę wrażenie, sam niewiele wiedział. Nauczył mnie, jak rozpoznać wampira, ale...

- Podstawowa różnica między nimi a twoją Moniką... - Stary puścił oko, a młodzieniec zaczerwienił się jak burak. - ...polega na tym, że wampiry są martwe. Nosferatu, żywe trupy. Mówi się o nich ostatnio „nie-umarli”, ale to błąd definicji. Nazywa się ich też kainitami, wywodząc ich pochodzenie od biblijnego Kaina, ale to już zupełnie nowy wymysł. Nie pochodzą od nikogo. To pozbawione życia mięso.

- Ruszają się. Posiadają świadomość, inteligencję...

- Owszem, ale w ich ciałach nie zachodzą praktycznie żadne reakcje chemiczne. Nie rozkładają się.

- To co je porusza?

- To samo co nas, elektryczność. Impulsy, które powodują skurcze mięśni, przeskakują po neuronach martwego mózgu, przewodzą wzrok nieruchomych oczu. Nie wiedziałeś? Nie wiodą za tobą spojrzeniem, tylko przekręcając całą głowę.

- Jeśli mięśnie pracują, to muszą spalać cukry lub tłuszcze. Komórki potrzebują paliwa. I tlenu.

- Teoretycznie tak. Robiłem dwa razy w życiu wiwisekcję wampira. Próbowałem rozwiązać zagadki ich fizjologii. Im dłużej się tym zajmowałem, tym mniej rozumiałem. Na przykład ich, nazwijmy to, układ krwionośny. Serce nie bije, ale wystarczy trafić je kolkiem i wampir ginie. Dla odmiany, jeśli się je przestrzeli, nic się nie dzieje - dalej bydlę łązi, z dziurą na wylot... Srebro je zabija, woda święcona dotkliwie parzy, tylko trzeba mieć taką poświęconą przez katolickiego księdza. Pozostałe działają o połowę słabiej.

- Relikwie?

- Nie wiem. Nie miałem nigdy okazji sprawdzić.

- Jeśli nie trawia i nie działa u nich krążenie, to po co piją ludzką krew?

- No cóż, mam kilka teorii. Pierwsza jest taka, że ludzka hemoglobina jest im potrzebna do wytworzenia czegoś, nazwijmy to czynnikiem X, co powstrzymuje reakcje chemiczne, a tym samym rozkład ciała. Przyznaję, są w tym rozumowaniu luki, jednak dobrze trafiony wampir rozkłada się niemal w mgnieniu oka. Im jest starszy, tym szybciej i dokładniej. Książę Vlad rozsypał się na coś podobnego do popiołu.

- Jeśli zachodzą w nich zjawiska elektryczne, to muszą skądś brać energię. Nie wysysają jej z ludzi, aktywność elektryczna wyssanej krwi to jakieś śmieszne wartości. Z rozkładu chemicznego hemoglobiny nie uzyskają aż tyle. A może zjawiska jądrowe?

- To znaczy?

- Zimna synteza jądrowa. To, co usiłują od lat uzyskać najlepsi uczeni. Przemiana dwóch atomów wodoru w hel.

- Hmm... - Stary zadumał się głęboko. - W zasadzie nigdy nie badałem, czy wampiry są radioaktywne. A chyba by były?

- Nie wiem, nie jestem fizykiem. Coś się wydziela w takich reakcjach, oczywiście nie jest to silne skażenie jak przy konwencjonalnej energii atomowej... Swoją drogą, za zimną fuzję dadzą od ręki nagrodę Nobla.

- Zatem, póki tego nie sprawdzimy, zostaje nam jedno wyjaśnienie. Choć jako naukowiec wzdragam się przed nim - westchnął Arminius.

- Hinduska *prana, vis vitalis*, siła życiowa kradziona żywym organizmom?

- Coś tak jakby. Magia.

- Czy potrzebują w takim razie w ogóle źródeł energii?

- Sądzę, że prawo jej zachowania jest uniwersalne. Jeden żydowski kabalista powiedział mi, że magia, choć istnieje realnie, to tylko zmiana. Czarownik może zmaterializować przedmiot czy regulować pogodę, ale dzieje się to zawsze kosztem samej struktury rzeczywistości. Jeśli gdzieś stworzy posąg ze złota, to w promieniu całych kilometrów ten metal zniknie. No i energia. Trzeba uporządkować atomy w nowy kształt.

* * *

Stanisława zatrzymała fiata pośrodku jednej z podkrakowskich wiosek. Wysiadła i rozejrzała się. Katarzyna wydostała się z drugiej strony. Zlustrowała domostwa położone wokoło.

- Coś jest nie tak - mruknęła. - Sądzisz, że najlepszy cieśla w Polsce może mieszkać w takim miejscu?

- Dlaczego nie? - Jej kuzynka zmarszczyła brwi.

- Wszystko tutaj zbudowane jest z cegły i pustaków. Nawet szopy są murowane...

- I bardzo dobrze, dzięki temu czerwoni go nie znaleźli. Zamaskował się idealnie.

- Żarty sobie stroisz!

- Założymy się?

Ruszyła do chaty oznaczonej feralnym numerem trzynastym. Zapukała do drzwi, a ponieważ nikt nie odpowiadał, obeszła domostwo i zajrzała na podwórze. Staruszek w ortalionowym dresie rąbał sobie drewno. Jego twarz wyrażała ujemny iloraz inteligencji, a siekierę trzymał, jakby po raz pierwszy w życiu dostał takie narzędzie do ręki. Polana leżące na stosikach wokoło wyglądały fatalnie. Każde innej długości, wszystkie niemilosierne krzywe...

- Daruj sobie - prychnęła Katarzyna.

- To kamuflaż. - Stanisława stanęła przed starcem. - Topór żelazny w próg wbijam, by mocom nieczystym do-
stępu do domu bronić - podała hasło.

Zamarł w pół ruchu i popatrzył na nią uważnie. Upłynęła najwyżej sekunda i pamięć zaskoczyła. Miał osiem lat. Godzinę wcześniej został sierotą. W spoconej dłoni trzymał pistolet ojca. Celował nawet tam, gdzie trzeba, ale nie mógł się przełamać, by pociągnąć za spust. Patrzył na dwóch czerwonoarmistów w budionówkach i nie był w stanie wystrzelić. Ten wyższy uderzył go w dłoń i broń upadła na piach. Z daleka dobiegał huk dział. 15 sierpnia 1920 roku. Nie wiedział jeszcze, że ten dzień przejdzie do historii.

Niższy Rosjanin wyjął z drewnianej kabury mauzera. Chłopiec odruchowo zacisnął oczy. Coś uderzyło go w czoło. Kula? Rozchylił powieki. Nie, to tylko krew chlapnęła. Dwaj zdekapitowani wrogowie wolno osuwali się na ziemię. Młoda dziewczyna w eleganckim stroju do konnej jazdy wytarła zakrwawione ostrze szabli irchą. Schyliła się, podniosła pistolet. Otrzeptała go z kurzu i przeładowała.

- Zaciął się? Na przyszłość pamiętaj, że rewolwer jest pewniejszy i poręczniejszy w użyciu - powiedziała, podając mu broń kolbą do przodu. - Jak masz na imię?

- Anzelm.

Przedstawiła się. Odruchowo pocałował jej dłoń. Z daleka wiatr niósł odgłos palby karabinowej.

- Dokąd ciągną główne siły? - zapytała.

- Na Radzymin - wykrztusił. - A sztab mają w Wyszkwowie. A nasi są podobno gdzieś tam. - Wskazał dłonią na południe. - Mówią, że armia idzie z Dębłina na północny zachód.

- Wracaj do domu i ukryj się - poleciała. - Płacze się tu masa maruderów.

- Ale ja... - Gestem wskazał słup dymu znaczący miejsce, gdzie płonął przysiółek.

Zrozumiała bez słowa.

- W takim razie jedź ze mną. Zdaje się, mamy do dyspozycji dwa konie. - Chabety zabitych pasły się opodal. - Karabiny zostawmy, są zbyt nieporęczne. - Odpięła mosiny przytroczone przy kulbakach i rzuciła je w krzaki. - Jeździłeś kiedyś konno?

Kiwnął głową.

To był ciężki dzień, ale przeżyli do wieczora. Przedzierali się w stronę polskich pozycji, przez pola, sady, opustoszałe wioski, sosnowe zagajniki, wydmy i błota.

Kobieta stosowała starą, partyzancką zasadę, wymyśloną jeszcze w czasie potopu szwedzkiego. Ukrywali się przed większymi bandami, wybijała do nogi mniejsze. Zdumiewała go precyzją, z jaką posyłała na tamten świat kolejnych żołdatów. Obojętnie, czy strzelała z nagana, czy cięła szablą, nigdy nie pozwoliła sobie na zbędny albo nieostrożny ruch.

Atakowała zawsze znieca, bez trudu likwidowała oddział nawet pięciu przeciwników. Nigdy nie strzelała w plecy, ale bez wahania dobijała rannych. Odbieranie życia nie sprawiało jej ani przyjemności, ani przykrości. Robiła to kompletnie bezrefleksyjnie, bez nienawiści czy wyrzutów sumienia, jak młynarz tępiący myszy. Wróg, który podepcze polską ziemię, ma pozostać w niej na zawsze. I tyle. Zabijała bez drgnięcia powieki i bez śladów zmęczenia. Próbował liczyć ciała, ale szybko go to znużyło. Kim była? Nie miał pojęcia. Momentami wydawało mu się, że to sama śmierć przybyła na pole bitwy. Ale czy kostucha przeszukiwałaby kieszenie i sakwy zabitych?

Jej garsonka pokryła się kurzem, toczek przekrzywił, pot skleił włosy, na twarzy miała szare smugi brudu, mimo to nadal sprawiała wrażenie eleganckiej. Była skuteczna, zabójczo skuteczna, ale jednocześnie wcale nie wyglądała na żołnierza. Samotna bogini łowów, która wybrała sobie taką a nie inną dwunogą zwierzynę. Szlachcianka z Kresów, twarda jak kawałek hartowanej stali, broniąca polskiej ziemi przed zbezczeszczeniem. Pistolet ojca się przydał. Anzelm wystrzelił trzy razy, trzykrotnie ratując jej życie. Umiała okazać wdzięczność. Tydzień później, gdy dotarli do Krakowa, zarekomendowała go do najstarszego i najszacowniejszego cechu.

- Droga pani Kruszevska. - Uśmiechnął się szeroko, a potem poblądł i odskoczył w tył, żegnając się odruchowo.

- Tfu! Zgiń, przepadnij, siło nieczysta!

- Ja też się cieszę, że cię widzę. Jest robota.

- Na tamtym świecie mam dwory stawiać? - Zasłonił się siekierą, cofając pomalutku.

- No co ty? - prychnęła. - Skąd to idiotyczne podejrzenie?

- Przychodzisz stamtąd? - Wskazał dłonią niebo. - Czy stamtąd? - Jego palec wycelował w ziemię.

- Żyję. - Wzruszyła ramionami. - Nie umarłam.

- Minęło osiemdziesiąt lat, a ty ciągle masz tyle samo? - Pierwsze zaskoczenie minęło.

Nie bał się. W jego głosie była wyłącznie ciekawość. Już wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy, wyczuł, że nie jest to zwykła kobieta. Choć nie sądził, że aż tak...

- Jak już wspomniałam, jest robota... Zbudujesz coś dla mnie?

- Skoro mnie odnalazłaś, wiesz, kim jestem - powiedział cicho. - Zresztą to poniekąd twoja zasługa. Wiesz, jakich prac się podejmuję. Ale dla ciebie zrobię wszystko. Nawet jeśli będzie trzeba stawiać chlewik z pustaków.

- To będzie naprawdę trudne zadanie. Trzeba postawić dwór. Tak, aby przetrwał pięćset lat. Z grubych belek. Niestety świeżych, nie mam czasu na leżakowanie drewna.

Uśmiechnął się pod nosem i gestem zaprosił kobiety do stodoły. Budynek aż po sufit wypełniony był drewnem. Pnie starannie ociosano. Musiały czekać tu od dawna. Surowiec był wyleżakowany, wysuszony, gotów...

- Liczyłem, że nim zamknę na zawsze oczy, pojawi się jeszcze jakiś spóźniony o kilka dziesięcioleci klient -

szeptał. - Jak duży dom chcesz stawiać?

Podawała mu plany wykreślone przez Alchemika. Rzucił na nie okiem i przez chwilę obliczał coś w pamięci.

- Wystarczy na styk. - Ucieszył się. - A może i trochę zostanie. Któż to rysował?

Na ostatniej stronie znalazł podpis mistrza Michała i jego brwi uniosły się do góry.

- Dzień niespodzianek - mruknął. - To i on żyje? Hm, w sumie można się było tego spodziewać. Jak to robicie?

- Mamy czerwoną tynkturę, kamień filozoficzny - wyjaśniła dziedziczka. - Umiejętnie dawkowany zatrzymuje procesy starzenia się organizmu. A dokładniej, wspomaga mnożenie się komórek i chroni DNA przed uszkodzeniami. Pierwszą dawkę łyknęłam, gdy miałam dwadzieścia jeden lat, i już się nie zestarzałam...

- Ciekawe. I często to zażywacie?

- Jedna porcja na mniej więcej pięćdziesiąt lat - wyjaśniła. - Jeśli sobie życzysz...

- Pięknie dziękuję. - Roześmiał się. - Przez następne pół wieku mam chodzić bez zębów, na wpół ślepy, z reumatyzmem, chorymi nerkami i wątroba, która dawno już przestała tolerować piwo? Tylko tego mi brakowało. A tak w ogóle, to ile naprawdę masz lat? - Przechylił głowę zaciekawiony.

- Nieładnie pytać damę o wiek - zażartowała. - Na kiedy możemy się umówić?

- Jeśli to niedaleko, to mogę jutro podskoczyć, obejrzeć miejsce. I załatw transport. - Wskazał belki.

- Ile to będzie kosztowało? Wzruszył ramionami.

- Dla przyjaciół zawsze pracuję za darmo.

* * *

Alchemik skończył pakować niewielką walizkę. Unikał podróżowania z dużym i nieporęcznym bagażem. Mały aparat cyfrowy, palmtop, bielizna, koszula na zmianę, krawat, na wypadek gdyby musiał nadać sobie bardziej godny wygląd, notatnik i wieczne pióro. Ubranie ma na sobie, zegarek na ręce, telefon w kieszeni. Pora ruszać w drogę. Zamówił taksówkę.

- Grafity volkswagen za pięć minut - zaszczebiotała dyspozytorka.

Zszedł spokojnym krokiem na dół. Samochód właśnie podjechał. Taksówkarz wykonał zachęcający gest.

- Pan zamawiał?

- Miało być grafitowe auto, a to jest czerwone - mruknął ze zdumieniem Alchemik, sadwiąc się na tylnym siedzeniu.

- Byłem bliżej - wyjaśnił taryfiarz, zapuszczając silnik - to mnie skierowali... Dokąd szanowny pan sobie życzy?

- Na lotnisko... - Michał urwał w pół słowa. W domniemanej taksówce nie było taksometru.

Instynkt zadziałał błyskawicznie. Alchemik szarpnął za klamkę, ale drzwi były już zablokowane. Po nóż nie zdążył sięgnąć, ukryta pod tapicerką siedzenia mata elektryczna poraziła go napięciem co najmniej piętnastu tysięcy volt. Świadomość zgasła.

Rozdział 2

Pociąg wtoczył się na peron. Laszlo i Arminius opuścili wnętrze wagonu. Od morza wiała przyjemna bryza. Wyszli przed budynek dworca. Drewniane, piętrowe domy, szerokie ulice, wokoło miasta pierścien wzgórz.

- Ładnie tu. - Młody uśmiechnął się lekko.

- Ładnie - przyznał stary.

Ruszyli przed siebie. Nad kanałem przerzucony był most. Zatrzymali się na chwilę, by popatrzeć na cumujące w dole łódki. Stare magazyny kupieckie stały na palach wyrastających prosto z wody. Poszli kawałek naprzód, potem skręcili w prawo. Wszystkie budynki wyglądały bardzo podobnie. Ściany z belek, obite zachodzącą na siebie, pomalowaną na biało klepką.

- Widzę tu raczej więcej pracy dla cieśli niż dla naszego Architekta, który chyba specjalizował się w monumentalnych budowlach z kamienia - mruknął Laszlo. - Wszystko z drewna.

- Pozory mogą mylić - odparł stary łowca. - Może to murowane, tylko obite tak, żeby wyglądało zgodnie z tradycją? Zresztą do centrum jest jeszcze kawałek...

Niebawem dotarli do maleńkiego hoteliku „Pod Wesołym Mnichem”. Siedząca w recepcji panienska potwierdziła ich rezerwację. Dostali ładny pokój od strony ulicy.

- Godzinka na odpoczynek i idziemy na miasto - zdecydował Arminius. - Trzeba się trochę rozejrzeć, a potem czeka nas praca w archiwum.

- Gdzie? - Jego towarzysz wytrzeszczył oczy.

- Pogrzebiemy trochę, zanim dobierzemy się do naszego ptaszka, trzeba wszystko bardzo starannie zaplanować.

Poleżeli tę godzinkę na wygodnych tapczanach, ze stopami opartymi o zagłówki, co wedle Arminiusa miało przyspieszyć regenerację sił witalnych, i mogli ruszać. Powędrowali przez Trondheim i niebawem dotarli do katedry Nidaros. Szarą bryłę kościoła otaczał rozległy park. Stare drzewa szumiały cicho. Po wysypanych zwierem alejkach przechadzali się turyści.

- Dawny cmentarz - mruknął Arminius, rozglądając się wokoło. - Zniwelowany, ale...

- Wyczuwasz coś?

- Nic szczególnego. Oni nie są żywi. Ale miejsce jest ciekawe. Z wielu różnych przyczyn - dodał i zamilkł.

- Sądzisz, że Architekt z jakiegoś powodu lubi tu przebywać? Coś go tu przyciąga?

- Tak mi się wydaje. Ten kościół wielokrotnie płonął, ciąży nad nim swoiste fatum. Ale za każdym razem wznoszono go na nowo, upiększano, przywracano mu dawną świetność. Ostatnia odbudowa zakończyła się ledwie kilkadziesiąt lat temu.

- Czy za każdym razem przykładał do tego rękę?

- Nie wiem. Do większości zmian tak, ale czy do wszystkich? To między innymi musimy sprawdzić.

Jedna z kaplic opleciona została rusztowaniami. Robotnicy czyścili szary kamień i uzupełniali wykruszone spoiny między blokami. Ubrani byli w koszule z logo firmy na plecach.

- Nawet dziś, nawet w tej chwili, jego myśli kierują się ku tym murom. - Stary przyrodnik patrzył na nich chłodno i badawczo. - Można powiedzieć, że to dzieło jego życia. Chyba największa rzecz, jaką stworzył.

- A Hagia Sophia?

- Może nie był głównym architektem? A może i tam pojawia się co jakiś czas, by likwidować uszkodzenia. Tak czy siak, teraz jest tutaj i mamy szansę go dopaść.

- Sądzisz, że przyjdzie skontrolować stan robót? Byłaby okazja, żeby go sobie poobserwować.

- Niewykluczone. Ale na razie chodźmy pozwiedzać. O człowieku najlepiej opowiadają jego dzieła.

- O ile Architekt jest człowiekiem... - mruknął Laszlo pod nosem.

Minęli sklepik z pamiątkami, kupili bilety. Stanęli przed frontonem budynku, podziwiając umieszczone na gzymsach figury świętych.

- Jedna z największych budowli sakralnych świata, najdalej na północ wysunięta katolicka katedra - westchnął stary. - Przed reformacją siedziba arcybiskupia zawiadującego dziesiątkami parafii i klasztorów. A teraz bezczeszcza ją jakieś heretyki po Lutrze...

- Zorganizujmy krucjatę. - Laszlo na wszelki wypadek nie przyznał się, że sam jest luteraninem.

Wkroczyli do mrocznego wnętrza. Przeszli ogromną nawą przedzieloną szerokim transeptem.

- Kiedyś stała tu srebrna trumna ze zwłokami świętego Olafa i było ocembrowane źródelko z cudowną wodą - powiedział Arminius. - Ech, czasy upadku...

Zajrzał do trzymanego w dłoni folderu. Obeszli boczne kaplice, przez długą chwilę podziwiali klejnoty koronne norweskich królów zamknięte w pancernej gablocie. Potem po stromych schodkach zeszli do krypty. Pomieszczenie było niskie. Masywne, kamienne filary podtrzymywały strop. Zgromadzono tu imponującą kolekcję średniowiecznych płyt nagrobnych i komemoratywnych.

- Przynajmniej raz został tu pochowany. - Laszlo zatrzymał się przed jedną z nich.

Przed wieloma dziesięcioleciaми musiała być wpuszczona w posadzkę kościoła. Powierzchnię kamienia wygładziły tysiące stóp. Napisy wytarły się, podobnie jak wizerunek zmarłego. Pozostał tylko zarys sylwetki. Ale

ciągle widać było filar dżed na piersi sportretowanego.

- Pochowany - powtórzył Arminius.

- Sądzisz, mistrzu, że to jedyna krypta? - Młody obrzucił wzrokiem pomieszczenie. Nisko sklepione przejścia prowadziły gdzieś dalej i dalej.

- Na pewno nie. Tę odkryto podczas odbudowy. Ale z pewnością jest ich dużo więcej.

- Skoro został tu choć raz pogrzebany, to może...?

- Sądzisz, że okresy, nazwijmy to, nieaktywności przesypania w którejś z krypt? Ciekawa koncepcja.

- Sprawdzimy?

- Trzeba by rozebrać kościół. - Arminius uśmiechnął się lekko. - Ale widzę w twoim rozumowaniu jedną drobną lukę.

- Bo...?

- Nie znamy charakteru tego stwora. Nie wiemy nic o jego biologii czy też bionekrozie. Pojawia się to tu, to tam, ale czy przesypania jakoś okresy, w których nigdzie nie stwierdziliśmy jego obecności, czy może cały czas wędruje po świecie?

- To też musimy sprawdzić.

- Oczywiście.

Wyszli z lochów i opuściwszy kościół, skierowali się w stronę kamiennych budynków opodal.

- Pałac biskupi - wyjaśnił łowca. - Muzeum archeologiczne i pracownie naukowe, ale nas bardziej interesuje archiwum i biblioteka.

Pół godziny później zasiedli w czytelnicy. Stary uruchomił czytnik. Dziewczyna obsługująca czytelników przyniosła mu kilka rolek mikrofilmów. Laszko zagłębił się w grubej monografii dotyczącej odbudowy katedry. Żaden z nich nie znał norweskiego, wypisali więc na kartkach kilka słów kluczowych i obłożyli się słownikami.

* * *

Stanisława obejrzała uważnie resztki gąsiora. Zielonkawe szkło, miejscami grubsze, miejscami cieńsze, pełne bąbli powietrza, tu i ówdzie naznaczone ciemnymi plamami zanieczyszczeń. Stare. Dziedziczka mogła się oczywiście mylić, ale przypuszczała, że baniak pochodził z początków dziewiętnastego wieku, a kto wie, czy nie był starszy. W każdym razie wykonano go w czasach, gdy każdy kawałek szkła był cenny, a stłuczoną flaszkę, zamiast wyrzucić, przetapiano na coś nowego. Teraz zawartość. Ostrożnie ściągnęła kruszącą się w palcach powłokę starego wosku. Sznurka po tylu latach nie zdołała rozsypać. Cztery grube zwitki wilgotnych papierzysk... W nozdrza uderzyła ją silna woń stęchlizny. Ostrożnie rozprostowała pierwszy. Akty własności Kruszewic, zaopatrzone w pieczęci cesarsko-królewskich kancelarii. Starsze dokumenty: wyciągi z ksiąg grodzkich, umowy kupna-sprzedazy, listy zastawne, jakieś weksle z końca osiemnastego stulecia.

- Gdyby uchwalono ustawę reprivatyzacyjną, miałybyśmy podkładkę do procesów o połowę tego powiatu - mruknęła.

Katarzyna w zadumie skinęła głową.

Drugi zwitek. Korespondencja, listy pisane różnymi charakterami pisma. Starsze i nowsze. Jeden opatrzony zamaszystym podpisem mistrza Michała, inny z autografem Jana III Sobieskiego. Instrukcje dla plenipotentów, sprawozdania, nawet kilka listów miłosnych. Znajoma kartka z ręcznie czerpanego papieru. Stanisława miała ochotę od razu schować ją pod obrus, ale powstrzymała się. Kuzynka, zafascynowana odkryciem, nie zwróciła uwagi na czerwień jej policzków. Dwa pozostałe pliki to część kronik majątku. Pierwszy, kilkadziesiąt kart bardzo chropawego papieru, pochodzi z Kruszewic Nowych. Drugi, dużo grubszy, powstał po powrocie na dawne śmieci. Niestety, nasiąkł wilgocią i tusz nieco się porozlewał.

- Trzeba będzie wysuszyć i zakonserwować - zauważyła Katarzyna. - Sądzę, że nawet da się odczytać...

- No, nie wiem. - Stanisława pokręciła z powątpiewaniem głową, patrząc na stronicę zapisane niewprawnym pismem jej ojca. - Plamy zajmują sporą powierzchnię.

- Zaczniemy od zeskanowania tego z dużą głębią kolorów - zdecydowała agentka. - I spróbujemy wyciągnąć coś za pomocą zabaw kontrastem. Jeśli to nie pomoże, zrobimy zdjęcia w podczerwieni i ultrafiolecie.

- A jeśli i to nic nie da? - zaciekała się Monika, stając w drzwiach.

Musiała usłyszeć koniec rozmowy...

- Termowizja, rentgen i inne takie - uśmiechnęła się Katarzyna. - Ale na razie trzeba po prostu delikatnie to wysuszyć. A potem napiszemy historię rodu. - Spojrzała spod oka na kuzynkę.

- Nieczęsto bywałam w domu - powiedziała Stanisława - ale pomogę ci. W dokumentach z pewnością nie ma wszystkiego.

* * *

Przebudzenie nie należało do szczególnie przyjemnych. Leżał na czymś twardym i nierównym. Otworzył oczy. Przetoczył wzrokiem wokoło. Niewielka cela, solidne ściany z czerwonej cegły. Zamurowane okienko. Nieduże

drzwi, drewniane, ale okute metalem. Pod sufitem zapalona goła żarówka, obok kamerka przemysłowa i głośnik. Podłoga też ceglana, położona raczej krzywo, na ścianach zacieki. Instykt podpowiedział mu, że znajduje się pod ziemią. Pociągnął nosem. Paskudna, piwniczna woń... Nie, nie do końca piwniczna. Powietrze jest stęchłe, ale nie czuć w nim pleśni, gnijących kartofli ani zbutwiałego drewna. Ciekawe.

- Witamy serdecznie - wychrypiął głośnik. - Mistrzu Michale, jesteście szczęśliwi, widząc cię w naszych skromnych progach.

- Kim jesteście? - zapytał Sędziwój.

- Zgadnij...

W zasadzie nie było to trudne. Niewielu wrogów poznało jego tożsamość.

- Bractwo Drugiej Drogi - mruknął pod nosem, ale mikrofon był na tyle czuły, że zdołał to wychwycić.

- Do usług, mistrzu.

Tylko wrodzona kultura powstrzymała go przed ciśnięciem soczystej wiązanki. Ci, których poranili z Laszlo w potyczce, nie wzięli udziału w ostatecznym starciu na podwórzu kamienicy. Jak mógł o nich zapomnieć?

- Czego chcecie? - syknął. - Zdaje się, że przez was spóźniłem się na samolot. - Dotknął przegubu, ale po zegarku zostało tylko wspomnienie.

- Skrywasz, mistrzu, pewien sekret, który, naszym zdaniem, powinien służyć ogółowi.

- To znaczy wam? - westchnął.

- No właśnie. Nam jako reprezentantom ogółu.

- Kim jesteś? Lubię rozmawiać z ludźmi, których potrafię jakoś nazwać. - Alchemik zlustrował ściany swojego więzienia.

- Wilk, Wielki Mistrz Bractwa Pierwszej Drogi.

- Drugiej Drogi. - Przekora nie opuszczała go nawet w tak paskudnej sytuacji.

- Nie ma żadnego racjonalnego powodu, byśmy stosowali twoją terminologię. Zresztą jest to bez znaczenia. Chcemy posiadać wiedzę o stosowaniu obu metod pozyskania kruszcu. Oraz, oczywiście, zdobyć nieśmiertelność, którą daje czerwona tynktura. W zamian darujemy ci życie i nawet zwrócimy wolność.

- Wrusza mnie wasza hojność - rzucił z sarkazmem. - A jeśli odmówię?

- Na początek, dla podkreślenia wagi naszych słów, przez tydzień nie damy ci nic do żarcia. Jeśli to nie pomoże, no cóż, przez ostatnie stulecia opracowano szereg nowych, interesujących metod zadawania niewyobrażalnych wręcz cierpień. Zamierzamy wypróbować kilka najbardziej widowiskowych.

- Zatem zacznijmy od tego tygodnia głodówki. - Mistrz Michał wrzucił ramionami. - Pozwolicie, że potraktuję to terapeutycznie, niedostatek kalorii jest niekiedy pożądany.

- Wody też nie dostaniesz - warknął głośnik i zapadła cisza.

Żarówka zgasała. Alchemik pokręcił głową i westchnął ciężko. Obszukał kieszenie. Były puste. Prześladowcy nie zaniechali niczego, zabrali mu też pasek od spodni, buty zniknęły. Nie miał przy sobie nic metalowego. Podszedł do drzwi i zbadał ich konstrukcję. Otwierały się do środka, solidne drewno okute żardzewiałą nieco blachą, ładnych szpar, dopasowane idealnie... Tędy się nie wystanie. Opukał ściany. Tu też żadnej fuszerki, stara, wapienna zaprawa skamieniała na amen, cegły wypalono nieomal jak klinkier. Przymknął oczy, wywołując z pamięci obraz celi. Kamera ma metalowy wspornik, można by nim wiercić w murze, ale wisi dobre trzy i pół metra nad podłogą. Nie da rady doskoczyć.

A zatem trzeba przeczekać... Raz już zdarzyło mu się znaleźć w podobnych tarapatach. Dawno, dawno temu, gdy pechowy splot wypadków zaniósł go do katowni gestapo. Jeśli wtedy mu się udało, to i teraz sobie poradzi. Zdjął kurtkę i spodnie, położył je na podłodze. Temperatura jest odpowiednia, ale należy unikać wilgoci. Odebrał od koszuli pasek materiału, przedarł go na cztery części, zwinął ciasno, zatkał sobie uszy i nozdrza. Położył się na wznak. Myśli biegły leniwie, puls uspokoił się, zwolnił. Jedno uderzenie serca na dziesięć sekund, jedno na trzydzieści, jedno na minutę... W tym momencie przerwał na chwilę, by połknąć język. Wytracił ciepło, dostosowując się do temperatury otoczenia. Plus dziesięć stopni wystarczy. Wszystkie czynności fizjologiczne zwolniły. Dobrze, że nic nie jadł od wczorajszej kolacji. Jedno uderzenie serca na pięć minut... Myśli gasły, aż pograżyły się w głębokim transie.

* * *

Stary cieśla przyjechał do wsi na rozklekotanym motorowerze. Katarzyna na ten widok wybałuszyła oczy. Staruszek mimo dziewięciu krzyżyków na plecach doskonale sobie radził z tym środkiem lokomocji. Niespiesznie ruszył w stronę oczyszczonego już fundamentu.

- W szeregu zbiórka! - zakomenderowała Monika.

- Że co? - zdziwił się Heniek, ale groźny wzrok dziewczyny szybko przywrócił mu zdolność wykonywania poleceń.

- Baczność! Czapki z głów! - wydarła się na nich. - Prezentuj broń!

Ustawili się jak pod sznurek, szpadle złapali niczym żołnierze na paradach, gdy trzymają karabiny. Pan Anzelm uśmiechnął się lekko do dziewczyny i popatrzył na robotników. Skrzywił się demonstracyjnie.

- Do roboty - rzuciła pod ich adresem. Wrócili do kopania rowu.
 - Wasza wysokość! - Cieśla bez wahania rozpoznał w niej arystokratkę. - Proszę mnie oprowadzić.
 - Fundament z bloczków wapiennych, otoczony murkiem granitowym - zaraportowała. - Ganek od strony wsi.
 Wyjął z kieszeni nóż, zbadał spoiny w kilku miejscach.
 - Umieci kiedyś budować. - Pokręcił głową. - Wapno związało na kamień. Tu i ówdzie trzeba podbetonować i możemy stawiać, choćby jutro... A właściwie moglibyśmy. - Spojrzał na podwładnych, którzy wykorzystując fakt, iż Monika jest zajęta, oparli się o łopaty.
 - To prawda - westchnęła. - Wszystko robią tylko pod przymusem... O, jest i dziedziczka...
 - Witaj. - Stanisława uśmiechnęła się do starego. - Transport będzie na rano. Przyjadą i zapakują wszystko, co trzeba. Problem w tym, że nie mamy dobrych cieśli.
 - Pozwoliłem sobie wezwać własnych. Dwaj mili górale z ukraińskich Karpat. Trzeba im będzie tylko trochę zapłacić. Niewiele, bo głównie zależy im na nauce fachu. Cztery lata mnie męczyli, żebym ich wziął do terminu.
 - Oczywiście - uspokoiła go. - Kiedy się ich spodziewać?
 - Wyruszyli wczoraj po południu, może dziś dotrą, może jutro rano. Ech - westchnął. - Nie sądziłem, że kiedyś jeszcze będę budował dwory. Czuję, jak krew żywej kraży mi w żyłach...
 - Czy cech jeszcze istnieje? - zainteresowała się Monika.
 - Nie sądzę. Ostatni kontakt miałem z nimi ponad trzydzieści lat temu - wyjaśnił. - Ale tamci jakoś się o mnie zwiędzieli. A zatem do jutra.
 Wsiadł na swój motor i po chwili już mknął przez dolinę otulony mgiełką zjadliwie cuchnących spalin.

* * *

Nad osadą zapadał ciepły, letni zmierzch, gdy na drodze pojawił się koszmarnie zdezelowany duży fiat. Boki pojazdu znaczyły bąble rozwijającej się pod lakierem korozji. Silnik rzeźił jak potępieniec.
 - Oho! - Stanisława oderwała wzrok od mięsiwa piekącego się na grillu. - Zdaje się, nasza ekipa przybywa.
 Gruchot przejechał przez wieś, wyjąc silnikiem, pokonał stok wzgórze i wreszcie zatrzymał się z piskiem o rzut kamieniem od placu przyszłej budowy. Upiornie zgrzytnął zaciągany hamulec, po czym z jękiem zarośniętych rdzą zawiasów otworzyły się drzwiczki.
 Z wnętrza wygramolili się dwaj młodzieńcy, jeden wysoki i szczupły, drugi prawdziwy olbrzym, szeroki w barkach jak szafa. Wrodzone poczucie elegancji nakazywało im noszenie haftowanych huculskich koszul i ortaliowych spodni od dresu. Do brązowych mokasynów ze smakiem dobrali oślepijąco białe skarpetki, na przegubach dłoni dyskretnie połyskiwały tureckie podróbki szwajcarskich zegarków. Jeden miał na głowie nieprawdopodobnie wyszmelcowany kowbojski kapelusz, drugiego zawiązana fantazyjnie chustka upodabniała do pirata.
 - Barinia Kruszewska, my som... - zaczął ten potężniejszy głuchym, gardłowym głosem, podczas gdy jego żyłasty towarzysz wykonał głęboki ukłon, zamiatając kapeluszem ziemię.
 - Pani wybaczy - odezwał się po polsku, ze śpiewnym, kresowym akcentem. - Mój brat nie włada, niestety, piękną mową Słowackiego i Mickiewicza. Ale niezłe rozumie...
 - Cieśle do budowy dworu - domyśliła się Stanisława natychmiast. - Zaczniemy jutro - przeszła płynnie na ukraiński. - Na razie zapraszam na kolację.
 Jej przyjaciółki przesunęły się, robiąc miejsce przy grillu.
 - Pawło Miedwiedzuk - przedstawił się olbrzym w chustce.
 - A ja jestem Ihor - dodał szczupły. Dziewczyny wymieniły swoje imiona. Monika wzięte bochenek chleba, pocięła go na grube pajdy. Mięso już dochodziło. Przybysze przynieśli z samochodu dwie butelki mołdawskiego wina.
 Rozklekotany star przyjechał o ósmej rano. Czeceńcy musieli pakować go przez pół nocy. Teraz sprawnie zabrali się do wyładunku. Obaj Ukraińcy wygramolili się ze swojego samochodu i rażno ruszyli do pomocy. Wreszcie pusta ciężarówka zawróciła po następną partię belek. Anzelm przyjechał na swoim komarku. Spomiedzy belek wyciągnął przywiezioną przez Czeceńców torbę narzędzi. Dziwne, archaicznie wyglądające dłuta, świdry, jakieś nieduże siekierki, trochę nowoczesnego sprzętu, profesjonalne piły tarczowe i wiertarki firmy, której nazwy agentka nigdy nawet nie słyszała.
 Stanisława rozwinęła kilka trzydziestometrowych przedłużaczy i uruchomiła agregat prądotwórczy. Stary mistrz i obaj cieśle obnażyli głowy. Czeceńcy rozłożyli dywaniki, a potem uderzyli czołami w stronę Mekki. Chwila modlitwy przed rozpoczęciem pracy. Anzelm zapalił kaganek i obszedł fundament dookoła. Niech ogień oczyści to miejsce. Obmiótł schody i z szacunkiem dotknął dłonią znaku dzed wykutego na jednym ze stopni.
 - Monika mówi, że to gmerk, czyli znak architekta - powiedziała Katarzyna.
 - I to nie byle jakiego. - W głosie starego zabrzmiał głęboki szacunek. - Samego założyciela naszego cechu, Hirma, wielkiego budowniczego świątyni Salomona. Uczyniony jego ręką...
 - E, może ktoś inny sobie przywłaszczył - mruknęła. - Nie sądzę, żeby ten kamień przywieziono aż z Jerozolimy. Stary uśmiechnął się kpiąco, ale nic nie powiedział. W niedużym plastikowym kubelku wymieszali trochę dziwnej zaprawy, pokryli kamienie i zaczęli układać belki. Kładli je w dwa rzędy, zostawiając tylko niewielki odstęp.

Pierwsza warstwa, druga... Stary mierzył i zaznaczał na drewnie linie cięcia. Agentka i alchemiczka poszły do sadu i zabrały się do pracy. Monika zaczęła nosić ciężkie kłody. Na ten widok brwi Ihora uniosły się do góry. Nic nie powiedział, ale od czasu do czasu rzucał jej badawcze spojrzenie. W wolnej chwili szepnął coś bratu. Starali się ani na moment nie odwracać do niej plecami. W końcu zauważyła. Stała przed Pawłem, wzięła się pod boki.

- No i co? - zagadnęła. - Coś się wam nie podoba? Olbrzym zacisnął tylko pięści.

- *Chto ty? Upir czy wowkulaka.* - zapytał Ihor. Rozejrzała się za Stanisławą.

- Pyta, czy jesteś wampirem, czy wilkołakiem - wyjaśniła pogodnie alchemiczka.

- Sam zgadnij. - Księżniczka uniosła język i strzeliła w powietrze ssawką.

Ihor jednym susem znalazł się między nimi i zasłoniwszy brata własnym ciałem, dobył z pochwy sztylet. Nie atakował, czekał skupiony, i tylko krople potu pojawiły mu się na skroni. Pawło, wyglądając nad jego ramieniem, otworzył usta w olśniewającym uśmiechu. Wszystkie zęby miał trójkątne. I było ich naprawdę dużo.

- Mojej przyjaciółki się czepiasz, a twój brat to zdaje się *czuchajster* - warknęła dziewczynka.

- Może byście się tak wzięli do roboty? - Anzelm nadszedł, związując taśmę mierniczą. - Jak dotąd nikt chyba nie obudził się zjedzony ani pogrzyziony? Więc po co się kłócić?

- Dobra, dobra. - Ihor uśmiechnął się lekko. - Gryźć nie będziesz?

- Nie używam ludzi - prychnęła Monika. Schował nóż. W południe Czecczeńcy przywieźli resztę drewna i już zostali do pomocy. Do pierwszej ściany wyrosły blisko metr w górę. Stary chodził z wiertarką i robił dziury, a jego dwaj pomocnicy wbijali w nie kołki. Jak do tej pory nie użyli ani jednego gwoźdźca. Monika pomagała im, poranne nieporozumienia poszły w niepamięć.

Kruszewskie zabrały się do robienia obiadu. Katarzyna pozbierała niepotrzebne obrzynki desek i dorzuciła na grill. Płomień liźnął je po wierzchu i przygasł. Spróbowała rozdmuchać żar, ale nic to nie dało. Po prostu nie chciały się palić.

- Co za licho?

Grube, sosnowe polano leżące obok zajęło się bez trudu.

- Dobre drewno budowlane - powiedziała przechodząca obok księżniczka. - To się nie zapali.

- Nasączone impregnatem czy co?

- Nie. Są w roku specjalne dni. Księżyc musi być w odpowiedniej fazie. W dzień się wybiera drzewa, bo nie wszystkie się nadają, a nocą o określonej godzinie ścina. Takie drewno potem się nie pali.

- Bzdury gadasz. - Agentka polala kawałek deski rozpałką i wsadziła do ognia.

Buchnął płomień, powierzchnia okopciła się, a potem wszystko zgasło.

- Kurde!

- I właśnie dlatego takim jak Anzelm płacono czasem nawet tyle złota, ile ważyli. - Monika uśmiechnęła się lekko, widząc jej furję. - Spróbuj termitem - doradziła.

- Tylko może lepiej po obiedzie - mruknęła Stanisława, rozkładając kiełbasę na ruszcie.

- Mhm... - Jej kuzynka po raz kolejny stwierdziła, że niewiele jeszcze wie o życiu. - O co chodziło z tymi zębami?

- Pawło jest *czuchajstrem*.

- Co za diabeł?

- Oj tam, zaraz diabeł, nie przesadzajmy. Czasem wśród Hucułów rodzą się tacy. Mają ostre zęby i rosą strasznie wielcy. Dawniej wyganiano ich, żeby żyli w lasach.

- Zwykła anomalia genetyczna?

- Mniej więcej jak w przypadku Moniki.

Informatyczka poczuła straszliwy zamęt w głowie.

- Wilkołaki też istnieją? Może jeszcze elfy i krasnoludy? - prychnęła.

- Może teraz, gdy nie gotuje się już często na piecu, wymarły. Wilków też już nie ma tak dużo...

- Co ma piernik do wiatraka?

- Wilkołak rodzi się, gdy kobieta nie uważa i kawałek węgla wpada jej do garnka podczas gotowania wigilijnej wierzchy. Drugim sposobem jest zjedzenie mięsa ze zwierzęcia, które rozszarpały wilki. Jeśli potem urodzi dziecko... Tak przynajmniej opowiadali. Nie wiem. Nigdy nie spotkałam *oborotnia*, choć w dzieciństwie dużo się o nich nasłuchiłam.

* * *

Po obiedzie praca ruszyła z kopyta. Agentka z niedowierzaniem patrzyła, jak ściany rosą w oczach. Z drugiej strony, odpowiednio ponacinane, świetnie spasowane belki łączyło się równie łatwo jak klocki lego. I pracowało tu jednocześnie kilkunastu fachowców. Skończyli o dziewiątej.

- Tydzień takiej roboty i będziecie mogli już mieszkać - stwierdził Anzelm z zadowoleniem. - Umów hydraulika na środę.

- Oczywiście - uśmiechnęła się Stanisława.

Stary majster wszedł na motorower i pojechał. Czecczeńcy zapakowali się na ciężarówkę i również ulotnili.

- Uaaa... - Katarzyna przeciągnęła się. - Sporo zrobiliśmy. Pora odpocząć.

- A ja się przewietrzę. - Monika tęsknie spojrzała w stronę konia przypalikowanego na łące.

Kilka minut później zniknęła już na skraju lasu. Kruszewskie odprowadziły ją spojrzieniami.

Dziewczyna kolanami ścisnęła klacz. Konik posłusznie zatrzymał się, zeskoczyła z siodła. Tak. Wzrok jej nie mylił, na ściółce pod drzewem leżało poroże jelenia. Podniosła je, złapała za końce i lekko zgięła. Musi tu leżeć od wiosny, ale na pewno nie jest starsze. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Z pochwy na tydziec wyjęła bułatowy sztylet i ostrożnie nacięła róg. Idealny. Przytroczyła znaleźisko do siodła. Teraz jeszcze odpowiednie drewno. W lesie rośnie kilka cisów, ale są zbyt marne, by mogły się nadać do jej celów. Zresztą, zdaje się, tu, w Polsce, są pod ścisłą ochroną. Zamyśliła się. Korzeń brzozy? Skoro nie ma nic lepszego...

Na placu budowy nie było nikogo. Ukraińcy myli się nad rzeczką, dziewczyny robiły kolację. Wszystkie narzędzia pod ręką, a zatem do dzieła. Imadło, laubzega... Dawno tego nie robiła, ostatni raz jakieś cztery stulecia temu, ale szybko sobie wszystko przypomniała. Niektórych rzeczy jej brakuje. Na przykład nie ma jelenich ściąg. Czym można je zastąpić? Pod płótem poniewierały się resztki połamanych nart. Ciekawe, kto je tu zgubił. Włókno szklane? Od biedy może być. Elementy trzymają się wzajemnie dzięki skomplikowanemu systemowi nacięć. W zasadzie nie musiała ich nawet kleić, ale skoro akurat miała pod ręką szybkowiążącą żywicę epoksydową... Koń stracił z ogona kilka kosmyków włosów. Splotła cięciwę w warkoczyk i natarła woskiem. Na strzały idealnie nadały się bambusowe pręty przywiezione ze sklepu ogrodniczego.

Naciągnęła potężnie i wypuściła strzałę, by zobaczyć, jak niesie. Łuk z poroża jelenia. Przypomina te, którymi w dzieciństwie polowała na sarny daleko stąd, w lesistej krainie, którą potem nazwano Bośnią. Nie jest tak dobry, jak robione przez specjalistów, ale przecież nie musi strzelać z niego do ludzi. Pojawiła się na kolacji z bronią w dłoni.

- Chcesz sobie poćwiczyć strzelanie do tarczy? - zdziwiła się Katarzyna.

Jej kuzynka ujęła łuk i wypróbowała.

- Mocny - pochwaliła. - Pójdziemy zapolować na dziki?

- Można i na dziki - uśmiechnęła się księżniczka. - Choć myślałam raczej o drobniejszej zwierzynie. W tym waszym lesie jest masa królików, a na łąkach widziałam bażanty.

- Kłusownictwo - ziewnęła Katarzyna. - Przystępstwo kryminalne, zagrożone karą pozbawienia wolności do trzech lat lub karą grzywny w wysokości...

- No co ty? - zdumiała się Monika. - Na własnej ziemi polować nie można?

- Takie bzdurne przepisy tu obowiązują - prychnęła Stanisława. - Prawa własności są w tym kraju deptane. Uważaj więc, żeby nikt obcy cię nie przyłapał. A jakby ktoś pytał, powiedz, że bawisz się w Indian.

* * *

Ukraińcy wygrzebali się z samochodu o szóstej rano. Ochlapali twarze w rzece, zjedli kilka kanapek przygotowanych przez Katarzynę i wzięli się do roboty. Księżniczka przeszła się po barakach, postawiła na nogi swoich robotników i zagoniła do przygotowywania rowów pod rury. Pierwszy wykop biegł w stronę stawu, dwór będzie brał wodę blisko źródła. Drugi, na ścieki, kończył się chwilowo sporą dziurą w ziemi. Szambo biologiczne dowiozą i zainstalują dopiero za kilka dni.

Tubylcy kopali, przeklinając, kac strasznie dawał im się we znaki. Co jakiś czas spoglądali w stronę dworu. Obaj cieśle, nie czekając na pryncypała, zwijali się jak w ukropie. Zaraz też pojawili się Czecczeńcy z kolejną ciężarówką belek. I też zakasali rękawy.

- Ła-mi-strajki - stary Maciej wydukał zapamiętane w młodości słowo. - I gdzie im się tak spieszy?

- Lubią pracować - odparła Monika.

- Hy, hy, hy, frajerzy! - Heniek parsknął śmiechem.

Po chwili wtórowali mu pozostali. Księżniczce opadły ręce. Czowała, że jakiegokolwiek porozumienie jest kompletnie niemożliwe. Do obiadu skończyli pracę i poszli do swoich chałup.

Wracała na plac budowy głęboko zamyślona. Do popołudnia ściany podciągnięto już prawie pod dach. Anzelm uśmiechnął się lekko. Ulubiona robota przywróciła mu siły, zdjęła co najmniej dwa krzyżyki z pleców. Wymieniając uprzejmości z dziewczyną, nie przerwał ani na moment swojej pracy. Operując z ogromną wprawą toporkiem, obrabiał grubą belkę.

* * *

- Idę pojeździć - oznajmiła księżniczka. - Konika trochę przewietrzę... O której będzie kolacja?

- Jak ją zrobisz - burknęła Katarzyna.

- No to o dziewiętej - zdecydowała z uśmiechem. Nie potrafiły się na nią gniewać. Założyła klaczy damskie siodło i tyle ją widziały.

- Dzikie dziecko - westchnęła agentka. - Więcej się po lasach włóczy, niż w domu siedzi.

- Jak ja w jej wieku - mruknęła alchemiczka. - A, nieważne... - Przypomniała sobie, kiedy urodziła się ich przyjaciółka.

Pół kilometra dalej Monika zeskoczyła z klaczy i złapała za uzdę. Koń położył jej głowę na ramieniu. Tu, ze szczytu wzgórza, osadę widać było jak na dłoni. Dziedziczka tchnęła życie w tę zapomnianą przez ludzi dolinę. Mały trak huczał ponuro, tnąc grube belki. Obsługujący go mężczyźni z wprawą obracali ciężkimi kłocami, łapiąc je za pomocą siekierek trochę podobnych do góralskich ciupag.

Woda wypływała ze szczeliny pomiędzy głazami. Nieco niżej w zamierzchłej przeszłości wykopano spory zbiornik. Kto go zbudował? Kiedy? Jego brzegi wyłożono niedużymi kamieniami, dno pokryte drobnymi żwirami wydawało się idealnie równe. W najgłębszym miejscu sadzawka miała może ze trzy metry przy dwudziestu metrach średnicy. Woda była cudownie przejrzysta. Trzeba będzie go tylko pogłębić, muł rozwiezie się na pola. Solidne fundamenty młyna wymagają podbetonowania. Na przepuszczenie, w miejscu, gdzie kiedyś kręciło się koło, można by zainstalować niewielką turbinę. Wieś będzie miała prąd za darmo.

Dziewczyna puściła klacz, aby mogła się napić, a sama zsuła buty i zamoczyła stopy w wodzie. Nagrzana przez cały dzień była przyjemnie ciepła. Staw jest podobny do sadzawki, nad którą przeszła inicjację. Dawno, dawno temu, daleko stąd... Tylko woda jest dużo chłodniejsza, a na brzegu nie ma ruin antycznej willi.

Księżniczka wahała się tylko przez chwilę. Wszyscy zajęci są pracą, nikt jej nie zobaczy. Zrzuciła ubranie i, całkiem naga, ostrożnie się zanurzyła. Przyjemnie było zmyć pot i kurz. Czują gładkie kamienie pod stopami, woda zamknęła się wokół jej drobnych, kształtnych piersi, nieoczekiwana pieszczota przeszła ciało słodkim dreszczem. Zanurkowała. Zeszła prawie do dna, poczuła ciężar, miły ucisk w płucach, szum w uszach... Trzy minuty na wstrzymanym oddechu wystarczą. Wybiła się na powierzchnię i znowu dała nurka.

Coś błysnęło na dnie. Poblask słońca na kawałku szkła? Nie... Dłoń przegrzebała kamyczki. Nic. Monika wynurzyła się, zaczerpnęła potężny haust powietrza i ponownie zanurkowała. Gdzie to było? Charakterystyczny kawałek czerwonego granitu. Obok? Zanurzyła dłoń w żwirze. Mogła wstrzymać oddech na bardzo długo, ale niebawem znowu zaczęło brakować jej powietrza. Naraz poczuła pod palcami jakiś kształt. Sznurek? Nie było już czasu sprawdzać. Wypłynęła.

Dłuższą chwilę patrzyła zdumiona na swoje znalezisko. Na grubym, złotym łańcuszku połyskiwał spory kamień, oprawiony także w złoto. Zważyła łup w dłoni, pięćdziesiąt gramów, może więcej. Ktoś to zgubił? Kruszec był ciemny, pewnie bardzo długo leżał w mule... Przyjrzała się kamieniowi. W ciągu swojego długiego życia trzymała w rękach niezliczoną ilość rozmaitych klejnotów. Nauczyła się je rozpoznawać. Na pierwszy rzut oka odróżniała oliwiny od szmaragdów, szlifowane granaty od rubinów. Ale co to, u licha, jest? No nic, zbada to na spokojnie w domu.

Ciągle była naga, zresztą i tak nie miała w sukience odpowiedniej kieszeni, więc zawiesiła łańcuszek na szyi. Pogładziła konia po nosie. Klacz ostrzegawczo położyła uszy po sobie.

Szósty zmysł podpowiedział księżniczce, że jest obserwowana. Błyskawicznym ruchem sięgnęła po łuk i kołczan. Obróciła się na pięcie od razu gotowa do strzału. Zostawi podglądaczowi pamiątkę na całe życie. Szybkim spojrzeniem zlustrowała krzewy i zagajnik. Pusto. Pochyliła się, celując pod końskim brzuchem, ale także po drugiej stronie nikogo nie dostrzegła. Dziwne...

Założyła sukienkę na gołe ciało i teraz już spokojnie zabrała się za badanie okolicy. Z daleka niósł się warkot traka, ale poza tym panowała cisza. Dziewczyna wskoczyła na siodło, zatoczyła krąg wokół źródła. Ani żywego ducha. Spod nóg klaczy wyrwał się spłoszony królik. Od wielu godzin nikogo tu nie było... A może ktoś, przechodząc opodal, rzucił jedno spojrzenie w stronę stawu, zobaczywszy nagą dziewczynę, kulturalnie odwrócił wzrok i poszedł dalej? Nie, chyba nie... Zawróciła, pozbierała bieliznę i ponownie wskoczyła na konia. Gdy zjeżdżała w dolinę, powiał wiatr. Mokre włosy ciężko opadały jej na ramiona.

Obaj Ukraińcy pod kierunkiem starego Anzelma nacinali w belkach specjalne zamki. Tak wzmocnione zręby chat bez trudu oprą się nawet bardzo silnym wichrom. Na widok księżniczki przerwali robotę i uśmiechnęli się. Skinęła im głową.

* * *

Stanisława ujęła klejnot w dłoń.

- Dziwne - mruknęła. - Nie znam takiego kamienia...

- Hmm - zadumała się Katarzyna, przejmując błyskotkę. - Czerwony jak rubin...

Zapatrzyła się w skomplikowany wzór z zielonych plamek i złocistych prążków wybiegających z wnętrza kamienia ku krawędziom.

- Może jakiś syntetyk? - podsunęła. - Z tlenków glinu pod wysokim ciśnieniem robią różne ciekawostki.

- Oprawa i łańcuszek wyglądają na bardzo stare - zaoponowała jej kuzynka. - Wszystkie szczegóły są grube, toporne... Nawet mnie wydaje się archaiczny. Szlif fasetowy, myślę, że ten drobiazg może pochodzić z piętnastego wieku. A kto wie, czy nie jest starszy.

- Nie przypomina wyrobów bizantyjskich ani bałkańskich - stwierdziła księżniczka. - Jest na to zbyt prymitywny. Nie widziałam nigdy niczego podobnego.

- Kaukaz? - podesuwała agentka. - A może dalej na wschód?

- Ani Gruzja, ani Armenia. Ozdoby z Wielkiego Stepu i Ałtaju też miewałam w ręce... - Monika pokręciła głową.

- Ani arabskie, ani etiopskie... A niech mnie - zachnęła się alchemiczka. - Może jakiś miejscowy kowal bawił się kruszcem? Tylko to szkiełko...

- Przecież nie spadło z kosmosu - uśmiechnęła się agentka.

Obie jej przyjaciółki podniosły głowy tknięte jedną myślą.

- Skądś musiało się wziąć - powiedziała Stanisława. - Nieznany kamień, może wykonany syntetycznie... Tamci zgubili, nasi znaleźli i oszlifowali.

- Ufoludków nie ma - stwierdziła stanowczo Katarzyna.

Żadna nie odpowiedziała, ale obie zadumały się głęboko. Wreszcie Stanisława wyjęła z torebki aparat cyfrowy.

- Poślę zdjęcie Alchemikowi - zdecydowała. - Może on będzie wiedział? A na razie trzeba coś konkretnie zaplanować...

Rozłożyły na stole zaimprovizowaną mapkę okolicy.

- Mamy tu ładny południowy stok wzgórze. - Katarzyna stuknęła ołówkiem. - Sądzę, że spróbujemy założyć tu winnicę. Jeśli kiedyś zliberalizują przepisy, oprócz wina będzie można też pomyśleć o produkcji koniaku.

- Albo i od razu. - Stasia uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- Tak czy siak, pierwsze plony z tych winorośli będą za pięć lat - ostudziła ją agentka. - Po drugie, tu rosną pi-gwy. - Zaznaczyła obszar. - Rosną dziko i bez sensu.

- Co radzisz?

- Rozsadzimy krzewy tutaj. - Zakreskowała stok za dworkiem. - To wprawdzie dzika odmiana, ale przy dobrym nawożeniu powinniśmy poprawić plony. Ciekawe, ile tego będzie jesienią.

- Zawiązków owoców jest dużo - uspokoiła ją kuzynka. - To powinien być dobry rok. Teraz dereń.

- Kilkadziesiąt dużych krzaków. I też powinien być w tym roku urodzaj.

- Dereńówka, powiadasz?

- Nie tylko. - Alchemiczka przez chwilę grzebała w pamięci. - O, jeszcze robiliśmy z niego sos do mięsa.

- Tak czy inaczej, krzaki trzeba rozsadzić. Zobaczyć, czy są odrosty, zwiększyć powierzchnię uprawy. Ale to jesienią. Co by tu jeszcze? Nasadzimy orzechów, ale zaowocują chyba dopiero po paru latach... Może olej z wiesiołka? Obsiejemy wiosną pola, jeśli tylko uda się zdobyć ziarno.

- A kto by pił takie paskudztwo? - Kuzynka spojrzała na nią zaskoczona.

- Miłośnicy medycyny naturalnej. Pasieka? Łąk w okolicy cała masa. I lipy rosną. Miodu pitnego też można...

Alchemiczka spojrzała na kuzynkę spod oka.

- Co ty bez przerwy z tym alkoholem? - zaciekawiała się. - Chcesz chłopów rozpijać?

- Nie, po prostu myślę ekonomicznie, na co w tym kraju idzie najwięcej pieniędzy, a co do rozpijania, to może warto postawić u wylotu doliny karcznię?

- Dla tych denaturatowców?

- Nie, zastanawiam się nad agroturystyką. Wiesz, stadnina koni, hippoterapia, przy okazji poszłoby trochę rękodzieła. Miejsce ładne... I niedaleko szlaków komunikacyjnych.

- Do diaska! - Alchemiczka wstała i przeszła się po izbie, jakby w ten sposób chciała wyładować rozpierającą ją energię. - Ty to masz głowę...

- A zatem... - Katarzyna zaznaczała na planie kolejne budynki. - Mała garncarnia, huta szkła, fabryczka przetworów, stajnia, suszarnia ziół i olejarnia, kilka chałupek dla turystów, kuźnia, mała stolarnia...

- Tartak?

- Trak może stać w dolinie, póki nie skończymy budowy. Potem trzeba go będzie przerzucić gdzieś dalej, tu robi za dużo hałasu.

- Co jeszcze?

- Przyda się sklepik.

Wzięła w dłoń linijkę i sprawdziła położenie budynków.

- Idealnie - oceniła.

- Coś to dziwnie wygląda, układają się jakby w wachlarz. - Stasia patrzyła na plan z powątpiewaniem.

- Dzięki temu, stojąc na ganku dworu, można ogarnąć spojrzeniem całą wieś - wyjaśniła jej kuzynka. - Jeden rzut oka i widzisz, czy wszystko gra. A poza tym, cóż, gdyby coś przypadkiem nie grało, bierzesz dwururkę i spokojnie walisz do każdego, kto podejdzie.

- Genialne - mruknęła.

* * *

Zastanawiające się nad rozwojem wsi dziewczęta nie zdawały sobie sprawy, że w baraku byłego sołtysa trwa inna, bardziej gorączkowa narada. A poruszane w jej trakcie tematy także krążyły wokół spraw majątku i jego przyszłości.

- Diabli nadali - mruknął Heniek, patrząc na dłonie pokryte odciskami. - Ja już nie w tych latach, żeby opieprzać z łopata jak jakiś dwudziestolatek. Czterdziestka to poważny wiek, kiedy trzeba myśleć o emeryturze. - Wzniósł pełne powagi spojrzenie w stronę sufitu.

- Ale jak? - westchnął Maciej. - Sam słyszałeś w opiece społecznej, że ponoć nie należy nam się nasza forsa, bo jesteśmy zatrudnieni. Wpadliśmy jak śliwka w gówno. Znikąd ratunku.

- A może by tak... - zadumał się były traktorzysta, gładząc trzonek młotka. - Sfajczyć jej dwór i tę kupę desek! Toż to musiało ze dwieście tysięcy kosztować. Drugi raz takiej kwoty nie zeskrobie, choćby się zesrała! Odbudować nie zdoła, będzie się musiała wynosić...

Józwa poskrobał się po ciemieniu:

- Ma ten pomysł swoje zalety. Ale ma też wady.

- Jakie?

- Widziałeś kolesiów, którzy zdejmowali te belki z ciężarówki, a potem pomagali ustawiać?

- No. Cyganie jacyś czy coś... Śniadzi tacy, nieprzyjemni.

- Mi wyglądali na jakichś z Kaukazu. - Były sołtys pokręcił głową. - Czeceńcy, a może taliby. - Znajomość realiów geograficznych nie była jego mocną stroną. - My podpalimy dechy, a oni poderzną nam gardła, bo stracą robotę.

- To co radzisz? - Maciej popatrzył na kumpla z nadzieją.

- Z podpaleniem dworu poczekamy, aż skończą. Czeceńcy pójdą w diabły, będzie można działać.

- Jest jeszcze ten cholerny wampir - przypomniał Heniek. - Widziałeś, jak skobel gołą ręką urwała?

- Stary był i zardzewiał...

- Nie - odezwała się stojąca w drzwiach Hanka. I Nawet jeśli, obserwowałam ją dziś. Czterometrową belkę potrafi nieść na ramieniu i nawet się nie zasapie. Krzepę ma nieprawdopodobną. A co tak siedzisz - wsiadła na byłego sołtysa. - Polej mi.

Pospiesznie napełnił jej kubek samogonem. Dosiadła się bliżej kotła.

- Póki ją mają jako ochroniarkę, nic nie zdziałamy -oznajmiła. - Cały plan rozbija się o nią.

- Załatwić? - zaproponował były traktorzysta.

- Kto niby ma to zrobić? - prychnęła brygadystka. - Ty? Rozwali cię na kawałki, zanim zdążysz pierdnąć. A może nasz drogi fachowiec od rozrzucania obornika? - Spojrzała na Macieja, który sączył bimber ze słoika. - Nie ten wiek i nie ten refleks. Jakbyśmy mieli kombajn, można by spróbować ją rozjechać. I dupa. Tu potrzeba prawdziwego fachowca.

- Księdza poprosimy? - Józef błysnął pomysłem.

- Jasne... Już biegnie. Kiedy ostatni raz ktoś z nas był w kościele?

Zafrasowali się i zaczęli liczyć na palcach.

- Stryjaszek to brał ślub gdzieś jeszcze za Gierka -westchnął Heniek. - Ze trzydzieści lat będzie, albo lepiej... Bryndza. Pewnie nas już dawno skreślili.

- Ja kiedyś słyszałem, że jest fachowiec, który niczego się nie boi i każdą zmore potrafi pokonać - mruknął Maciej. - Nazywa się Wędrowycz.

- A gdzie go niby można znaleźć? - zainteresowała się brygadystka.

- A tego to już nie wiem.

- Do dupy ten pomysł - zgłosił zastrzeżenie młody - Trza by do niego pojechać, a forsy na bilet nie mamy Trza by z nim pogadać, to można niby wziąć flaszkę naszej berbeluchy...

- Jak nazwałś mój bimberek? - syknął stary.

- Przeeeepraszam... Flaszkę tego eliksiru. Ale za taką usługę wypadałoby mu zapłacić. I to zdrowo zapewne. A nawet gdyby niewiele brał, to za transport tutaj trza by mu zwrócić. A kasy nie mamy. I nie będziemy mieli, bo ponoć jesteśmy zatrudnieni.

- No fakt - zasępił się wszyscy.

- Trudno - westchnęła Hanka. - Nie da się problemu rozwiązać, to chociaż się napijmy...

Wychylili po kubku mętnego mózgotrzepa. I jak to bywa u nałogowców, spłynęło na nich natchnienie.

- Tak sobie myślę... - zaczął Józwa. - Wiecie, że byłem sołtysiem i nawet różne sprawy urzędowe czasem załatwiałem...

Podreptał w kąt, gdzie na wypaczonym regale pleśniało kilkanaście książek. Wydobył z kieszeni okulary i ściągnął jeden tom, zaczął go kartkować w słabym świetle świeczki.

- No, i coś tam znalazł? - zaciekawił się Heniek.

- Masz, przeczytaj. - Stary podsunął mu kodeks otwarty w odpowiednim miejscu.

- Ciemno tu. - Młody wolał się nie przyznawać, że już dawno zapomniał alfabetu.

- To przepisy ogólnobudowlane. I tu pisze, że żeby coś budować, trzeba załatwić zezwolenie.

- Stare te przepisy - odezwała się Hanka. - Ile to lat temu było? Ze czterdzieści stuknie, od kiedy ci tę książkę dali.

- E, aż taki stary to ja nie jestem. - Policzył na palcach. - Ze dwadzieścia lat temu. O! Tu nawet napisane jest 1985...

- Zmieniły się - mruknęła brygadzistka. - Ale w radio mówili, że biurokracja rośnie, więc może zmieniły się na gorsze?

- Tak. To prawdopodobne - zgodził się. - Teraz może trudniej pozwolenie dostać. I więcej załączników pewnie trzeba.

- To co, myślisz, że ona to stawia nielegalnie? Może ma papier?

- Nie ma. Bo to ja bym go musiał wypisywać. Przecież jestem sołtysiem. - Uśmiechnął się. - Nikt mnie nie zdjął ze stanowiska.

- O, kuźwa - westchnął Maciej z szacunkiem.

- Stawia na lewo. Widzieliście, kto jej to buduje? Obcy! A jak budowa nielegalna, to znaczy, że na czarno robią.

- To jest konkret. - Hanka zamruwała powiekami. - Coś jeszcze?

- Fundament stary, po poprzednim dworze, nie? To by trzeba było ochronę zabytków zrobić. - Grzebał w przepi-sach. - A do samej budowy powinien być inspektor nadzoru.

- Józwa, jesteś genialny! - Heniek z radości skoczył w górę, omal nie wywracając aparatury. - Ale je udupimy... To co? Donos napiszemy?

- Obowiązkowo. - Były sołtys wyrwał ostatnią, niezadrukowaną stronę z książki i długo szukał w pudełkach czegoś do pisania. Znalazł stary jak świat ołówek kopiowy, zaostrzył go kozikiem i śliniąc co chwila, zaczął skrobać koślawe literki:

Uwarzam za swój moralny i społeczny obowiązek poinformować, iż we wsi...

Reszta patrzyła mu przez ramię. Maciej aż pokręcił głową ze zdumienia. W życiu nie widział, żeby ktoś tak sprawnie i fachowym językiem przelewał myśli na papier.

* * *

- Myślę, że pora na małe podsumowanie - powiedział Arminius, wygodnie wyciągnięty na łóżku. Laszlo oderwał wzrok od ekranu laptopa.

- Oczywiście, mistrzu. - Skłonił głowę. - Już referuję. Katedra ma blisko tysiąc lat. Najstarsze zachowane relikty widoczne we wnętrzu pochodzą z jedenastego wieku, to ta część koło ołtarza. Nawa została ukończona około 1280 roku. W czternastym i piętnastym wieku odnotowano kilka pożarów; trzeba było przeprowadzić poważne prace rekonstrukcyjne. W 1531 roku ogień znów dokonał bardzo rozległych zniszczeń. W 1537 roku, gdy lutera-nie przejęli budynek, odbudowa jeszcze nie dobiegała końca. Dopiero w 1590 roku zadecydowano o położeniu dachu. Przez jakiś czas nawa główna służyła jako cmentarz. Niewiele zrobiono, katedra była w stanie poważnej dewastacji aż do połowy dziewiętnastego stulecia. Król Karol XIV zażyczył sobie jeszcze w dziewiętnastym wieku być w kościele koronowanym. Brakujące marmurowe kolumny zastąpiono wtedy drewnianymi, pomalo-wanymi na odpowiednie barwy. Odbudowa trwała aż do drugiej połowy dwudziestego wieku.

- Dobra. Co dalej?

- Filar dźęd pojawia się w kilkunastu miejscach.

- Fiu... W czasie?

- Najstarszy znaleziono na relikwach fundamentów pierwszego kościoła, obecnie niewidocznych. Jest wykuty na kamieniu narożnym. Kolejne cztery są na najstarszej partii murów. Jeden na steli, którą widzieliśmy. Nie da się wykluczyć, że jest ich więcej. Płyty znajdowano podczas ostatniej odbudowy wewnątrz nawy i wokół kościoła, ale nie ulega wątpliwości, że kolejne setki, jeśli nie tysiące, nagrobków, całych i w kawałkach, zostało użytych jako materiał budowlany.

- Okej. - W ustach starego nowomodna odzywka zabrzmiała nienaturalnie.

- Wreszcie, co wydało mi się najciekawsze, znak ten pojawia się w kilku miejscach partii murów rekonstruowa-nych w dziewiętnastym i dwudziestym wieku. Co więcej, sądząc z dzienników budowy, ktoś zostawił go dwu-krotnie, na samym początku i w trakcie ostatnich prac wykończeniowych.

- Znakomicie się spisałeś.

- Znalazłem też jeden na ścianie, która obecnie poddawana jest konserwacji.

- Nasz ptaszek pojawiał się co pięćdziesiąt lat i za każdym razem jako ktoś na tyle ważny, że mógł wejść i kuć na murze, co mu się podoba... - zadumał się stary. - No fakt, to wystarczający okres, by poprzednia ekipa poszła na emeryturę. Odbudowa była dziełem trzech pokoleń fachowców...

- A co tobie udało się ustalić?

- Użyłem programu porównującego twarze, który ostałem od Katarzyny Kruszewskiej. - Łowca uruchomił swo-jego laptopa. - Wrzuciłem tam wszystkie dostępne zdjęcia ludzi, którzy mieli coś wspólnego z odbudową, od prostych robotników po miejskich notabli. Dodałem też zdjęcie Riedla. I wiesz, co mi wyszło?

- Tak?

- Nic. Zero... Na pewno tu bywał. Musiał zostać sfotografowany, choćby przypadkiem. A tymczasem... - Strzelił palcami.

- Czy to oznacza, że się pomyliliśmy? W monografii, którą rozpracowywałem, i innych materiałach pojawia się teoria, że ten filar mógł być gmerkiem rodu budowniczych.
- Ród architektów istniejący od czasów egipskich, przekazujący wiedzę i zawód z pokolenia na pokolenie, znaczący swoje budowle symbolem, którego pierwotnego znaczenia już sam nie pamięta? - Arminius zadumał się głęboko. - Możliwe, że masz rację. Ale jak, w takim razie, wyjaśnisz to?
- Odwrócił w jego stronę ekran.
- Zeskanowałem z mikrofilmów sto trzydzieści podpisów ludzi związanych w różnych epokach z katedrą, a następnie porównałem z wcześniejszym zbiorem. Zwróć uwagę na podobne charaktery pisma. Ten sam sposób kreślenia liter...
- Identyczne czy... podobne? - Laszlo popatrzył czujnie.
- Ha, podoba mi się twoja dociekliwość - uśmiechnął się łowca. - Masz ścisły umysł, a to w naszym zawodzie bardzo ważne. Podpisy są podobne. Jednak charakter pisma nie jest identyczny. Znasz się trochę na grafologii?
- Nie bardzo.
- Wyróżnia się zazwyczaj około czterdziestu cech indywidualnych pisma, poczynając od kroju liter, poprzez sposoby łączenia ich w wyrazy, skończywszy na takich subtelnosciach jak siła nacisku na papier, kąt trzymania długopisu lub pióra *et cetera, et cetera...*
- Rozumiem.
- Dobry fałszerz jest w stanie podrobić około kilkunastu cech indywidualnych, co zazwyczaj wystarcza, żeby wprowadzić w błąd przeciętnego człowieka. Genialni fałszerze, pracujący dla wywiadu i innych tajnych służb, potrafią, używając całego arsenału środków technicznych, podrobić nieco ponad połowę cech indywidualnych.
- Ile łączy te podpisy? - Laszlo z trudem panował nad podnieceniem.
- Jakies siedemdziesiąt procent. Wszystkie posiadają ten sam zestaw.
- Jeśli kilkanaście wystarczy, żeby oszukać oko...
- Nie powiedziałem ci czegoś na początku. Cechy analizuje się od tych najłatwiejszych do zauważenia, skończywszy na najtrudniejszych. On zmieniał te pierwsze.
- Czyli inaczej pisał daną literę, ale zgadzał się kąt trzymania pióra czy na przykład sposób łączenia „r” i „z”?
- Tak. Już pod koniec osiemnastego wieku wiedział, że musi się kryć, bo ktoś go może zidentyfikować po charakterze pisma.
- To obala moją teorię o rodzie architektów - zafrasował się młody łowca. - Bo wtedy mogliby stosować na przykład wymyślną kaligrafię, ale w najlepszym razie opanowaliby cechy podstawowe...
- Tak.
- A zatem twoja hipoteza znajduje potwierdzenie
- Architekt jest tylko jeden.

Rozdział 3

Straszliwy ból targnął ciałem. Alchemik czuł, jak z jednego punktu na ramieniu promieniuje na wszystkie strony potworna siła wykręcająca mięśnie i stawy, przywracająca brutalnie życie uśpionemu organizmowi. Odkaszlnął, nadając językowi właściwe położenie. Nie miał już w nozdrzach zatyczek. Ból słabł. Mistrz odzyskiwał zdolność widzenia. Klęczący obok człowiek w szarym płaszczu odstał od Sędziwoja. Dwaj inni stali nieco dalej. Widział ich twarze ocienione kapturami i choć nie poznawał, instynkt podpowiedział mu, że to z nimi walczył wtedy w zaułku. Jeden wspierał się na kuli. A więc rana biodra zgodnie z przewidywaniami okaleczyła go na zawsze.

- Ty sukinsynu. - W głosie mężczyzny zabrzmiał autentyczny podziw.

Alchemik go rozpoznał. To on uprzednio mówił przez głośnik.

- Co, nie przewidzieliście tego? - wychrypiał.

- Skąd znasz tajne rytuały joginów czohed? - zapytał Wilk.

Kaptur opadł mu w tył. Twarz jak twarz. Błada, z wąskim, ostrym nosem. Przeciętna. Tylko oczy paskudne, wredne i miotające gniewne błyski.

- Myślę, że ciekawsze jest, skąd wiedzieliście, jak mnie obudzić - odwarknął Michał. - I skąd wiesz, że to czohed?

Zesztywniałe stawy uniemożliwiały walkę. Szkoda, miał tego dupka dosłownie na wyciągnięcie ręki...

- Jeden zero dla ciebie - mruknął wróg. - Jakie jeszcze zdolności ukrywasz?

- Idź do diabła.

Życie wracało, krążąca coraz szybciej krew rozgrzewała ciało. Stawy odzyskiwały elastyczność. Wilk wyczuł to i odsunął się na bezpieczną odległość.

- Nie takich łamałiśmy - powiedział, ale w jego głosie nie było już pewności siebie.

- Próbuje dalej.

- Jeśli będzie trzeba, potniemy cię na plasterki... I posypimy rany solą.

- I to mają być te supernowoczesne tortury, które mi obiecywałeś? - zdumiał się Alchemik.

- Stare, ale skuteczne. Wyciśniemy z ciebie prawdę jak serwatkę z twarogu. A jeśli się nie uda, pójdziesz do piachu. A ściślej mówiąc, do wapna.

- Nie boję się śmierci. Zbyt długo jej się wymykałem. - Uśmiechnął się drapieźnie. - Ale wy się boicie. - Zmrużył oczy.

- Owszem, jednak to tylko wzmacnia naszą determinację. Mistrzu, po co mamy się klócić, po co nam ta cała nieważność, trupy, tortury. Cenimy twoją ogromną wiedzę i gotowi jesteśmy sownie cię opłacić. Wymień tylko sumę.

- Nie. Powinieneś wiedzieć, że my, alchemicy, nie sprzedajemy swoich sekretów. Ci, którzy są godni, otrzymują je za darmo, reszta musi obejść się smakiem.

Wilk ze złością odwrócił się na pięcie i zatrzasnął drzwi. Sędziwój przymknął oczy. Odpląnął. Dawno już nie próbowano go przekupić. Bardzo dawno. Skoncentrował się, wywołując wspomnienie z głębin pamięci. Minęło tyle lat, a on nadal czasem wspominał podmuch ciepłego, jesiennego wiatru na twarzy...

Wjechał na szczyt wzgórza. Była późna jesień, wichur szarpał ostatnimi liśćmi wiszącymi jeszcze na drzewach, na szczęście słońce przygrzewało, a trakt nie rozmiękł od deszczów. Zamek w Gross-Sachsenheim górował nad osadą rozłożoną w dolinie. Mistrz Michał ściągnął cugle i długą chwilę podziwiał miasteczko. Nieduże, ładne kamieniczki, czerwone dachówki, wąskie, brukowane uliczki. Zjechał do bramy, gdzie zatrzymali go strażnicy. Zaraz też nadszedł zarządca. Słyszał o nim, ale nie spotkali się dotąd osobiście. Hans Assmann nosił piętno jednego z tych eksperymentów, kiedy dla zdobycia okrucha wiedzy na szalę przeznaczenia rzuca się własne życie. Połowę twarzy wypalił mu kwas albo ogień. Tkanka zdołała się zabliznić, ale wyglądał przerażająco. Pośród skóry zrytej dziurami niczym powierzchnia księżyca błyszczało nietknięte jakimś cudem oko.

- Czekaliśmy na was, mistrzu Michale. - Uśmiechał się. - Zaszczycem jest powitać w naszych skromnych progach tak uzdolnionego i wsławionego tak licznymi osiągnięciami adepta sztuki hermetycznej.

- Mnie również miło spotkać osobiście jednego z najzręczniejszych badaczy sekretów ciał wybuchających, mistrzu Assmann. - Sędziwój uklonił się z szacunkiem.

- Pozwólcie za mną.

Zeskoczył z konia i poprowadził gościa za sobą. Przekroczyli bramę. Wzdłuż głównej ulicy, w podcieniach, rozłożyły się dziesiątki kramów. Pociemniałe, drewniane lady, daszki z płótna, które jeszcze nie zdążyło spłowieć. I niesamowita pstrokaczna wyłożonych na białe towary. Białe kryształki kwarcu, zielone bryły malachitu, czerwone jak krew korale, całe słoje zasuszonych chrząszczy, butle rozmaitych olejów, pudełka z metalu i drewna, kryjące wewnątrz cenniejsze składniki.

- Mamy kupców wyspecjalizowanych w dostarczaniu wszelkich rzadkich minerałów - wyjaśnił Hans. - Na żądanie są w stanie sprowadzić dowolną substancję.

- Ile czeka się na realizację zlecenia? - Michał z trudem ukrył podniecenie.

- Nie dłużej niż cztery tygodnie. Oczywiście, mówimy o rzeczach naprawdę rzadkich. Prawie wszystko mają zmagazynowane na miejscu. I ceny są przystępne.

- Rozumiem.

- Tu są warsztaty. - Przewodnik gestem wskazał uliczkę wcinającą się między domy. Dobiegał z niej miarowy stukot młotów, brzęczenie metalu, któryś z kowali śpiewał przy pracy rytmiczną; niemiecką piosenkę. Bruk pokrywał rdzawy nalot.

- Warsztaty? Co oferują?

- Nasi rzemieślnicy zostali bardzo starannie wybrani. Książę wyszukał najlepszych fachowców z Rzeszy, Italii, Anglii i Niderlandów. W ciągu kilku godzin są w stanie wykonać dowolne urządzenia potrzebne do pracy. Wystarczy dostarczyć im szkic lub opis. Rzecz jasna, mówimy tu o bardziej skomplikowanych aparaturach, bowiem lampy czteroknotowe, alembiki czy atanory można po prostu kupić od ręki na kramach.

Mistrz Michał ze zdumieniem pokręcił głową. Słyszał sporo o wspaniałych możliwościach, które otwierały się przed mieszkańcami i rezydentami tego miejsca, ale rzeczywistość przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Prowadzić poszukiwania bez nużących przerw spowodowanych brakiem literatury, odczynników czy sprzętu laboratoryjnego? Bez konieczności oglądania każdego grosza kilka razy, zanim się go wypuści z palców?

- A szklane retorty? - W Krakowie z tym właśnie był największy problem.

- Oczywiście. Tam dalej są trzy huty szkła i kilkunastu fachowców sprowadzonych z Wenecji. Czekają w gotowości dzień i noc, by wydmuchać z masy dowolny kształt.

- I niech zgadnę, chodzi tu o kształty najbardziej niezwykle i skomplikowane...

- ...Bo te zwyczajne można...

- Nabyć na kramach? - dokończył Sędziwój z uśmiechem.

- Ty powiedziałeś, mistrzu. Mamy też szkołę, w której czterdziestu chłopców kształci się na pomocników. Umieją mierzyć, ważyć i przeprowadzać prostsze doświadczenia. Umysły naprawdę wielkie nie muszą bezproduktywnie tracić czasu na stanie całymi nocami przy piecach. Szkoda wysiłku. Od tego jest odpowiedni *personnel* - użył francuskiego słowa.

- *Personnel*... - Sędziwój powtórzył nowy wyraz, żeby go lepiej zapamiętać. - Jak mi nie mam, można liczyć nie tylko na pomocników do stania przy atanorze?

- Każdy dostaje też wyszkoloną, pracowitą dziewczynę do gotowania i posług. A w razie naprawdę palącej potrzeby szczególnego rodzaju można przyjść tutaj. - Assmann skrzywił się lekko, bo mijali właśnie zamtuż. Sądząc po liczbie kobiecych głów spoglądających przez okna, zadbano o zgromadzenie naprawdę bogatych i różnorodnych zapasów siły roboczej.

- No, no...

- Dbamy, by naszym gościom nie zabrakło absolutnie niczego, co potrzebne im do szczęścia.

- A egzemplarze bardziej niezwykle z pewnością jesteście w stanie dostarczyć w kilka tygodni. - W głosie Michała zabrzmiało z trudem tłumione rozbawienie.

- Tego akurat nie wiem, to nie moja dziedzina. Jestem plenipotentem do spraw naukowych - odciął się Hans. - Domem publicznym zawiaduje nasz kat, jego pytajcie. A co do osobliwości tego zakładu, mają nawet prawdziwą Murzynkę z samej Afryki, czarną jak smoła i brzydką jak sam diabeł. Ponoć jej sprowadzenie kosztowało tyle srebra, ile ważyła, a lekka, mała, nie jest...

- Niesamowite - zdumiał się gość. Do tej pory ze trzy razy w życiu zdarzyło mu się widzieć Murzynów. Symetrię ulicy psuł bardzo stary, przysadzisty budynek o grubych, kamiennych ścianach.

- A to jest dawny arsenał miejski, dziś mieszczący największą alchemiczną bibliotekę na świecie. Moje dzieło, chluba i duma. Posiadamy wszystkie księgi naukowe i rękopisy, o jakich tylko słyszano w krajach Wschodu i Zachodu. Tu niczego nie trzeba zamawiać, wszystko jest już na miejscu. Prawie trzy tysiące woluminów. Sędziwój gwizdnął z uznaniem.

- Toż to bogatszy księgozbiór niż u cesarza Rudolfa w Pradze! A sądziłem, że nic nie może się z nim równać.

- I kosztował więcej niż całe stado Murzynek - dodał z dumą plenipotent. - Są pergaminy, które kupować trzeba za pięciokrotną wagową równowartość złota...

- Wiem. - Michał widywał już wcześniej tak cenne księgi.

- Mamy też tłumaczy z arabskiego, aramejskiego i perskiego, którzy dzień i noc przekładają mniej znane traktaty na niemiecki. No i wreszcie to, co najważniejsze...

Wyszli na rynek. Otaczały go niewielkie, ładne kamieniczki. W któryś dzień tygodnia z pewnością odbywał się na nim targ, obecnie bruk znaczyły tylko przywiedle liście kapusty i nieświeże już ryby. Kilka kundli wrywało sobie porzucony ochłap. Na szczęście silny wiatr wydmuchiwał co bardziej zjadliwe wonie.

- Straszny chlew - mruknął Hans. - Ale pogonię pacholków, niech tu pozamiatają. W końcu to ich obowiązek. Stanęli przed rzędem domostw.

- W tych budynkach mieszkają najważniejsi goście. Każdy dostaje na kwatere jedną kamienicę, a tamta z okretem nad bramą będzie, mistrzu, twoja.

Alchemik popatrzył na budynek. Niczego sobie. Parter na pracownię, na piętrze można wygodnie mieszkać i

gromadzić dokumenty, na poddaszu umieści się służbę. Tylko co z koniem?

- W podwórzu jest szopa, studnia, chlewik i stajnia, gdzie można trzymać zwierzęta. - Przewodnik odpowiedział na niezadane pytanie. - Są też piwniczki do składowania wina. A gdybyś się chciał trochę rozerwać, przy rynku jest szynk. W planach mamy jeszcze budowę teatru oraz trzeciej łaźni miejskiej...

Mistrz oderwał wzrok od swojego przyszelego domu i spojrzął w drugą stronę. Na środku placu stał kamienny szafot. Nad nim na wysokość trzydziestu pięciu stóp wznosiła się szubienica odlana z żelaza. W kołyszącej się na łańcuchach stalowej klatce ciągle tkwiły na wpół zmumifikowane zwłoki. Łagodny, jesienny wiatr poruszał resztkami włosów, między żebrami jakieś ptaszki uwiły gniazdo. Na hakach przynitowanych do głównego pala szubienicy bieleło siedem czaszek.

- Grzegorz Honauer - wyjaśnił Hans. - Otrzymał tysiące dukatów na swoje badania, ale oszukał księcia i próbował uciec z resztą pieniędzy. Ponieważ obiecał zamienić w złoto dwadzieścia pięć cetnarów żelaza, mieliśmy z czego wykonać to urządzenie...

- Słyszałem. - Sędziwój długą chwilę w milczeniu patrzył na skurczone ciało. Znał kiedyś tego człowieka, wiedział, że był paskudnym wydrwigroszem i oszustem. Ale ten widok mimo wszystko po raz kolejny obudził w jego sercu pytania o sens tej eskapady.

- Nasz książę oferuje ci, mistrzu, czterdzieści tysięcy dukatów na doświadczenia. - Z zamyślenia wyrwał go głos Assmanna. - Jednak pod warunkiem spisania umowy, która zapewni mu zwrot kosztów i udział w zyskach. Książę najbardziej zainteresowany jest uzyskaniem eliksiru życia, kamienia filozoficznego i panaceum, ale nie pogardzi też substancjami zamieniającymi ołów w srebro, lekami na trąd i dzumę. Jeśli ci się nie powiedzie, zawisniesz obok Honauera, a twoja głowa nabita na hak po wsze czasy stanowić będzie ostrzeżenie dla innych szarlatanów.

Michał zamyślił się. Wiedział, iż książę jest hojny, ale nie sądził, że aż tak. Suma była oszałamiająca. Mógłby za to kupić kilka wsi w Rzeczypospolitej i żyć dostatnio do końca życia... No właśnie: do końca życia. Zarządca rozpostarł pergamin na kamiennym podeście szubienicy, z tubusu wyjął gęsie pióro i metalowy kałamarz. Sędziwój uśmiechnął się lekko. Szybko podjął właściwą decyzję.

- Badania alchemiczne mają to do siebie, że mogą prowadzić ku wspaniałym efektom lub zakończyć się zgołą żalostną klęską. Choć skłonność do ryzyka leży w mojej naturze, obrzydzeniem napawa mnie myśl o narażaniu życia danego przez Boga dla zdobycia pieniędzy. Przekaż swojemu panu, że z wielkim żalem odrzucam jego wspaniałą propozycję, ale widząc głowy mych poprzedników, poczułem się właśnie dostatecznie ostrzeżony - dodał, wskakując na siodło. - Bywaj, przyjacielu.

Zaciął konia i pogalopował w stronę bramy.

- Pięćdziesiąt tysięcy! - zawołał za nim Hans. - Sześćdziesiąt... Siedemdziesiąt! A żeby cię diabli wzięli, chciwa małpo! Osiemdziesiąt! Słyszysz? Osiemdziesiąt tysięcy dukatów, i wracaj tu natychmiast! A udław się, ty pazer-ny wieprzu!!!

Odpowiedziały mu tylko stukot końskich kopyt i śmiech Sędziwoja odbijający się echem od kamiennych ścian. Z komory pod szafotem wyszedł kat.

- Znowuście, panie, za dokładnie wyjaśnili szczegóły kontraktu - powiedział.

- Szkoda - westchnął zarządca.

- Szkoda - zawtórował mistrz małodobry, choć chyba co innego miał na myśli.

* * *

Katarzyna nie mogła się nadziwić. Tempo stawiania konstrukcji prawdziwie ją oszałamiało.

- Nie do wiary! W trzy dni można wznieść tak wielki budynek - powiedziała.

- Z gotowych elementów, na istniejącym już fundamencie - uzupełniła Stanisława. - Wynajęliśmy najlepszego w kraju fachowca, który ma do pomocy kilkunastu z grubsza przeszkolonych pomocników. Zresztą, są firmy, które coś podobnego postawią od ręki w tydzień...

- Hm, nie do końca podoba mi się budowanie z drewna.

- Wiadomo, taki dom wytrzyma może trzysta lat - uśmiechnęła się alchemiczka. - Choć w Tarnowie Pałuckim czy Dębnie drewniane kościoły stoją ponad pięć stuleci. Ale to dobra technologia. Szybka, czysta, tania i ponieważ nawet ekologiczna, bo drzewa odrosną.

- Ale w razie wojny wystarczy jedna bomba zapalająca... - Przypomniała sobie próby spalenia kawałka deski i zamilkła.

- Oczywiście. Z drugiej strony, jeśli już spadają bomby, to i budynek z żelbetu ma duże szanse runąć. Ale każda wojna kiedyś się kończy... - Dziedziczka klepnęła ścianę. - A wtedy drewniane domy odbudowuje się szybko. Bardzo szybko. Zresztą... - Wzruszyła ramionami. - W ciągu najbliższych kilkunastu lat konflikty zbrojne powinny omijać tę część świata.

Czecheny skończyli montować łąty i ułożyli warstwę izolacyjną. Teraz przybijali drewniane gonty. Jeden zaśpiewał coś smutnym, monotonnym głosem, reszta podchwyciła pieśń. Alchemiczka zasłuchiwała się...

- O, mamy gości - zauważyła jej kuzynka.

Od przełęczy między wzgórzami nadjeżdżał nieduży, czerwony samochód. Pojazd zatrzymał się tuż koło dworu. Wysiadł z niego jakiś bubek w garniturze.

- Urzędas - mruknęła Katarzyna. - Nawet wiem, który. Zaraz go pogonię.

- O, nie. - Stanisława pokręciła głową. - Ja też potrzebuję trochę rozrywki.

- Wykopać dół z wapnem? - zapytał Ihor.

- Nie trzeba - uspokoiła go agentka.

Mężczyzna przez chwilę kontemplował plac budowy potem wyjął z teczki formularz i rozejrzał się wokół.

- Kto tu jest kierownikiem budowy? - zapytał.

- Nie ma. - Alchemiczka wzruszyła ramionami.

- A pani kto?

- Dziedziczka - oświadczyła z godnością.

- Co?

- Właścicielka majątku - wyjaśniła. - Poza tym to teren prywatny, a pan wszedł bez zaproszenia.

- Dostaliśmy telefon z Urzędu Gminy, że wpłynęło do nich anonimowe pismo, że jest tu nielegalna budowa - oznajmił. - Ponoć zatrudniacie też gasterbeiterów, a ja osobiście widzę złamanie co najmniej kilku przepisów prawa budowlanego.

- A co, konkretnie, jest nie tak? - zapytała Katarzyna.

- Nie mają panie pozwolenia na budowę. W naszej ewidencji brak wszystkich dwudziestu siedmiu załączników.

- Myli się pan. - Wzruszyła ramionami. - Mamy pozwolenia. Wystawili nam w centrali. - Wyjęła szarą teczkę i pokazała plik doskonale sfabrykowanych papierów.

- Dlaczego nikt nas nie zawiadomił? - zdumiał się urzędnik. - A tak w ogóle, to co wy tu budujecie?

- Jak pan będzie zbyt ciekawy, trafi pan do nas. - Pod dokumentami leżał jeszcze jeden, ozdobiony pieczęciami Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Centralnego Biura Śledczego.

- O, cholera - wykrztusił. - A tamci śniadzi? - Wskazał na Czeczeńców.

- Tu mamy pewien problem. - Uśmiechnęła się słodko. - Ci ludzie pracowali dla Rzeczypospolitej tam - Machnęła ręką z grubsza na wschód. - No i niestety, trzeba było ich ewakuować. Tylko że pan nie ma prawa o tym wiedzieć... A tu pech, zobaczył ich pan. Dlatego trzeba będzie zastosować przepisy o ochronie tajemnicy państwowej.

Zrobiła przy tym tak cmentarną minę, że urzędas poczuł strzykę potu na plecach.

- Yyy... - wykrztusił.

- Kurde, szkoda mi pana - westchnęła. - Ale jak się rozniesie, ja będę odpowiadać, więc...

Nic nie pojął, ale przestraszył się jeszcze bardziej.

- Nie da się trochę nagiąć tych przepisów? - jęknął. - Zapomnieć o tym, że w ogóle tu byłem i coś widziałem?

- No, nie wiem. - Skrzywiła się. - Sam pan rozumie, bezpieczeństwo naszej agentury przekłada się wprost na bezpieczeństwo naszej ojczyzny. To bardzo poważne sprawy. Cholera, wpadł pan jak śliwka w kompot... No dobra, niech będzie. - Złagodniała. - Ale nikomu ani słowa, a, i niech pan wypisze nam zaświadczenie, protokół pokontrolny, że wszystko zgodnie z przepisami.

- Jasne, już piszę. - Z ogromną ulgą wyciągnął z teczki nowy formularz.

Trzy minuty później wskoczył w samochód i pomknął szosą, jakby go wszyscy diabli gonili.

- No i po kłopotcie. - Katarzyna otrzepała odruchowo ręce. - Tak się to robi.

- Naród sam sobie pozwala włazić takim mendum na głowę - westchnęła alchemiczka. - Na szczęście są jeszcze ludzie gotowi bronić swoich miejsc pracy. - Uśmiechnęła się do górali.

- Swoją drogą - rozważała głośno agentka - ciekawe, co go tu przyniosło. Dolina jest zupełnie na uboczu, zjazd z głównej drogi. Nikt nie powinien wiedzieć, że tu osiadłyśmy. A tymczasem wspomniał coś o donosie...

- „Chłopom podziękować” - zacytowała Stanisława, patrząc w stronę baraków, a jej palce bezwiednie zawiązały kawałek linki w szubieniczną pętlę.

* * *

Było późne popołudnie, gdy Czeczeńcy zameldowali, że budowa domu została ukończona. Instalacje na razie położono prowizorycznie, zresztą prąd jest z agregatu, do sieci przesyłowej trzeba się będzie dopiero podpiąć. Jednak woda już podłączona. Pokrycie dachu gontem potrwa jeszcze ze dwa dni, ale tym zajmą się Ihor i Pawło. Stropy oraz pokój na poddaszu są już gotowe.

Stanęły w trójkę przed budynkiem. Ładny ganek, podmurówka i trzy stopnie z wyszlizganych butami kamieni pamiętają siedemnaste stulecie. Grube kolumny, ściany z solidnych belek i okute drzwi lśnią jasną barwą świeżego drewna. Zatrzymały się na progu. Stanisława złapała trzymaną pod pachą kurę i puściła ją przodem.

- Jak tam siedzi jakaś bida, to lepiej, żeby nie na nas spadła... - mruknęła.

Monika spojrzała na nią zgorziona i przeżegnała się. Nie lubi guseł. Weszły do środka. Alchemiczka rozejrzała się wokół. Szeroka, przestronna sień, na lewo i prawo po dwoje drzwi, schodki prowadzące na poddasze.

- Dobrze wrócić do domu - westchnęła.

Proporcje i rozkład pomieszczeń są niemal identyczne. Alchemik odgadł jej niewypowiedziane pragnienie. Dobrze zapamiętał stary dwór Kruszewskich, choć gościł w nim zaledwie kilka razy. Stanisława skrzyła w prawo, rozejrzała się po saloniku. Okno szklone gomółkami przepuszcza niewiele światła. Skinęła głową. Tu będzie mieszkać. Katarzyna rozlokowała się na lewo od sieni. Woli zwykle szyby. Księżniczka już wcześniej zaklepała sobie pokoik na poddaszu. Czecheny wnieśli przywiezione wcześniej meble, pudła z książkami, rozstawili wszystko szybko i sprawnie. Agentka podziękowała im i wręczyła zwitek banknotów. Ukłonili się i już ich nie było.

Jej kuzynka rzuciła na jasne, szerokie deski podłogi skórę z renifera i wyciągnęła się wygodnie na tapczanie. Księżniczka miała najmniej dobytku. Przez lata nauczyła się żyć prawie bez mebli. Stanisława kazała jednak wstawić do jej pokoju łóżko i solidną szafę z dużym lustrem po wewnętrznej stronie prawych drzwi. Monika powiesiła na wieszaku dwie koszule, sukienkę, na półce porozkładała bieliznę. Wysokie, miękkie buty do konnej jazdy odstawiła w kącie. Łóżko zasłaniał śpiworem, a z pledu zrobiła zasłonkę do okna. I to jej wystarczy do szczęścia. Można sobie mieszkać.

* * *

W okresie świetności majątku w Kruszewicach zawsze istniała niewielka garncarnia. Dziś jeszcze w wąwozie za dworem każdy deszcz wymywa z ziemi skorupy pouczonych garnków. Katarzyna dokładnie wypytała kuzynkę, a potem z łopatą na ramieniu ruszyła na poszukiwania. Złóże dobrej gliny zlokalizowała po godzinie. Nakopała surowca, wysuszyła bryły, starta je na proszek i przesiała przez zestaw sit. Przygotowała sobie kilka pecyn, uruchomiła niewielkie koło garncarskie. W dzieciństwie chodziła do ogniska plastycznego, potem trochę doczytała. Może uda się zrobić kamionkę? Gotowe naczynka wstawiła do przywiezionego z miasta piecyka i ustawiła programator na suszenie.

* * *

Monika wjechała na szczyt kolejnego wzgórza. W dolinie leżała wioska, kilka chałup na krzyż. Dziewczyna wyjęła z torby sztabówkę i badała przebytą trasę. Była prawie dziesięć kilometrów od Kruszewie. Wahała się, czy zjechać w dolinę, czy popędzić wąską ścieżką biegnącą przez grzbiety wzgórz.

Dwa zupełnie odmienne światy zastygły w chwilowej równowadze. Łagodne stoki pokryte wykłoszonym, złocistym zbożem. Tu i ówdzie kilka drzew lub krzewów. Na miedzy płoży się dzika róża. Na poboczu ścieżki - kępy macierzanki i białe kielichy powoju. Wampirzyca westchnęła w duchu. Piękny Polacy mają kraj.

Wieś w dolinie była, dla odmiany, dość obrzydliwa. Asfaltowa szosa, kilka klockowatych domów zbudowanych z wapiennej cegły lub pustaków. Obok rozsypujące się płoty, wałęsające świnie, cuchnące bajora gnojówki. Nie, nie mam ochoty na spotkanie z ludźmi - zdecydowała Monika. Uderzyła klacz piętami. Przecięła niewielki zagajnik i znalazła się na skraju kolejnej doliny. Kopyta zastukały na kamieniach. Zeskoczyła lekko na ziemię. Na krawędzi skarpy ktoś rozstawił sztalugi, składane krzeselko, w trawie leżała paleta, w kubku moczyło się kilka pędzli. Opośadał spoczywała skórzana torba na przybory.

Złapała klacz mocniej za cugle przy uździe i podeszła zaciekawiona. Pejzaż niczego sobie. Widać talent. Bardziej wyczuła czyjaś obecność, niż usłyszała kroki. Odwróciła się.

Malarz był wysoki, szczupły, choć dobrze zbudowany. Miał pociągłą twarz, czarne, krótko obcięte włosy i bardzo ciemne oczy o leciutko skośnym wykoju. I był przystojny jak diabeł. Ubrany w markowe szorty do kolan, pod płócienną koszulą z krótkim rękawem grały mięśnie. Przed słońcem chronił go szerokoskrzydły, jakby skautowski lub harcerski kapelusz.

Student - przemknęło jej przez myśl.

- Witaj - powiedział po prostu. - Widzę, że interesujesz się sztuką?

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Koń położył po sobie uszy i zatańczył w miejscu. Puściła go, pozwalając odejść.

- Tak tylko sobie patrzyłam - bąknęła. - To bardzo dobry obraz. Tylko tematyka taka jakaś... - Wskazała dolinę leżącą u ich stóp. - ...Nijaka.

- Muszę namalować na zaliczenie całą serię pejzaży - wyjaśnił. - Snuję się więc po okolicy i realizuję zadanie.

Gestem zaprosił ją, by usiadła na trawie. Ze skórzanej torby wyjął dwie puszkę piwa. Poczuli gwałtowny napływ śliny. Rozsiedli się wygodnie, otworzyli i wypili po długim łyku złocistego napoju. O rany, jak dawno nie miała tego w ustach...

- To ciekawe miejsce - powiedział. - Wsie, lasy i doliny. Zróznicowany krajobraz i szata roślinna. Wystarczy dobrze poszukać i tematów można znaleźć multum.

- Aha. - Przytaknęła z roztargnieniem. - No tak... Tworzy pan tylko pejzaże?

- Mam na imię Paweł.

- Monika.

- Nie, nie tylko. Zamierzam specjalizować się w portretach, lubię też malować konie. Niestety, postęp techniczny

praktycznie wyrugował je ze wsi.

Monika obejrzała się odruchowo, ale klacz spokojnie pasła się kawałek dalej.

- Może warto pojechać gdzieś dalej - zasugerowała. - Na Bałkany. Tam ciągle są regiony, gdzie można spotkać wozy zaprzężone w woły.

- O, to bardzo ciekawe.

Rozmowa potoczyła się leniwie jak leśny strumyk. Student wyjął szkicownik oraz ołówek i patrząc w zadumie na wzgórze, machnął jakby od niechcenia portret nowej znajomej. Podobieństwo uchwycił z zaskakującą dokładnością. Wypili jeszcze po puszcze. Sprezentował jej szkic, w torbie miał nawet tekturową rurę na rysunki, więc nie było ryzyka, że się pogniecie.

- Da się z takiego malowania wyżyć? - zapytała.

- Zależy. - Uśmiechnął się lekko. - Maluję rocznie po kilkaset i sprzedaję przez Internet. Gdyby udało mi się wkręcić do tych, którzy handlują koło Bramy Floriańskiej...

- Studiujesz w Krakowie? - zainteresowała się.

- Tak.

- Ja też tam mieszkam. Masz wielki talent. - Przeglądała jego notatnik.

Kilkadziesiąt prac przedstawiających głównie jakieś ruiny, cmentarne zjawy, nagie dziewczyny z mieczami, demony...

- Wiem. Mam więcej obrazów na kwaterze, dziś już późno. - Spojrzał na słońce, które prawie dotykało horyzontu. - Może wpadniesz na dniach? Wynająłem sobie chałupę, tę z blaszonym dachem.

- Wpadnę - obiecała. - Muszę ci oddać tubus.

Złapała klacz, wsunęła nogę w strzemię i nagle poczuła, że nie jest w stanie wywindować się na siodło. Zobaczyła przed oczyma mroczki. Zatoczyła się, chłopak podtrzymał ją w ostatniej chwili, ratując przed upadkiem.

- O, do licha... - mruknęła.

- O jedno piwo za dużo - zauważył. - Zmęczona byłeś po całym dniu, to i ścięło...

- Żeby tylko się. - Patrzyła półprzytomnie na kulbakę.

- Poadszę cię.

Objął ją delikatnie w pasie. Odbiła się od ziemi i tym razem bez trudu spoczęła w siodle. Zawroty głowy minęły. Pomachała nowemu znajomemu na pożegnanie pojechała ścieżkami w stronę majątku, w gęstniejącym mroku, ziewając od czasu do czasu. Do diaska. Ostatnie dni były dość intensywne...

Raz prawie przydrzemiała, ale zdołała się otrząsnąć. Wkrótce zobaczyła ze szczytu wzgórze układające się już do snu Kruszewice. W oknach dworu jaśniała łagodna poświata płonących świec. Widać agregat już wyłączony na noc. Słusznie, po co marnować paliwo?

* * *

Stanisława poszła spać. Katarzyna siedziała przy oknie pogrążona w dziwnej melancholii. Położyła dłonie na parapecie i oparła na nich brodę. Jej profil ostro rysował się w blasku woskowej świecy.

Jakoś nie może się ostatnio pozbierać - pomyślała Monika leniwie. Weszła po schodach na poddasze i zamknęła drzwi do swojego pokoju. Przez ostatnie tysiąc lat wiele razy widywała podobny wyraz twarzy. Raz nawet widziała go w tafli zwierciadła. Doskonale wie, co oznacza taka tęsknota. Alchemik wyjechał, a tu został ktoś, kto czeka na jego powrót...

Księżniczka starannie zasłoniła okno. Ona też musi się kłaść, ledwo stoi na nogach. Otworzyła starą, skrzypiącą szafę. Wiekowe lustro odrobinę zmętniało, ale uznała, że do jej celów wystarczy. Zapaliła trzy świece. Zdjęła sukienkę, rozpuściła włosy. Rozpięła stanik, po chwili wahania zsunęła majtki. Pozwoliła, by opadły na podłogę. Ujęła lichterz w dłoń i długo, w zadumie taksowała swoje odbicie w lustrzanej tafli. Krągłe ramiona uznała za całkiem ładne, ale obojczyki za bardzo się uwidaczniają. Skóra gładka, w dotyku przypomina aksamit.

I tylko ten cholerny tatuaż! Prychnęła ze złością. Wszystkie uszkodzenia ciała znikają bez śladu po najdalej kilkudziesięciu latach, a draństwo trzyma się jak przymurowane. Kiedyś zdarła sobie cały płat skóry z herbem, wyszarpała do mięsa, ale odrosło. Diabli nadali. Widocznie symbol dawno wymarłej dynastii Stiepankoviców zostanie jej aż do końca życia. Zmrużyła lekko oczy, oceniła sylwetkę. Nie ma garba, obie połowy ciała są symetryczne i harmonijnie zbudowane, jak z podręcznika anatomii dla studentów ASP. Żadnych większych defektów. Jedynie oczy stanowią skazę. Jedno jest ciemnobłękitne, drugie brązowe.

Przypomniała sobie Laszlo. Jego spojrzenie pełne smutku, gdy stał wtedy z osikowym kołkiem w ręce. Wiedziała, że mu się spodobała, ale poczucie obowiązku przeważało. Westchnęła. Szkoda, że wyjechał. Obiecał wrócić, gdy z Arminiusem załatwi kilka spraw. Ale czy w ogóle ma zamiar wrócić? Nie była pewna... Może mówił tak tylko po to, żeby ją uspokoić? A może już się nie zobaczą?

Musnęła palcami piersi. Niewielkie, niezwykle kształtne, przypominają rozmiarami połówki pomarańczy, ale są raczej dziewczęce niż kobiece. W zasadzie może być z nich zadowolona, nie przeszkadzają, gdy naciąga cięciwę łuku. A jednak chyba wolałaby coś bardziej efektownego...

Przeciągnęła się kusząco, mięśnie zagrały pod jej skórą. Nogi o silnych, nieco zbyt twardych łydkach i odrobinę

za grubych, dziecięcych kolanach, na udzie stara, rozmyta blizna po postrzale. Ładne, nieduże stopy, odcięte palce szczęśliwie odrosły, ale długością odrobinę się jeszcze różnią. Ciągłe jest zbyt chuda, kości miednicy za- nadto wystają, choć biodra są ładnie zaokrąglone.

Musnęła swawolną kępkę między udami, delikatne aksamitne kędziorki owinęły się wokół palców. Nagle drgnęła przestraszona. Znowu poczuła, że jest śledzona. Omiotła pokój spojrzeniem. Pusto, cicho, wprawdzie w ką- tach zaległy cienie, ale przecież nie na tyle głębokie, by mogła się w nich skryć choćby mysz. Ukryta kamera? A skąd, u licha, by się tu wzięła?!

Przez stulecia spędzone na Bałkanach księżniczka nasłuchiwała się legend o lustrach. Zwierciadło to brama innego świata. Gdy ktoś godzinami się w nie wpatruje, musi liczyć się z tym, że i z tamtej strony coś może na niego popatrzeć... Zamknęła drzwi szafy. Jednak uczucie niepokoju nie mijało. Zdmuchnęła świece i naciągnawszy koszulę nocną, wsunęła się w gładką, chłodną pościel. Po chwili już spała.

* * *

Katarzyna przerwała rysowanie. Spojrzała na projekt. Nawet niczego sobie... Podeszła do piecyka ceramicznego. Rzut oka na zegarek powiedział jej, że może już wyjmować faski. Na wszelki wypadek założyła grube, skórzane rękawice. Pierwsze cztery kubki były pęknięte. A zatem trzeba stosować mniej domieszki schudzającej glinę albo zmienić temperaturę wypalania. Obejrzała kolejne. Szkliwo na pierwszych nie wyglądało najlepiej, pokryło się harysem - siateczką cieniutkich pęknięć - Katarzyna westchnęła i otworzyła drugi piec. Miseczki zrobione z majoliki wyglądały zdecydowanie lepiej. Obejrzała je uważnie. Postukała końcem noża. Jedna dała głuchy od- głos, pęknięta. Pozostałe były dobre.

Stanisława siedziała w swoim pokoju i siedemnastowiecznym pismem kaligraficznym projektowała etykiетки.

- Co o tym sądzisz? - Kuzynka wręczyła jej gotowe naczynie.

Stanisława obejrzała je uważnie, potem rąbnęła znieczeka o ścianę i pozbierawszy kawałki, zlustrowała przełom.

- Znakomite - powiedziała. - Przypominają jakością dzbany świętego Jakuba... No, takie flamandzkie, kamion- kowe. Trzymaliśmy w nich wino - dodała, widząc pytający wzrok kuzynki. - Jak je zrobiłaś?

- Metodą prób i błędów. Odciskane z formy niczym rzymskie naczynie *terra sigilata*...

- Aha - zgodziła się kuzynka, choć nie miała zielonego pojęcia o archeologii. - To znaczy wszystkie będą iden- tyczne?

- Zgadza się. - Podała jej kolejną faskę i pokrywkę.

- Hmm...

Alchemiczka obejrzała wytłoczony herb Habdank i napis.

- Majątek ziemski Kruszewice - odczytała. - Ładnie wygląda, ale gdyby tak zmienić trochę krój literek...?

- Co proponujesz?

Zaskrzybiały schody. Księżniczka, rozczochrana, w szlafroku i kapciach, zajrzała do pokoju.

- Już wstałyście? - zdziwiła się.

- Już? Prawie jedenasta. - W głosie Katarzyny nie było nagany. - Źle się czujesz?

- Jestem trochę senna - mruknęła Monika. Obejrzała faskę.

- A gdyby tak dodać do gliny ciut kobaltu? - zaproponowała. - Zrobi się lekko błękitne.

- Będzie ładniejsze - przyznała Katarzyna. - Tylko skąd wytrzasnąć kobalt? I czy nie jest czasem toksyczny?

- Używano go właśnie do malowania naczyń - wyjaśniła wampirzyca i poczłapała do kuchni.

- Chyba mała urwała się w nocy na potańcówkę. - Stanisława uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- Nie wydaje mi się. - Agentka pokręciła głową. - Jak etykiетки?

Dziedziczki zabrały się do roboty.

* * *

Monika niepewnie popatrzyła na kabinę prysznicową. Ciepła woda? Agregat buczy, więc terma powinna działać. Nie, lepiej popływać w źródle. Zjadła pospiesznie pajdę chleba z kawałkiem kielbasy i osiodłała swoją klacz. Przemknęła przez wieś jak powiew wiatru.

Słońce stało wysoko, na niebie ani jednej chmurki. Dziś znowu będzie dziki upał. Wjechała w cień drzew, za- trzymała się nad stawem, zeskoczyła z konia i zamarła ze zdumienia, widząc swoje odbicie w wodzie. O, do licha...

Nadal miała na sobie szlafrok i ranne pantofle. Zapomniała się ubrać. Po prostu zapomniała... No nic, najwyższy czas się obudzić. Rozejrzała się wokół. Żywego ducha. Naga, tylko z naszyjnikiem na szyi, skoczyła, rękoma dotknęła dna, wypląnęła, parszcząc jak foka, i zanurkowała znowu. Lodowata woda otrzeźwiła ją, pozwoliła pozbyć się resztek zmęczenia. Ach, jak cudownie. Poczuła ucisk w uszach i na skroniach. Uaaa. Tego jej było trzeba. Wynurzyła się i stojąc na brzegu, przez długą chwilę w niemym zachwycie patrzyła w swoje leciutko drgające odbicie na powierzchni stawu. Twarde łydki i uda, mięśnie tuż pod gładką, czystą skórą. Wygląda jak antyczny posąg wykuty przez natchnionego mistrza z bryły najlepszego marmuru. Narzuciła na mokre ciało

szlafrok.

Wróciła do dworu okrężną drogą, przez pola. Lepiej w takim stroju nie pokazywać się ludziom na oczy...

A gdyby tak - rozmarzyła się - wymknąć się nocą z dworu, osiodłać klacz i całkiem nago pogalopować przez wzgórza w blasku księżycy? Poczuci na skórze tylko nocny wiatr, wytarzać się w cudownej chłodnej rosie i dzikich ziołach... A potem... Może poszukać kogoś, kto ugasi ogień płonący w żyłach.

* * *

Księżniczka znalazła porzuconą gazetę i zaczęła ją przeglądać. Ceny skupu płodów rolnych, ogłoszenia drobne... Nieoczekiwanie jej uwagę przykuła informacja zamieszczona pomiędzy komunikatami. Dyskoteka? Dawno nie była na żadnej zabawie, a przecież lubi tańczyć. Może by się wybrać? Zażyje trochę rozrywki, poszaleje. Gdzie to będzie? Wyjęła z szuflady mapę i sprawdziła. No cóż, kawałek drogi, prawie trzydzieści kilometrów. Z drugiej strony, ma przecież rower. W dwie godzinki można dojechać. I nagle poczuła nieodpartą pokusę. Wyrwie się ze wsi, pojedzie tam, gdzie jasno płoną światła lamp, gdzie zamiast dzwoniącej w uszach ciszy można posłuchać muzyki. Tam, gdzie ludzie będą podziwiali jej nieziemską urodę. Tam, gdzie jej smukła kibić i zgrabne nogi przyciągną męskie spojrzenia...

Popołudnie i wieczór wlokły jej się niemiłosiernie. Wreszcie zapadł zmrok. Stanisława zamknęła się w swoim pokoju. Katarzyna zmęczona wyrabianiem gliny poszła spać. A zatem w drogę.

Po pierwsze, włosy. Po tym najłatwiej ją rozpoznać. Lepiej, żeby zakochani tubylcy nie śpiewali jej potem serenad pod oknem. Od dawna chciała zobaczyć, jak będzie wyglądać, gdy zmieni kolor. Kupiła sobie odpowiednie kosmetyki i akurat nadarza się sposobność, by je wypróbować. Pianka koloryzująca zamieni ją na jedną noc w brunetkę. Jeszcze oczy - barwne szkła kontaktowe zdobyła już dawno, ale jak do tej pory nie było okazji ich użyć. Z dna plecaka wyszarpnęła bluzkę kupioną kiedyś na jakąś specjalną okazję. Jest trochę niepraktyczna, ma zbyt głęboki dekolt. Ale ostatecznie... Z kosmetyczki wyjęła korektor. Staranne zamalowanie herbu zajęło jej tylko kilka minut. Spojrzała na swoje odbicie. Wygląda nieźle, ale czegoś jakby brakuje. Zawiesiła na szyi medalion, będzie się ładnie prezentował. Otworzyła okno, z kocią zwinnością ześlizgnęła się na ziemię po dachu i piorunochronie. Wyciągnęła rower z komórki. I za moment mknęła już pylistą, polną drogą.

Dyskoteka odbywała się w sporym budynku remizy strażackiej. Księżniczka zostawiła rower kilkadziesiąt metrów dalej w krzakach i przypięła starannie łańcuchem do drzewa. Wykorzystując osłonę ciemności, ściągnęła spodnie i założyła spódnice. Siega do kolan, szkoda, mini byłoby lepsze. Kurtka też nie będzie potrzebna, rzuciła ją na bagażnik. Gdzie schować sztylet? W zasadzie mogłaby go tu zostawić, ale głupio czuła się bez broni. Katarzyna nosiła ostrze wplecione w warkocz, to chyba dobry pomysł. Przez ten rok włosy wampirzycy nieźle odrosły. Rozdzieliła je na kilka pasemek, przeczesała i oplotła pochwą. Machnęła głową i omal nie wybiła sobie zębów. Na nic. W końcu zawiesiła broń pod bluzką, przekładając mocowanie przez ramiączko stanika. Rękawy są krótkie i szerokie, dekolt też obszerny, w razie czego zdąży wyciągnąć.

Podeszła do obłazących z farby drzwi, zapłaciła pięć złotych za wstęp, dostała za to pieczątkę na lewe przedramię. Ciekawy sposób wydawania biletów - uśmiechnęła się w duchu. Po chwili zapomniiała o tym. Wmieszała się w tłum, ogarnął ją dziki, pierwotny rytm. W pomieszczeniu było duszno, tłoczno i ciemno, blaszana muzyczka dudniła na cały regulator. Widocznie organizatorzy uznali to za najlepszy sposób na zapewnienie klientom dobrej zabawy. Zawirowała w tańcu. Czas przestał istnieć. Muzyka jest inna. Inne słowa piosenek, inny rytm, inni ludzie, ale jednocześnie chodzi przecież o to samo. Zagubić się w tłumie, odrzucie swoją tożsamość, na kilka godzin wyłączyć nieznośną uporczywość myślenia.

Zapomnieć o swoim bydlęcym i pełnym znoju życiu... Zawieszenie broni podczas interwencji na Krymie, potańcówki w górach Bułgarii, dzika zabawa abchaskich górali, wszystko wymieszało jej się w głowie. Muzyka i szaleństwo. Aż do teraz nie wiedziała, że tak bardzo tego potrzebuje. W przerwie przepchnęła się do baru. Mieli tylko piwo, kiepskie, a do tego najprawdopodobniej rozwodnione, ale w gardle jej zaschło, więc skusiła się na kufel. W smaku było dość paskudne, ale przyjemnie zimne. Nikt nie zapytał jej o wiek. Przypomniała sobie studenta i zakłęta pod nosem. Trzeba było wziąć od niego numer na komórkę. Mogliby się tu spotkać, potańczyć, zabawić się trochę razem. Nie pomyślała. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Ugasiła pragnienie i mogła znowu ruszać w tany.

Pół nocy minęło jak z bicza strzelił. Przez ostatnią godzinę naprzeciw niej podrygiwał jakiś przypakowany koleś w odświętnym dresiku. Musiała zrobić na nim spore wrażenie. Uśmiechała się obiecująco, spuszczała zalotnie wzrok. Tajemniczy kamień połyskiwał w głębokim dekolcie. Kilka razy wychwyciła wrogie spojrzenia ze strony miejscowych dziewczyn. Widać ten kafar ma tu wzięcie...

Przerwa, zabłyśły światła. Oparła się o słup. Chłopak podszedł pewnym krokiem, najwidoczniej uznał ją już za swoją zdobycz. Złapał za ramiona, by ją objąć, wyszczerzył zęby. Ale znudziła się tą zabawą. Rąbnęła go kolanem i uśmiech przyozdabiający mordę zgasł razem ze świadomością. Koleś wolno osunął się w tył i runął w tłum, który rozstąpił się usłużnie. Czterech podobnie zbudowanych mutantów poderwało się od stolika. Kolejni dwaj jak w zwolnionym filmie odwrócili się od baru. Zanurkowała między ludzi. Sądziła, że zdoła dopaść drzwi, ale nie udało się. Trzej mięśniacy zabarykadowali je własnymi cielskami. Dziewięciu? Ciut dużo...

- Z drogi - warknęła.

Nie zareagowali, więc zaatakowała pierwsza. Środkowy wyglądał na wodza. Od niego zaczęła. Horda, gdy zabraknie przewodnika stada, zazwyczaj idzie w rozsypkę. Zamachnęła się potężnie, wywinęła piruet i przyładowała z całej siły. Szczeka poszła w drzazgi, krew, zęby i jakieś ochłapy bryznęły na tego po prawej, który podebrał odruchowo dłonie do twarzy. Kopnęła go w kolano, coś chrupnęło. Został jeszcze jeden. W tym momencie wszystko nagle pociemniało. A więc nie zdążyła... Zatoczyła się ciężko po ciosie butelką w potylicę. Opadła na czworaka, kopniak w zębra odebrał jej dech. Na chwilę. Świeże powietrze. Jest na dworze? Ach tak, odciągnęli ją za róg budynku.

- Podnieś - wycedził dobrze zbudowany bysio.

To ten pierwszy, ten, z którym tańczyła. Szybko doszedł do siebie. A może minęło więcej czasu, niż sądziła? Szarpnięcie za włosy ustawiło ją do pionu. Za plecami wyczuwała trzech, może czterech typków. Przed sobą miała jednego. Uśmiechnęła się promiennie.

- Ty suko, zaraz cię nauczymy - syknął, sięgając, by spuścić spodnie.

Zachciało mu się gwałcić? Ręce miała wolne, nogi też. Ten z tyłu trzymał ją tylko za włosy Lewą czy prawą ręką? Prawą. Broń tkwiła na miejscu. No to do roboty.

Monika jednym ruchem rozerwała bluzkę. Koleś wybałuszył gały, patrząc na jej piersi, a ona spokojnie złapała rękojęść bułatowego sztyletu. Najpierw trzeba się uwolnić. Okręciła się i odcięła łapę wroga w nadgarstku. Palce kurczowo zacisnęły się jej we włosach, ale nie miało to większego znaczenia, potrząsnęła głową, pozbywając się „ozdoby”. Pierwszy wyeliminowany. Niedoszły gwałcieł już zrozumiał, szarpał się w panice, usiłując podciągnąć spuszczone do kolan spodnie. Dосkoczyła i pociągnęła nożem tylko raz. Cięcie eunusze ma opanowane do perfekcji, aczkolwiek brak czasu uniemożliwił jej sprawdzenie, czy na ziemię spadło wszystko, co tam miał, czy tylko „korzeń”. Dwaj pozostali ruszyli na nią jednocześnie. Wykonała unik, wyprowadzając jeszcze jeden cios sztyletem. Nic tak skutecznie nie powstrzymuje napastnika, jak widok własnych jelit wyslizgujących się z rozciętych trzewi. Reszta dresiarzy uciekła. Szkoda.

Rozejrzała się szybko i spokojnie. Pociągnęła nosem, czując woń krwi, potu i uryny, któryś złał się w gacie ze strachu albo z bólu... Co dalej? Dobić! Złapała za włosy tego, któremu uciachała dłoń, i przyłożyła mu nóż do szyi. Wystarczy jedno krótkie pociągnięcie... Nie. Zatrzymała się oszołomiona i skonsternowana. Co ona, u licha, wyrabia? Odrzuciła chłopaka jak łachman. I uciekła w ciemność. Odszukała rower.

Z tyłu głowy wymacała guz wielkości ziemniaka, ale na szczęście skóra drażnięta tylko w dwóch lub trzech miejscach. Założyła kurtkę i spodnie, zapięła się starannie. Wytarła bułatowe ostrze z krwi. Jeśli ktoś ją zechce ścigać, pomyśli, że uciekła szosą, a ona tymczasem wybrała polne drogi... Miarowo naciskając pedały, oddalała się z feralnego miejsca.

Chłód nocy szybko pozwolił jej dojść do siebie. Napięcie wywołane walką opadło i teraz poczuła, jak bardzo jest wyczerpana. Z daleka wiatr przyniósł odgłos syreny. Policja albo karetka. Ktoś mógł zobaczyć, w którą stronę pojechała, więc zatoczyła kilkunastokilometrowy łuk, nim obrała kurs na Kruszewice. Pęd owiewał czoło, pomagał zebrać myśli. Przeanalizowała walkę i zagryzła zęby. Co, u diabła, narobiła? Najpierw prowokowała tamtego byczka. Przymknęła oczy, by lepiej sobie przypomnieć. Podniosła wtedy ręce nad głowę, żeby podciągnąć piersi wyżej, bliżej dekoltu... Szlag, zachowywała się jak mewka z portowych dzielnic, a gdy chciał po nią sięgnąć, odepchnęła go z pogardą. Bezsens własnych działań zmroził krew w żyłach wampirzycy.

Zdarzało się jej zabijać. Na szlaku życia zostawiła wiele trupów. Jednak, jak dotąd, zawsze działała w obronie własnej lub kraju, który aktualnie uważała za swoją ojczyznę. Nigdy nie mordowała ani nie okaleczała dla zabawy. Aż do dzisiejszej nocy... Po co to wszystko? Dla kilku chwil zapomnienia w tańcu? Dla rozkosznego dreszczu, dla świadomości, że wzbudza w tych mięśniakach zwierzęce wręcz podniecenie?

Wiatr zachichotał. Mięśnie bolały ją jak diabli, ale wiedziała, że dociągnie do domu. Próbowowała zanalizować swoje uczucia i trafiała na mur. Kochała kilka razy. Poznała uścisk męskich ramion, słodki dreszcz przenikający ciało... Dawno temu w górach Kaukazu oddała swoją cnotę przyjacielowi z partyzanckiego oddziału. Potem on poświęcił za nią życie. Kilka razy skosztowała owoców fizycznej miłości. Parokrotnie została zgwałcona, poznała też los niewolnicy. Raz oddała się za chleb, by nie umrzeć z głodu. Ale przecież nigdy nie pozwolić sobie na podobne prowokacje. Czemu zatem to zrobiła? Zwłaszcza wobec człowieka, który budził w niej tylko odrazę? Po co był cały ten rozlew krwi, po co ucięła rękę napastnikowi? Przecież mogła uwolnić się na tysiące innych sposobów.

Co ją opętało? A może? No cóż, wyjaśnienie jest dość proste, wręcz oczywiste. Piła piwo, widocznie już wtedy ktoś ją sobie upatrywał na ofiarę i dodał jakiegoś narkotyku lub, co bardziej prawdopodobne, afrodyzjaku. Wesoly kraj...

Trochę pobłądziła. Wzgórza i uśpione wioski były podobne do siebie niemal jak krople wody. Zeskoczyła ciężko z roweru i legła w wysokiej trawie. Popatrzmy... Konstelacje letniego nieba były niemal identyczne jak w jej ojczyźnie. Odszukała Gwiazdę Polarną. A więc tam jest północ. Odtworzyła w pamięci mapę okolicy. Jest chyba zbyt daleko na zachód. Wstała, otrząsnęła się z rosy i popedałowała drogą. Pół godziny później z wysokiego wzgórza dostrzegła uśpione Kruszewice. Zatrzymała się nad źródłem. Wciągnęła powietrze nosem. Była spokojna, włosy przesiąkły jej tytoniowym dymem i krwią, bluzka podarta i też poplamiona... Rozebrała się i zanurko-

wała w ciemną, prawie czarną, cudownie lodową toń. Miała w kieszeni spodni dwie saszetki z szamponem, najwyższy czas powrócić do naturalnego koloru włosów. Woda zmyła wszystko, brud, kurz, posokę, zmęczenie, koloryzującą piankę... Mogłaby pływać tak bez końca, ale pora wreszcie iść spać. Trzeba regenerować siły. Wspięła się po dachu, wślizgnęła bezszelestnie oknem, rozebrała i raz jeszcze przy świetle zbadła, czy nigdzie na ciele nie zostały jakieś kompromitujące ślady. Nie, dobrze się umyła. Włosy odzyskały swój naturalny blask. Wyjęła szkła kontaktowe. Wsunęła się pod kołdrę. Ale jakoś nie mogła zasnąć.

Rozdział 4

Dyskoteka opustoszała, policja zdołała przesłuchać tylko kilku uczestników. Większość nic nie widziała, ale na szczęście na imprezie byli dwaj konfidenci. To i owo udało się ustalić. Pierwsi ranni pojechali już do szpitala, kolejni dwaj czekali na transport. Posterunkowy nadszedł swobodnym krokiem.

- No i co, Bejsbol? - zagadnął dresiarza, któremu lekarz właśnie opatrywał oderżniętego do połowy ptaka. - Może opowiesz, co tu się, kuźwa, stało?

- Nie wiem - wychrypiał tubylec. - Muszę do szpitala, może da się przyszyć... - Zerknął przerażony na swoje przyrodzenie.

- Nie wiesz? A ludzie gadają, że twoja banda próbowała zatłuc jakąś małodatę. I gdzie ona jest, co?

- Ucieła mi eh... - Obecność gliniarza w ostatniej chwili powstrzymała go przed użyciem wyrazu cisnącego się na usta. - Siurka mi upitoliła! - zawył i zalał się izami. - A Grucha łapę stracił.

- I gdzie jest?

- Wisi, jeszcze się trochę trzyma. - Spojrzał na genitalia i pociągnął nosem.

- Nie o to pytam.

- Grucha z Mielonym do szpitala pojechali. Mielonemu zrobiła kosą dziurę w brzuchu, aż flaki na wierzch wyszły.

- Nie o twoich koleśiów mi chodzi, tylko o dziewczynę! - huknął na niego policjant. - Porwaliście ją? Czterech oberwało, ale byliście tu pewnie całym gangiem?

- Nie! Pobiła nas, porznęła nożem i uciekła.

- Nie pierdol, Bejsbol, bo tylko sobie sytuację pogarszasz! - pogroził mu. - A jak już chcesz łąć, to się przynajmniej postaraj, żeby to prawdopodobnie brzmiało.

- Ale tak było! - wykrztusił chłopak.

- Dziewięciu wiejskich mięśniaków oberwało od jednej małodaty, w tym czterech tak, że trzeba ich szyć i wieźć na pogotowie? Może jeszcze powiesz, że to ona na was napadła.

- Napadła - potwierdził ranny.

- Przestań bredzić, bo naprawdę się wkurzę. Podjechała kolejna karetka. Pielęgniarsz wsadził do niej Łysego. Osilek trzymał się za połamaną szczękę i mimo zastrzyku wył z bólu.

- A wiesz, kutasku, co teraz zrobimy? - Posterunkowy stanął nad łobuzem i uśmiechnął się niemal czule. - Zamiast jechać do szpitala, posiedzisz, gnoju, w areszcie, aż dziewczyna się znajdzie. Wątpię, żeby to się samo zrosło, więc zacznij się już uczyć sikania na siedząco.

- Eeeee... - Bejsbol zrobił się błąd jak ściana.

- No to słucham. Ludzie widzieli, jak ogłuszyliście ją butelką i wyweklicieście z lokalu. Wiesz, co to znaczy?

- Eeeee...

- Paragraf o uprowadzeniach. - Zacytował treść. -No, chyba że przedstawiś lepszą wersję wydarzeń. Taką, która będzie trzymać się kupy.

- Dobra, powiem. Wyciągnęliśmy ją na zewnątrz i pojawili się oni.

- Jacy oni?

- Ośmiu drabów w kominiarkach, chyba z czerwonych beretów, mieli noże szturmowe, takie z gumowanymi rękojeściami. Spuścili mam wpierdol i odjechali z dziewczyną. Do jednego mówiła „tato” - zełgał.

- No widzisz, Bejsbol, jednak można się z tobą dogadać - uśmiechnął się gliniarz. - Pamiętasz? Ostrzegałem cię, frajerze, że wcześniej czy później traficie na kogoś, kto was ustawi.

A potem westchnął ciężko. Pół roku temu w Krakowie grzebał przy jednej sprawie trochę za bardzo i to jego ustawiono.

* * *

Monika obudziła się o ósmej. Przeciągnęła się z rozkosznym ziewnięciem. Stała przed lustrem i obejrzała uważnie ciało. Trochę siniaków i obtarć, jakieś już częściowo zabliznione draśnięcia na ramieniu. Guz na potylicy prawie nie bolał. Wykreśliła się sianem. Zeszła na parter i wzięła prysznic.

Założyła spodnie oraz koszulę i była gotowa do pracy - Kruszewskie zrobiły śniadanie, na stole czekał talerz z kanapkami. Zjadła, ale ciągle była głodna. Jajecznicą? Dzisiaj niech będzie po turecku. Rzuciła na patelnię kawałek masła, dwie łyżki miodu i trzy jajka. Świat od razu wydał się dużo weselszy. Nocna bójka zacierała się w jej pamięci jak wspomnienie niedobrego snu. Po posiłku dziewczyna wyszła przed dworek. Pomogła Katarzynie ugniatać glinę, aż masa stała się miękka jak dobrze wyrobione ciasto.

- Wystarczy - powiedziała agentka. - Nie mam jeszcze odpowiedniej formy.

Przeszły do szopy. Z kilkunastu fasek księżniczka wybrała najlepszą.

- Ta będzie na wzór - zaproponowała.

- Dobrze. Potrzebuję worek gipsu sztukatorskiego. Masz ochotę odwiedzić Kraków?

- Jasne.

Zapakowały się do samochodu i kilkanaście minut później mknęły już szosą na Kraków.

- Jak sądzisz, uda nam się? - zapytała Katarzyna. - Żyjesz tak niewyobrażalnie długo, z pewnością niejedno przedsięwzięcie widziałas...

- Doświadczenie życiowe nie daje, niestety, zmysłu jasnowidzenia. - Księżniczka przymknęła oczy. - Choć pozwala uniknąć wielu kłopotów. Sądzę, że się uda - powiedziała, wzruszając ramionami. - Zaczęłyście w bardzo złym momencie, macie nieobsiane pola, zapuszczone sady. Budowa wsi jest rozgrzebana, więc w tym roku nie będzie zysków z agroturystyki, ale gęsi powinny się utuczyć do świętego Marcina.

- Tylko że prawie nikt tego święta nie obchodzi - zasepiła się Katarzyna.

- No to je rozreklamujcie. I tradycję odbudujecie, i jeszcze na tym może trochę zarobicie. Zima będzie ciężka jak diabli - zadumała się. - Ale jeśli wytrzymacie do przyszłego lata, to powinny być pierwsze zyski z majątku. Za sześć do siedmiu lat, gdy winnica da pierwsze plony, będzie wino i wtedy powinniście dobrze stanąć na nogi. A teraz nie traćcie czasu, rozwijajcie produkcję rzemieślniczą. Zresztą, w razie czego dorobicie kilka sztabek...

- Stanisława powiedziała, że nie może chwilowo. Alchemicy mają specjalny kodeks etyczny, który zabrania im zbyt częstego przeprowadzania transmutacji.

Gips zdobyły bez problemu. Agentka poszła zrobić zakupy na Kleparzu, a Monika zajrzała do kiosku. Przeczucie jej nie myliło. Lokalne brukowce odnotowały nocną zadymę.

Masakra na dyskotecze! - krzyczały nagłówki.

Po chwili wahania wysuwała złotówkę i kupiła gazetę. Pięć minut później artykuł był już przeczytany, a czasopismo spoczywało w koszu na śmieci. Dowiedziała się wszystkiego, co było jej potrzebne. Ośmiu osiłków zostało zatrzymanych, policja poszukiwała jej i zagadkowych ludzi, którzy spuścili im łomot. Zamieszczono nawet portret pamięciowy, ale podobieństwo było znikome. Odetchnęła z ulgą. Następnej nocy też poszaleje, trzeba sprawdzić, gdzie urządzają kolejną potańcówkę...

Nagle zamarła w bezruchu. Co? Skąd ten idiotyczny Pomysł?! Potrząsnęła głową ze zdziwieniem. To pewnie z przemęczenia.

Rozejrzała się wokół i zlokalizowała sklepik z bielizną - Pochlapany krwią stanik musiała wyrzucić, drugi już zszarzał. A zatem pora na małe zakupy. Weszła po trzech schodkach. Przekroczyła drzwi i znalazła się w świecie jak z bajki. Koronkowe majtki, biustonosze, haftowane halki, pończochy delikatne jak jedwab. W zasadzie są i jedwabne... Stanęła oniemiała, zauroczona bogactwem kolorów i fasonów.

- Czego potrzebujesz? - Sprzedawczyni puściła do niej oko.

Wyszła zadowolona ze sporą paczką w siatce. Dobrze, że miała kartę, bo nie wypłaciłaby się. Ech, dlaczego te najładniejsze rzeczy są zarazem najdroższe? Spojrzała na zegarek. Ma jeszcze trochę czasu, zresztą gdyby agentka skończyła zakupy wcześniej, zadzwoni po nią. Rozejrzała się, zagłębiła w bramę i weszła do sex-shopu. Za ladą siedział starszy mężczyzna. Na jej widok wytrzeszczył oczy.

- Dziecko, zmiataj stąd - powiedział łagodnie, ale stanowczo. - Wstęp od osiemnastu lat.

- Co? - Wyrwana z zamyślenia popatrzyła nieprzytomnie na półkę zastawioną ogromną kolekcją silikonowych „protez”. - Przepraszam, pomyliłam drzwi...

- Tak, wam się drzwi mylą, a mnie potem dzielnicowy opieprza - fuknął sprzedawca. - Wynocha i wróć za jakieś cztery lata.

- Przepraszam...

Wyszła oszołomiona. Potrząsnęła głową. Zaspanie zaspaniem, ale czego, u licha, tam szukała?! W kieszeni zapisał jej telefon.

- Monika? - Usłyszała głos agentki. - Zbieramy się do domu. Karetka czeka, księżniczko - zażartowała. - Kończ zakupy i spotkamy się przy aucie.

- Już idę.

Nadal lekko otumaniona szła chodnikiem, lawirując wśród ludzi. Nieoczekiwanie poczuła na karku czyjeś spojrzenie. Obejrzała się odruchowo, ale w tłumie nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy.

Student ASP uśmiechnął się do swoich myśli. Stał na szerokim gzymsie, cztery piętra nad ulicą. Jego sylwetka była znakomicie widoczna na tle błękitnego czerwcowego nieba, ale ludzie, drepzcząc w upale po ulicy, nie mieli sił, by unieść głowy i popatrzeć w górę.

* * *

Kompletna ciemność, absolutna cisza... Mistrz Michał zaklął pod nosem. Słowa wsiąkły w mrok, nie wzbudziły nawet echa. Ciało zeszytywniało, od dobrych czterdziestu godzin nie zmieniał pozycji. Wilk jest strasznie sprytnym draniem. Odgadł, że najgorszą torturą będzie porażająca nuda. Ale nie przewidział, że beczyność w którymś momencie popchnie uwięzionego do zupełnie desperackich działań.

Alchemik planuje. Każdy problem, nawet jeśli z pozoru wydaje się nierozwiązywalny, w rzeczywistości stanowi sumę kilku mniejszych problemów. A zatem po kolei. Cel dalekosiężny to dostanie się na Tajwan. Aby go osiągnąć, trzeba odzyskać wolność. Pierwszym pytaniem, które należy sobie zadać, jest: gdzie został uwięziony i co

z tego wynika.

Cełę zbudowano z cegieł na planie z grubsza prostokąta. Drzwi wyglądają na stare. Są bardzo solidne, mogą pochodzić z dowolnego dziewiętnastowiecznego obiektu albo okresu międzywojennego. To za mało. Zmierzył stopami długość wszystkich ścian. Ta z zamurowanym oknem okazała się dłuższa o około pół metra. Pomieszczenie jest lekko klinowate. To oznacza że stanowi część budynku wzniesionego na planie koła. Ściany, ta z oknem i ta z drzwiami, są sobie równoległe. Dwie pozostałe - ustawione pod kątem do hipotetycznej osi symetrii przechodzącej przez środek celi. Twierdzenie Talesa i kilka funkcji trygonometrycznych pozwolą obliczyć ten kąt. Potem uzyska promień rotundy oraz jej obwód. To powinno pozwolić na precyzyjne określenie rozmiarów budynku. A stąd już tylko krok do jego identyfikacji.

Usiadł i ścisnął skronie dłońmi. Niełatwo robić tak skomplikowane obliczenia w pamięci. Był zły na siebie. Rozleniwił się przez ostatnie dziesięciolecia. Ale czy to jego wina? Kalkulator jest tak łatwy w obsłudze... Zaciśnął zęby. Dość uzalania się nad własnym zgnuśnieniem. Policzy to nie „na piechotę”, ale urządzeniem, którego nie ma! Wyobraził sobie suwak logarytmiczny. Obrócił w myślach w powietrzu. Wysunął środkową część i sprawdził, czy jest w stanie przenieść w myślach cyferki o odpowiednią odległość. Da się.

Myśli płonęły jasno. Czuł straszliwą determinację. Możliwości mózgu są prawie nieograniczone, trzeba go tylko zmusić do pracy. Dziesięć minut później miał dwa wyniki. Średnice zewnętrznego i wewnętrznego okręgu, których częścią składową są dłuższy i krótszy bok celi. Wymiary powiedziały mu niemal wszystko. Okno jest zamurowaną strzelnicą. Pomieszczenie znajduje się przy zewnętrznej ścianie fortu artyleryjskiego. Sądząc po tym, że mury są dość suche, a prześladowcy mają tu elektryczność, kompleks musi być jakoś wykorzystywany. Hurtownia wina na Nowym Kleparzu? Chyba pasuje... Z drugiej strony, nie wie, ile czasu był nieprzytomny. Mogli go zawieźć i do Przemyśla. A trudno, nieważne. Tak czy siak, to zamurowane okno nie prowadzi na zewnątrz umocnień, tylko na majdan fortu.

Ujął miskę w dłoń i wypił kilka łyków wody. Obmacał krawędzie. Puknął i wsłuchał się w dźwięk. Porcelit, może nawet porcelana. Kawałek suchego jak wiór chleba leżący w misce obok... Zjadł pieczywo, a potem rozdeptał naczynie. Wilk może się wkurzyć, ale cóż, nie udowodni, że zostało zniszczone celowo. Alchemik przeżebrał dłońią okruchy i wybrawszy dwa najodpowiedniejsze, wrzucił je do kieszeni. Mało prawdopodobne, by jego prześladowca zechciał dopasować wszystkie elementy. A zatem do roboty. Odnalazł w ciemności drzwi. Znajdują się w idealnym miejscu, kamera wisi nad nimi. Gdyby prześladowcy zechcieli zapalić światło, nie zdołają zobaczyć, co robi.

Oczywiście lepiej byłoby zaatakować zamurowane okno - ale znajduje się w paskudnym miejscu, jeden rzut oka do celi i po sprawie. A zatem drzwi. Kiedyś, dawno temu, siedział w celi X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Razem z nim osadzono niejakiego Feliksa Kona, wyjątkowo zagorzałego wielbiciela socjalizmu. Kon, choć intelektualnie nie dorastał Alchemikowi do pięt, zadziwił go rozmachem, z jakim planował swoją ucieczkę. Jego plan mimo pozorów szaleństwa wyglądał dość realnie. Do więzienia przemycono kilkadziesiąt sztuk „żydowskich włosów” - specjalnie hartowanych złodziejskich piłek. Były podobne do brzeszczotów od laubzegi. Właśnie wywacze cięli nimi kraty sklepowe, Feliks planował podpłiwać płyciny drzwi. Nie tylko tych od swojej celi. Piłki chciał przekazać wszystkim socjalistom uwięzionym na tym piętrze.

O oznaczonej godzinie jego towarzysze w jednej z cel mieli wszczać harmider. Gdy przybiegną strażnicy, pozostali osadzeni wyłamią podpłiowane drzwi, rzucą się na nich na korytarzu, rozbroją, wezmą jako zakładników, zdobędą broń i siłą przedrą się przez mur twierdzy. Alchemik, wysłuchawszy szczegółów planu, zasugerował pewne modyfikacje. Wizja więźniów gołymi rękami walczących z uzbrojonym żołdactwem wydała mu się absurdalna. Doradził więc, między innymi, by po podcięciu desek wykorzystać piły do oderżnięcia metalowych nóg łóżek, a te z kolei przerobić na pały. Niestety, Kona przeniesiono do innej celi i Alchemik musiał uciekać sam...

Podszedł do drzwi. W ciemności niewiele widać, więc wywołał obraz z pamięci. Solidne, dębowe dranice. Wokoło rama z nitowanego ceownika. Przez środek wzmocnione zardzewiałymi płaskownikami. Drewno? - pociągnął opuszkami palców. Coś twardego, źle obrobionego. Buk albo dębina. Wycięcie dziury wystarczającej, by wydostać się na zewnątrz, zajmie całe lata. Za duże ryzyko. Obmacał framugę. Kamień. Nie wypłuje jej ze ściany. Zostają zawiasy. Solidne, żelazne, kowalskiej roboty. Ciężka sprawa, ale przecież się da. Uśmiechnął się pod nosem. Po powstaniu styczniowym zesłano go na Sybir. Używając stalowych igieł do robótek ręcznych, przepiłował kajdany, którymi przykuto go do tacek. Fakt, zajęło mu to cztery miesiące...

Silnie spieczona i twarda porcelana jest użytecznym materiałem. Powinno pójść szybciej. Przyłożył ułamek miski do zardzewiałego zawiasu i wykonał pierwsze delikatne pociągnięcie. Zgrzyt był prawie niesłyszalny. Dobra nasza! Odłożył narzędzie na podłogę. Alchemik lubi grać w szachy. Umie planować kilka ruchów naprzód. Podstawowym problemem jest przeciwnik. Nie zawsze robi to, co zaplanowaliśmy, by zwabić go w pułapkę. A zatem optymalnym wyjściem jest zastawienie kilku pułapek. Plan podstawowy ucieczki został opracowany, ale jeśli się nie powiedzie, trzeba mieć w zapasie plan rezerwowy...

* * *

Po całym dniu pracy przyjemnie było stanąć pod ciepłym prysznicem. Pluskała się przez kilka chwil, potem, owinięta grubym szlafrokiem, pobiegła do swojego pokoju. Rozpakowała paczkę z bielizną i zasłoniła okno. Otworzyła drzwi szafy. Dawno nie nosiła gorsetu. Patrząc na swoje odbicie, zagryzła lekko wargi. O, do licha. Wygląda w nim, jakby się wybierała prosto pod latarnię. Przebrała się pospiesznie. Nie, to też zbyt nieprzyzwoite. Przeglądała zakupy z rosnącym rozczarowaniem. Wszystko śliczne, białe koronki, kokardki, a jednak po założeniu przestaje się jej podobać. Frywolny nastrój, który ogarnął ją podczas zakupów, prysł bez śladu. Naprawdę poszalała, ale na szczęście, co nieco normalnych ciuszków też kupiła...

Założyła na rozgrzane jeszcze od kąpieli ciało cienką, haftowaną halkę. Przeczesała włosy i wsunęła się pod chłodną, miękką kołdrę. Teraz dopiero poczuła jak bardzo jest zmęczona. Chciała jeszcze pomodlić się przed snem, ale powieki opadły ciężko i odpłynęła...

Sen przyszedł szybko.

Miała jedenaście, może dwanaście lat. Wymknęła się z palatium ojca, by zapolować. W wysokich, skórzanych butach, z lekkim łukiem w ręce, bezszelestnie przemykała się przez las wysrebrzony nierealnym blaskiem księżyca. Jej ojciec podpisuje traktat pokojowy z wysłannikami cesarza. Nie ma syna, więc gwarancją umowy będzie ona. Pojedzie jako zakładniczka do Konstantynopola. Zobaczy ten wielki i wspaniały świat. Będzie traktowana jak księżniczka krwi, ale jeśli jej lud złamie pakt, słudzy Bazylego uduszą ją kawałkiem jedwabnego sznura...

Tak czy inaczej, w mieście nie ma jeleni. Nie wiadomo, kiedy zdarzy się jej ponownie zapolować, więc należy wykorzystać ostatnią okazję...

Biegła bezszelestnie ścieżką. Jesienny las nie budził w niej strachu. Jeśli spotka wilki lub dziki - wejdzie na drzewo, jeśli natknie się na niedźwiedzia - zdoła mu uciec. Jeśli na plecy skoczy jej ryś - zrzuci go i zabije sztyletem. Oczywiście, w lesie podczas pełni natknąć może się na wilkołaka lub upiora. Ale przed nimi ochroni ją wytatuowana na piersiach litania do jej patronki, świętej Moniki z Ostii. A ludzie? Nie, ludzie o tej porze śpią...

Wybiegła na skraj wielkiej polany. Daleko przed sobą zobaczyła jasny punkt. Strażnik na wieży zapalił pochodnię. Gdzieś tam, kilkaset kroków dalej, leży wioska, skupisko kilku półziemianek obwiedzionych palisadą. Zboża to przysmak saren i jeleni. Ostrożnie wciągnęła nosem powietrze. Rozpoznała zapachy. Coś tu jest... Blisko. Stojąc między grubymi pniami, wyjęła z kołczanu strzałę i napięła cięciwę.

Coś ostrego dotknęło jej łopatki. Rzuciła łuk na ziemię, a potem nagle padła przed siebie, przetoczyła się na plecy i już wstawała na równe nogi z dziadkowym sztyletem w wyciągniętej dłoni. W pierwszej chwili sądziła, że ktoś przystawił jej ostrze dzirytu do pleców. Woj siedzący na nieskazitelnie białym rumaku? Nie! Na grzbiecie nie było jeźdźca.

Patrzyła na jarzącą się w ciemności srebrzystą sierść. Kopyta miał rozdwojone jak u sarny, ale sylwetką przypominał raczej konia niż jelenia. Grzywa zapleciona w potargane warkoczyki opadała prawie do ziemi. Błękitne jak niebo oczy patrzyły na nią spokojnie, ale przenikliwie. Był piękny.

Podeszła i dotknęła dłonią aksamitnego nosa. Pozwolił się objąć za szyję. Spędziła większą część nocy, siedząc na mchu. Nie czuła chłodu ani zmęczenia. Jednorożec leżał obok, trzymał głowę na jej kolanach. Kościanym grzebieniem rozczesła mu grzywę i zaplotła od nowa. Nie wiedziała, dlaczego przyszedł akurat do niej.

Niebo zaróżowiło się.

- Pora wracać do domu - odezwało się zwierzę. Nawet się nie zdziwiła.

- Chcę zostać - odparła.

Sama nie była pewna, czy ma na myśli ten las, czy swój kraj. I nie miało to większego znaczenia.

- Ścieżki waszego życia są splątane - powiedział. - Wy, ludzie, nigdy nie możecie robić tego, na co macie ochotę.

- Zrozumiała, że to odmowa.

Świtało, gdy wślizgnęła się do palatium. Nikt nie zauważył jej nieobecności. Następnego dnia pojechała daleko na wschód. Zobaczyła wszystkie cuda cywilizacji. Nauczyła się myć codziennie i trefić włosy, wełniane szaty zamieniła na jedwabne. Poznała grekę i łacinę. Rok później jej ojciec zerwał rozejm. Poszedł z sąsiadami przeciw Bizancjum. Wtargnęli w granice imperium, by zdobywać miasta, rabować kosztowności i palić biblioteki. Myślała, że słudzy cesarza zabiją ją zgodnie z traktatem, ale okazano jej łaskę. Zamiast sznura z jedwabnej plecionki dostała polecenie osiedlenia się w dalekim, portowym mieście. I zamieszkała w pięknej willi nad ciepłym morzem...

Nie sądziła, że tak dobrze zapamiętała tamto wydarzenie. Przez te wszystkie lata zdołała sobie wmówić, że to był tylko sen. Ale teraz pamięć wróciła. To stało się naprawdę. Gdy była małą dziewczynką, spotkała stworzenie opisane po tylekroć w mitach różnych krajów i ludów... Kiedy w Bizancjum odbierała staranną, choć pospieszną edukację, wzmianki o nim znalazła w pismach mędrców. Sporo uwagi poświęcili mu Herodot, Elian, Ktezjasz, Pliniusz, Solinus, Cezar.

Podeszła do okna i popatrzyła. Serce skoczyło jej do gardła. Wielkie, srebrzyste zwierzę stało na szczycie wzgórza, patrząc prosto w jej okno.

To tylko koń, pomyślała. Księżyc go tak oświeca...

Ale wiedziała. To nie jest koń. Czekał tam. Po co? Zeszła na parter i, tak jak przed millenium, ruszyła na spotkanie uzbrojona w łuk i sztylet. Stał, patrząc swoimi błękitnymi oczyma. Podeszła i zatrzymała się o krok od niego. Wyciągnęła dłoń, tak jak wtedy, by dotknąć nosa zwierzęcia. Cofnął głowę i obnażył ostrzegawczo zęby.

Jego róg lśnił w świetle księżyca. Wyglądało na to, że jest paskudnie ostry. Przypomniała sobie starą legendę. Tylko dziewica może okiełznać jednorożca.

- No tak, straciłam cnotę - mruknęła.

- Cnota to tylko płatek ciała, trochę krwi i kilka chwil bólu. - Zwierzę przemówiło jak wtedy, używając dialektu jej ludu. - Gorsza jest utrata niewinności... Naruszenie czystości ciała jest niczym w porównaniu ze zbrukaniem duszy.

Stawał się półprzejrzysty, nierealny. Przez jarzącego się srebrną poświatą jednorożca coraz wyraźniej przeświatywały drzewa. I nagle zrozumiała, że nadal śni. Ale zaintrygował ją.

- Czy to się stało wtedy, gdy po raz pierwszy popatrzyłam na mężczyznę z pożądaniem? - zapytała.

- To dzieje się teraz - odparł. - Strzeż się... - W błękitnych oczach odmalował się głęboki smutek i coś jeszcze. Strach.

Usiadła na łóżku. Szczękała zębami, lodowaty pot zwilżył jej skronie. Podeszła do okna, wyjrzała. Księżyc skrył się za chmurami i nigdzie nie było widać żadnych zwierząt. Ani mitycznych, ani normalnych. Wypiła łyk zimnej herbaty.

Nie mogła zasnąć, więc zapaliła nocną lampkę.

Przejrzała znów paczkę z bielizną. Przymierzyła pas do pończoch i stanęła przed lustrem. Głupia jest i tyle. Przecież ładnie w nim wygląda. Podwiązki dobrze się układają, pończochy uroczo podkreślają smukłość ud i łydek... I co z tego, że w obecnych czasach taki strój budzi niezdrowe raczej skojarzenia? Siedemdziesiąt lat temu nikogo by nie zdziwił! Przebrała się raz jeszcze przymierzyła koronkowe stringi. Przeciągnęła się zmysłowo i okręciła na pięcie, obserwując swoje odbicie w lustrze. O rany, nawet nie sądziła, że ma taki zgrabny tyłek. Laszlo będzie zachwycony. A może... Przypomniała sobie malarza. Jak miał na imię? Ach tak, Paweł. Ziewnęła rozdzierająco i położyła się spać.

* * *

Monika zeszła ze swojego strychu dopiero koło ósmej.

- Znowu zaspalam - usprawiedliwiała się, trąc zaczerwienione oczy.

- Nic nie szkodzi - powiedziała agentka. - Zjedz coś i mi pomożesz.

Szybko zgrały czynności. Informatyczka dzieliła glinę na odpowiednie kęsy, księżniczka modelowała na gipsowych formach.

- Nie wyglądasz ostatnio najlepiej. - Katarzyna przerwała milczenie. - Źle sypiasz?

- Trochę, i śnią mi się różne głupoty...

- Myślałam, że może jesteś chora. Bo chyba nie zaszłaś w ciążę? Choć Laszlo nie wygląda na takiego, który by świeżo poznaną dziewczynę włókł od razu... Zresztą, ty też nie wyglądasz na, że się tak wyrażę, pierwszą lepszą. Monika uśmiechnęła się lekko. Sto lat temu za taką sugestią obraziłaby się śmiertelnie.

- Nie wiem, czy w ogóle jestem płodna - odparła. - Zakładam, że nie. Ostatnio... Coś się ze mną porobiło sama nie wiem. Chciałabym gdzieśjechać, coś zrobić...

- Nudzisz się?

- Chyba nie. Lubię siedzieć z wami i patrzeć, jak realizujecie swoje pomysły. A jednocześnie wszystko mnie jakoś męczy i drażni.

- Młodzieńczy bunt związany z burzą hormonalną - zawyrokowała. - To normalne u nastolatków.

- Hm, mam, jeśli się nie mylę w obliczeniach, tysiąc dwieście szesnaście lat - mruknęła księżniczka. - Ale biologicznie... Piętnaście chyba. Miałam czternaście w chwili iniejacji, ale przez następny rok trochę jeszcze podrosłam, zanim, jak mi się wydaje, zegar ostatecznie wyhamował. Sądzisz, że mógł nagle ruszyć? - Spojrzała na agentkę. - Że nagle wraca normalny proces dojrzewania i starzenia się? Z burzą hormonów, trądzikiem i innymi przypadłościami?

- Nie wiem. Ale można sprawdzić - rzekła Katarzyna. - Zmierzymy cię dokładnie. Za miesiąc zobaczymy, czy nie podrosłaś na przykład o centymetr. Chyba że zmiany zachodzą bardzo powoli, na przykład centymetr na stulecie.

- To dobry pomysł - kiwnęła głową Monika. Przeniosły gotowe faski do szopki.

- Jutro zrobimy kolejną partię. - Agentka z zadowoleniem zatarła dłońe.

- Ile sztuk chcesz mieć?

- Może pięćset, może tysiąc, nie zastanawiałam się jeszcze. Trzeba będzie policzyć. Nie wiesz, ile smalcu wytapia się z jednej gęsi?

- Zależy, czy jest dobrze wypasiona, czy nie. Z piersi dorodnej sztuki można mieć około litra...

Weszły do dworu. Katarzyna zaprosiła przyjaciółkę do łazienki. Spuściła roletę.

- Zajęcia z antropologii miałam wedle dość okrojonego programu, ale to i owo jestem w stanie sprawdzić. Rasowo nie odbiegasz specjalnie od mieszkańców naszego kraju... Może najpierw wskocz na wagę.

Księżniczka posłusznie wypełniła polecenie.

- Czterdzieści osiem kilogramów. W normie. Zobaczymy, czy nie będzie fluktuacji masy. Dziewczęta w tym

wieku, jeśli prawidłowo się rozwijają, czasem trochę tyją lub chudną, niezależnie od stosowania diety. Zęby nam dużo nie powiedzą, ale...

Otworzyła buzię dziewczyny.

- Aż mi się przypomniał targ niewolników - mruknęła Monika trochę zażenowana, gdy przyjaciółka zakończyła oględziny.

- Przepraszam.

- I co wyczytałaś?

- Siekacze i kły starte nie jak u młodej dziewczyny, ale jak u osiemdziesięcioletniej staruszki. Zębów mądrości ani śladu. Ale poza tym wszystko w normie. A raczej, hmmm... Masz nienormalnie doskonale uzębienie. Nigdy ci się nie psuły?

- Nigdy. A starły się trochę widać jeszcze od chleba mielonego na żarnach... Jadłam taki przez większą część życia.

- Rozbierz się.

Monika zdjęła bluzkę i spódnicę. Rozpięła stanik. Szare figi delikatnie kontrastowały z jasną skórą. Nawet bordowej barwy nitki tatuaży wydawały się do nich pasować.

- Ładny sobie komplecik kupiłaś. - Katarzyna pokręciła głową z uznaniem.

Obejrzała dokładnie jej sylwetkę, na koniec obmacała łokcie i kolana.

- Tu też nie ma żadnych anomalii.

- A czego się spodziewałaś?

- Te zaczepty przy chrząstkach są mocniej wyrośnięte, gdy kończy się siedemnaście do dziewiętnastu lat. No i piersi masz jeszcze, na dobrą sprawę, dziewczęce. - Musnęła je spojrzeniem. - Zmierzymy cię w kilku miejscach. - Wzięła z półki centymetr krawiecki. - I za miesiąc zgłosisz się na kontrolę - zażartowała. - Myślę, że jeśli nastąpią jakieś zmiany, zdołamy je wychwycić.

- Tak jest, pani doktor.

Katarzyna zanotowała starannie wszystkie wymiary. Wzrost jest kluczowy, ale i kości długie potrafią wyczyniać różne rzeczy... Monika ubrała się, ochlapała twarz przy zlewie.

- Zrobię obiad - zaofiarowała się i poszła do kuchni.

Siadły we trójkę przy stole wystawionym na ganek. Księżniczka przyniosła wazę z leczo i postawiła ją pośrodku. Nad doliną zaległ ciężki upał, ale tu, na wzgórzu, lekkie powiewy wiatru łagodziły żar.

- Nie mogę się skontaktować z Alchemikiem - powiedziała Stanisława. - Nie odpowiada na maile, komórka milczy.

- Jeszcze nie minął tydzień - zauważyła agentka. - Może po prostu dotarł na miejsce i jest zbyt zajęty? A może pojechał w góry Tajwanu do świątyni ukrytych w lasach i nie ma dostępu do sieci?

Jej głos dziwnie zadrzął.

Teśkni, pomyślała Monika. Teśkni i boi się, a jednocześnie nie dopuszcza do siebie myśli, że się zakochała.

Alchemiczka nie zwróciła uwagi na zachowanie kuzynki.

- Możliwe - westchnęła. - Ale niepokoi mnie to. I to... - Spojrzała na medalion połyskujący w dekolcie księżniczki. - Mam jakieś niedobre przeczucia. Jak posuwają się prace?

- Mamy gotowe trzysta fasek na smalec - zaraportowała Katarzyna. - To znaczy zrobionych i odstawionych do suszenia. Trzeba je jeszcze wypalić, zanurzyć w szkliwie i wypalić jeszcze raz. Zastanawiam się, czy nie kupić dużego pieca ceramicznego. Bo w tym małym można robić partie próbne po kilka naczyń...

- Pomyślimy.

- Gęsi będą dopiero za tydzień. Okólnik zrobimy na lewo od dworu. Ihor obiecał postawić niewielką szopkę na fundamentach, które tam są.

- To był lamus - uściśliła Stanisława.

- Kukurydza, otręby owsiane i inne takie do ich karmienia też już zamówione. Jeśli chcemy mieć miód, trzeba się rozejrzeć za pszczołami i może nająć jakiegoś fachowca, żeby co jakiś czas ich doglądał. Na ile się orientuję, w gminie nie ma ani jednego ula...

- To ciekawe - zdumiała się alchemiczka. - Bo pszczoł tu istne zatręśienie. - Przed chwilą odpędziła jedną, latającą nad wazą. - Skąd one mogą przylatywać?

- Nie wiem. Ile kilometrów może przelecieć pszczoła? - zastanawiała się agentka.

- Nawet kilkanaście - powiedziała Monika. - W majątku była pasieka?

- Zawsze mieliśmy, czasem nawet kilkadziesiąt uli.

- No to gdzieś siedzą.

- Co masz na myśli? - zapytała Katarzyna.

- Nikt nie doglądał pszczoł w PGR-ze, więc się parę razy wyroiły i uciekły. Żyją w lesie, jak dzikie. Porobiły sobie barcie w dziuplach i wypróchniałych kłodach. Może nawet kilkadziesiąt rojów...

- Ty to masz głowę. - Stanisława zerknęła na podopieczną z podziwem. - No, to teraz wystarczy wysledzić, gdzie mieszkają, wypilować razem z dziuplami i przenieść tutaj, a wiosną przesiedlić do nowych uli.

- Mogę spróbować je znaleźć - zaofiarowała się wampirzyca, teśknie patrząc na swoją klacz pasącą się na łące.

- Mamy jakieś plany na popołudnie? - Agentka popatrzyła na kuzynkę.
Ta wzruszyła ramionami.

- Myślę, że możemy oddać się słodkiemu nieróbstwu.

Osiadanie klaczy to pięć minut. Ani się obejrzały a ich przyjaciółka zniknęła w lesie.

Wzgórza, parowy, ścieżki wydeptane przez sarny. Las pachnie inaczej niż tamten w Bośni, jest mniej dziki, co i rusz natrafia się na ślady działalności człowieka. Na rozstaju dróg w zamierzczłej przeszłości postawiono kamienną kolumnę i figurę jakiegoś świętego. Musiało minąć wiele lat, od kiedy wszystko runęło. Szary piaskowiec porośnięty jest grubą warstwą mchu. Ale pewnie da się doczyścić. Zaznaczyła sobie to miejsce na sztabówce.

Pszczoły nie lubią nadmiaru wilgoci, nie ma sensu szukać ich w głębokich parowach. Za to na dobrze nasłonecznionych stokach wzgórz... Pierwsze gniazdo zlokalizowała niedaleko od przewróconej statuy. Owady zagospodarowały dziuplę potężnego dębu. Kilkadziesiąt metrów dalej odkryła kolejną barć. Upał wykończył ją kompletnie.

A, do diabła z pszczołami. Odgoniła kilka owadów krążących jej nad głową. Skoro już wyrwała się z domu, trzeba oddać rurę na rysunki malarzowi.

Pawłowi - poprawiła się w myślach. Ma na imię Paweł.

Postawiła na mapie jedenastą czerwoną kropkę. Jeśli Kruszewskie chcą założyć pasiekę, to mają pszczół do wypęku.

Złożyła sztabówkę i wskoczyła na siodło. Zmusiła klacz do kłusa, pęd powietrza owiewał czoło, ciało parowało. Popelniła błąd, zakładając kuse szorty. Wewnętrzne powierzchnie ud mogą się odparzyć od stykania z siodłem i końską sierścią...

Odnalazła właściwą wioskę. Zatrzymała się na krawędzi doliny i dłuższą chwilę lustrowała stoki. Nigdzie nie wypatrzyła znajomego ani jego sztalug. A zatem Pewnie jest na kwaterze.

Malarz siedział na ganku. Rysownicę położył na kolanach. W zadumie ostrzył ołówek. Nałożył francuski beret. Było mu w nim szalenie do twarzy. Na jej widok odłożył szkicownik i podniósł się z uśmiechem.

Wyglądał na nieco przygaszonego, ale teraz wyraźnie się ożywił.

- Tak czułem, że dziś wpadniesz - powiedział z uśmiechem.

Zmieszała się. Naciągnęła ze studni wiadro wody, napoiła konia i przywiązała go do plotu.

- Wejdz, proszę, pokażę ci obrazy...

Usłuchała. Ostatecznie, czego miała się bać? Gdyby miał złe zamiary, załatwi go bez problemu. Ale chyba nie ma. Wewnątrz chaty panował przyjemny chłód. Niewielka sionka dzieliła dom na dwie części. Po lewej kuchnia, po prawej coś na kształt pracowni. Obrazów było sporo, po kątach roztawiono zagruntowane blejtramy, na nich czerniły się pierwsze szkice.

- To zasadniczo na handel i na zaliczenie. - Wskazał kilkanaście widoczków. Drewniane dworki nad stawami, łąki obsypane kwiatami. W sumie nic ciekawego, ale strasznie się jej spodobały.

- A to tak dla siebie - wyjaśnił.

Mroczny staw w gęstym lesie, w wodzie zanurzony tajemniczy kształt. Może tylko stara kłoda, a może zwłoki jakiejś topielicy. Kościotrup z kosą trzyma w dłoni klepsydę. Rewelacyjny obraz przedstawiający stary cmentarz skąpany blaskiem księżyca. Monika nie mogła oderwać oczu. Co najmniej czterdzieści odcieni czerni...

- Robią wrażenie - przyznała.

Krypta egipskiego grobowca, zabójczo przystojny archeolog w korkowym hełmie zdejmuje jakiś amulet z szyi mumii owiniętej w resztki bandaży...

- Napijesz się wina czy herbaty?

- Wina.

Na stolik rzucił serwetę, ustawił talerz ciasteczek, przyniósł z lodówki oszronioną butelkę i dwa kryształowe kieliszki. Odkorkował zęcnie. Upiła pierwszy łyk czerwonego płynu. Mmm... Trochę zbyt zmrożone, ale znakomite.

- Z artystycznego punktu widzenia pogranicze świata żywych i umarłych jest bardzo ciekawe - powiedział. - W każdym razie niezwykle inspirujące. Zobacz to...

Odwrócił stojący pod ścianą obraz. Rzeźbione skrzydło drzwi, zza niego widoczna połowa twarzy wampirzycy. Długie zęby, kropla krwi ściekająca po brodzie.

- Wspaniałe - zachwyciła się Monika.

- A to może uda mi się sprzedać jednemu pismu na okładkę... Gadałem z nimi na razie telefonicznie, nie mam tu Internetu.

Obraz nie był jeszcze wykończony, student wystylizował go na osiemnastowieczny flamandzki portret. Tylko że nad szeroką kryzą zamiast twarzy widniała trupia czaszka.

- Robi wrażenie - przyznała.

- Oczywiście tworzę i bardziej pogodne rzeczy. - Uśmiechnął się, aż poczuła dziwny dreszcz.

Ściągnął muślinową zasłonę z kolejnego malowidła. Noc, trzy kobiety płaszące po łące. Ognisko, poblask płomieni na nagiej skórze.

- Jak widzę, malujesz też akty...

- E, taka tam partanina. Żeby namalować naprawdę dobry akt, trzeba mieć odpowiednią modelkę, a o to w tym kraju bardzo ciężko. Na szczęście znalazłem jedną.

Rozmawiali jeszcze dobrą godzinę, jak się okazało, posiadał ogromną wiedzę na temat późnośredniowiecznego malarstwa holenderskiego, a z braku odpowiednich albumów kilka problemów kompozycyjnych wyjaśnił, ilustrując własnymi, pospieszonymi szkicami. Była pod ogromnym wrażeniem jego erudycji. Wreszcie trzeba było zbierać się do domu...

Wróciła do dworu zziębnięta, koszula przylgnęła jej do pleców. Zadekowała się w łazience i długo nie wychodziła spod zimnego prysznica. Reszta wieczoru mijała w sennym otępieniu. Powietrze stawało się coraz bardziej duszne. Wreszcie nadeszło to, co musiało nadejść. Po kolacji niebo zaciągnęły ciemne chmury. Dobrze, że Pawło i Ihor skończyli dach.

* * *

Mężczyzna zwany Łowcą Myśli ujął w dłoń sznurek i kawałek kredy. Zaznaczył środek podłogi. Odmierzył odpowiedni odcinek linki i zatoczył koło. Wpisał w nie pentagram, a potem drugi, mniejszy i odwrócony o sto osiemdziesiąt stopni. Wilk usiadł w wykuszu okna i obserwował go obojętnie. Telepata w rogach większej gwiazdy ustawił stojaki z lustrami, w szczytach małej - wysokie świeczniki. Zapalił świece. Przez jakiś czas patrzył w zwielokrotnione odbicia, dokonał niewielkiej korekty.

- Mam wyjść? - zapytał przywódca Bractwa.

- Jak chcesz...

Łowca stanął pośrodku kręgu, rozłożył ręce i odchyliwszy się mocno w tył, zawisł w powietrzu w pozycji łamiącej wszelkie prawa fizyki, tylko piętami zaparty o podłogę.

Piętro niżej Alchemik przykniął oczy. Kamienna posadzka była twarda, ale bardziej dawało mu się we znaki znużenie beczynościami. Co można robić w ciszy i samotności, gdy jedynym zajęciem jest monotonne piłowanie zawiasów? Na razie największym problemem jest nuda. Teoretycznie mógłby spać, ale przecież nie przez całą dobę...

Każdy ma jakieś wspomnienia, on zebrał ich naprawdę dużo. Świetlisty letni poranek, miasto budzi się do życia. Słońce przegląda się w szklonych gomółkami oknach jego kamienicy. U Jezuitów właśnie skończyły się poranne modlitwy. W kościele Świętego Szczepana uderzył głucho stary, nadpęknięty dzwon. Nadchodzi kolejny dzień studiowania starożytnych traktatów, znów przez długie godziny będzie wpatrywał się w płomienie atanora... Uczniowie i służba obudzili się, słyszy krzątanie w zakamarkach domu.

Stukot żelaznej kołatki, nerwowy, jakby ukradkowy. Zszedł wtedy na parter, dłuższą chwilę patrzył zaskoczony na stojącego w progu młodzieńca. Jego twarz wydawała mu się znajoma i nieznajoma jednocześnie. Musiała minąć prawie minuta, zanim zrozumiał, że to jego mała przyjaciółka, Stanisława Kruszevska, przebrana w męski strój... Wiedział, czemu się ukrywa, więc bez słowa wciągnął ją do sieni i zatrzasnął drzwi. Zarżnęła swojego męża. W biały dzień zarząbała go szablą w szynku. Wypatroszyła jak wieprza na oczach conajmniej trzydziestu świadków i srodze poszczerbiła tych, którzy usiłowali ją zatrzymać. Zabiła w obrębie murów obronnych Krakowa. Złamała prawo miejskie w związku z tym będzie karana jak mieszczka, a nie jak szlachcianka. Czeką ją szafot. Oczywiście, jeśli zostanie złapana. Trzeba więc zrobić wszystko, żeby do tego nie doszło...

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Te kilka lat, gdy była jego uczennicą, uważa za jeden z najlepszych okresów w życiu.

- Właściwie szkoda, że jej potem nie poślubiłem... - Zadumał się.

Tamten dzień, gdy odcyfrował wreszcie do końca zapiski Setona i przystąpił do wielkiego dzieła. Stanisława w prostej, lnianej sukni, krzątająca się po pracowni, odmierzająca substancje ze słoików i puszek. Rteć, magnezja, wapno...

Nagle drgnął i uchylił powieki. Dziwne. W celi było nadal pusto, ale wyraźnie poczuł czyjaś obecność. Duchy? Nie, spotkał je dwa lub trzy razy w życiu, to było coś innego. Przykniął oczy, wracając do przeszłości. Wtedy, gdy wyciągnął Setona z więzienia u Christiana II, o!, to dopiero była historia... Film można by nakręcić. I to jaki! I znowu przyszła mu na myśl Stanisława. Jej smukłe, długie palce odmierzające składniki. Jasne, czyste i niewinne spojrzenie. Niezwykła zręczność, z jaką łapie widełkami rozgrzaną kolbę z topiącą się siarką. I znowu przy wadze...

Co, u diabła? Czemu myśli krążą mu wokół tak nudnych spraw? Ślub z Teresą. Pobrali się głupio, rok po śmierci Setona, i w zasadzie tylko dlatego, że tego zażądał, umierając. Ale małżeństwo, choć nieco wymuszone, okazało się nadspodziewanie szczęśliwe. Pasowali do siebie. W ciągu następnego roku rozkwitło w ich sercach prawdziwe uczucie. Choć nie lubiła alchemii. Rozumiał, alchemia zabrała jej pierwszego męża. Co innego Stanisława. Ta drobnokoścista szlachcianeczka wykazała się niesamowitym talentem. Przypomniawszy sobie, jak ze świecą w dłoni czytała jakieś opasłe tomiszczce, wosk ściekał, parząc palce, a ona nawet tego nie dostrzegła... Wspaniała dziewczyna. I znowu jej obraz w laboratorium. Uciera w moździerz drobiny złotego pyłu...

Cholera. Nie to chciał sobie powspominać. Teresa. Noc poślubna była średnio udana, za to potem, gdy poznali

się lepiej... Ależ miała w sobie ogień! Te długie godziny, które spędzali na miłosnych igraszkach, wymyślając coraz to nowe pieszczoty. Musiał kneblować jej usta dłonią, obawiał się, że jęki rozkoszy obudzą całe miasto. I inne wspomnienie. Poszedł na strych po węgiel drzewny. Była już noc. I wtedy zobaczył jasną smugę światła. Za jedną ze ścian był pokój, w którym mieszkała jego uczennica. Dwie belki, wysychając, spaczyły się, tworząc szparę szeroką może na ćwierć cala. Podszedł i zajrzał, sam nie wiedząc, dlaczego.

Stanisława przebierała się przy blasku świecy. Delikatne, jeszcze dziewczęce piersi, wysmukła kibić, rozkoszne dołeczki nad kolanami. Zdjęła spodnią szatę, rozpuściła włosy... Poruszała się z niezwykłym wdziękiem, nie był w stanie porzucić tego widowiska, ale w końcu zdołał opanować żądzę i oderwał się od szczeliny w ścianie. Po prawdzie, dokonał tego dopiero wtedy, gdy położyła się pod pierzyną i zdmuchnęła świecę. Tak, trzeba jej to przyznać. Chodzi z gracją, jakby płynęła w powietrzu. Podchodzi do szafy, wyjmując szklaną butlę z olejem witriolowym. Topi w tyglu żywicę szelakową...

Dość! Co się, u diabła, dzieje? Dlaczego, o czym by nie pomyślał, zawsze na końcu wypływają te wspomnienia? Teresa była wspaniałą, dojrzałą, bujną kobietą, o rozłożystych biodrach, piersiach jak dorodne, jesienne jabłka, urody mogły jej pozazdrościć księżniczki krwi. Poruszała się, jakby tańczyła. Czemu nie jest w stanie skoncentrować się na wspomnianiu tego, co w jego życiu było najlepsze, dlaczego jego myśli kierują się ku tej wiejskiej gąsce?

Zrozumienie przyszło nagle. Stanisława to tylko klucz. Element, który w mózgu budzi inne wspomnienie. Cztery razy jego myśli zbaczały ku laboratorium. Cztery razy przypominał sobie dzień, w którym po raz pierwszy uwarzył kamień filozoficzny. Tak jakby coś kierowało go w tym kierunku. Delikatnie, ale przecież w stronę z góry upatrzonego celu. Hm... Spróbować raz jeszcze? Pomyślmy o czymś kompletnie niezwiązanym z dziewczyną. Na przykład o wojnie.

Poganiał konia, od wielu godzin przedzierając się na południe. Szwedzi wtargnęli na ten teren wczoraj. Błękitne, wiosenne niebo znaczyły dymy płonących wsi. Krył się w lasach, szybko przeskakiwał otwarte przestrzenie pól. Parokrotnie z daleka widział wroga. Raz natknął się na dwóch maruderów, zastrzelił pierwszego, zarząbał szablą jego towarzysza i wymienił zdrożonego konia na piękną, wypoczętą klacz.

Wyjechał na wzgórze i naraz zatrzymał się zdumiony. Pod nim, w dolinie, stało co najmniej trzydzieści szubienic. Z belek zwisały trupy szwedzkich oficerów. Ściągnięto im buty, od mundurów oderwano koronkowe kołnierze. Ciała chwiały się na lekkim wietrze, na twarzach zastygł grymas bólu, wybaluszone oczy patrzyły już w wieczność, ale pozostało w nich zdumienie. Przy drodze wbito słup opatrzonej drewnianą tablicą. Podjechał do niego wolno, zaciekawiony. Napis wykonany czarną farbą nie zdążył jeszcze dobrze wyschnąć:

TU ZACZYNAJĄ SIĘ DOBRA RODZINY KRUSZEWSKICH.

TAK KOŃCZĄ CI, KTÓRZY WKRAZAJĄ NA TĘ ZIEMIĘ NIEPROSZENI.

Spojrzał na ciała dyndające na sznurach. Tylko niektórych wzięto żywcem. Rzut oka na rany powiedział mu wszystko. Grube, pospiesznie wykonane bełty kusz nie miały nawet stalowych grotów. Ich końce opalono tylko nad ogniem. Kruszewscy najwidoczniej wyszkolili w strzelaniu wszystkich swoich chłopów i wzięli Szwedów z zaskoczenia... Trzydziestu rajtarów, a przeciw nim może osiemdziesięciu kmiotków uzbrojonych w dragi i dzi-dy, kusze i łuki. Myślących tylko o tym, że przy każdym zabitym Szwedzie znajdą wypchaną sakiewkę, manierkę z wódką, srebrne guziki i skórzane buty, Pistolet wart kilkadziesiąt dukatów oraz masę innego cennego i pięknego dobra. Tak, łuki... Przypomniał sobie to lato, kiedy spotkał Stanisławę po raz pierwszy, trzynastoletnia szlachcianeczka, na bułanym koniku z tureckim łukiem wracała z porannego polowania wioząc trzy przytroczone do siodła zające. Rozmawiał z jej ojcem, gdy podjechała bliżej. Regał w pracowni był wysoki, a puszka z natrytem stała na najwyższej półce Szara, płócienna sukienka zadarła się lekko, gdy uczennica zeskokczyła z gracją z wysokiego stołka. Podeszła do wagi...

Dość! Mistrz szarpnął się, przerywając trans. Już wiedział. Coś lub ktoś kieruje jego myśli tam, gdzie chce. A po co? To jasne. Chce poznać sekret produkcji kamienia filozoficznego. Ktoś wdziera się do jego mózgu jak haker włamujący się do pamięci komputera!

Przez długie lata nabrał przekonania, że telepatia nie istnieje. Spotkanie z Arminiusem zachwiało jego pewność siebie. Stary łowca był w stanie odszukać wampiry dzięki temu, że ich myśli najczęściej obsesyjnie krążyły wokół picia krwi. I Sędziwój doszedł do wniosku, że to jest granica ludzkich możliwości. A tu proszę...

No i ma problem. Jak obronić się przed tego rodzaju atakiem? Nagle dziwny zamęt w myślach zniknął. Wróg wycofał się, mając nadzieję, że nie został wykryty...

* * *

Kruszewskie wykończone upałem poszły spać. Księżniczka poczytała sobie przez jakiś czas, ale oczy strasznie się jej kleiły, więc poszła w ich ślady. Ale, o dziwo, nie mogła zasnąć. Ledwie przyłożyła głowę do poduszki, przypomniała sobie poranne badanie. Twarde palce Katarzyny ugniatające jej ciało jak bryłę ciasta. Wtedy o tym nie pomyślała, ale teraz przeniknął ją słodki dreszcz. A gdyby tak zejść na parter i cicho wślizgnąć się agentce do łóżka? Zamknąć usta pocałunkiem. Rozewrzeć uda kolanem. Jest silna, ale przecież nie zdoła się wyrwać z uścisku wampirzycy. Trzeba ją tylko umiejętnie chwycić. A potem można wsunąć jej język do ucha...

Gdzieś daleko zagrzmiało. Monika usiadła na tapczanie i potrząsnęła głową. Oż, do diabła, co jej się ubzdurało? Jak żyje, nie popatrzyła na inną kobietę z pożądaniem! Sama myśl o takich igraszkach napawa ją obrzydzeniem... Jeździła po południu z odkrytą głową, musiała najwidoczniej przegrzać mózg na tym upale. Uchyliła okno, przez długą chwilę patrzyła w mrok rozświetlany tylko od czasu do czasu przez błyskawice. Burza krążyła, ale na razie chyba oddalała się od Kruszewic. Księżniczka zeszła na parter i otworzywszy drzwi wejściowe, stanęła na ganku. Nawalnica odeszła, deszcz nadal padał.

Na wpół świadomie ruszyła przed siebie. Noc była tak przyjemnie chłodna... Bose stopy zaklaskały po błocie, deszcz szybko przemoczył nocną koszulę na wylot. Szła powoli, właściwie spacerowała. Minęła sąg belek przygotowanych do budowy kurnika, w mroku zamajaczył samochód Ukraińców. Zrobiła krok w tamtą stronę i nagle poczuła, jak włosy stają jej dęba.

Ciało ogarnął dziwny paraliż, poczuła zawrót głowy, smak krwi w ustach, zatoczyła się i usiadła prosto w błoto. Co, do licha? Nadepnęła odizolowany kabel pod napięciem? Nie, niemożliwe. Tu nie ma prądu, jedynym jego źródłem jest generator w szopie, ale on przecież został na noc wyłączony...

Wstała i na próbę wyciągnęła rękę w kierunku samochodu. Nic. Ale gdy spróbowała postąpić krok -znowu to samo. Zlewne poty, ból głowy, nudności., Cofnęła się bardziej zdziwiona niż zła. To coś na ziemi. Magiczny krag? Pole siły? Bzdury! Pochyliła się i korzystając ze swojego kociego wzroku, starannie zlustrowała błoto. I oczywiście znalazła. Na ścieżce ktoś położył kawałek konopnego sznurka zawiązany w siedem węzłów. Wyciągnęła po niego dłoń. Tym razem rąbnęło tak, że przez minutę nie mogła się pozbierać. Wreszcie, gdy była już prawie pewna, że wypaliło jej oczy, zielone plamy ustąpiły...

- Do licha - mruknęła. - A cóż to takiego?

- *Obereh*. - Pawło odezwał się zza sągu. - Po polsku chyba mówi się na to talizman. Położyliśmy sobie kilka wokół samochodu, na wypadek gdyby się jakieś wampiry po nocy tłukły...

- Co to za magia? - Wyrzeszczyła oczy.

- Huculska - wyjaśnił z prostotą. - Może i ludowa, ale chyba działa...

Zapalił latarkę.

- Gorąco mi się zrobiło i wyszłam się tylko przewietrzyć - oświadczyła z godnością.

- Bardzo gorąco. - Uśmiechnął się z lekką kpina, patrząc na jej cienki i przemoczony strój. - Wracaj do domu, cielaczk, i uważaj, bo następnym razem może ci się przytrafić coś dużo gorszego... - Dla podkreślenia swoich słów położył dłoń na sterzącej zza paska kolbie samopału.

Zawróciła bez słowa. Wzięła szybki prysznic, żeby zmyć błoto, i wdrapała się na swoje poddasze. Deszcz otrzeźwił ją, przywrócił zdolność logicznego myślenia. Założyła grubą pizamę i położyła się do łóżka.

Nadal nie mogła zasnąć. Alchemik sądził, że jej wampiryzm to tylko poważna anomalia genetyczna. Jakiś czynnik w organizmie blokuje procesy starzenia. On sam dokonał niemożliwego, uzyskał kamień filozoficzny, przeprowadził transmutację metali. Zdaje sobie oczywiście sprawę, że magia działa, widział gołęma, bryłę gliny ożywioną zaklęciem. A jednak wszystko stara się racjonalizować...

Ona też. Była przekonana, że wampiryzm da się wyjaśnić na gruncie biologii. Owszem, srebro ją parzy, jego związki są dla niej bardzo toksyczne, ale u zwykłych ludzi też zdarzają się alergicy! Sądziła, że magia jej nie dotyczy. Była w stanie chodzić do kościoła czy cerkwi i nie działo się nic niepokojącego. Woda święcona nie wypalała jej dziur w skórze.

Dziś nauczyła się czegoś nowego. Aby ją zatrzymać i obezwładnić, wystarczy kawałek sznurka ozdobiony góralskimi supelkami... Zrozumiała, że są takie chwile, kiedy trzeba zadać sobie pytanie: kim jestem?

Rozdział 5

Po całonocnej ulewie przyjemnie się ochłodziło. Lekki wietrzyk szarpał obrusem, gdy jedli śniadanie na ganku. Pawło i Ihor sączyli herbatę, nie wspominając ani słowem o wieczornych przygodach. Agentka wzięła samochód i bladym świtem pojechała do Krakowa.

- Chyba dziś musicie zrobić sobie wolne. - Alchemiczka popatrzyła w niebo. - Znowu będzie lało.
- Z przyjemnością. - Pawło kiwnął głową. - Ale może są jakieś prace, które moglibyśmy wykonać?
- Pojedźcie do lasu, Monika znalazła resztki jakiejś kapliczki, pozbierajcie je i przywieźcie tutaj - zadysponowała. - Zobaczymy, co da się zrobić. Pewnie trzeba będzie oddać figurę do konserwacji, chyba że sami sobie poradzimy. A ty... - Popatrzyła na przyjaciółkę. - Nie ma chyba nic, czym mogłabyś się zająć.
- W takim razie, jeśli pozwolisz, pozwiedzam okolicę.
- Jasne. Czekaj, może pokażesz im, gdzie jest statua.
- Zaznaczyłam na mapie. - Księżniczka poszła po sztabówkę.
- Trafimy - uspokoił ją Ihor.

Monika popatrzyła na niebo. Będzie padać, to pewne jak że dwa razy dwa jest cztery... Koń tylko niepotrzebnie zmoknie. A zatem rower. Przypięła do bagażnika pelerynę przeciwdeszczową i nacisnęła na pedały. W pół godziny była na miejscu. Paweł siedział na ganku i skrobał coś w kajecie.

- Witaj. - Odłożył ołówek.
- Nauczysz mnie malować? - zagadnęła.

Kiwnął głową i zaprosił ją do wnętrza. W pracowni niewiele się zmieniło, tylko na sztalugach stał rozpoczęty obraz przedstawiający nagą dziewczynę leżącą pod jabłonką. Malarz zestawił go w kąt.

- To jest podkład. - Postawił na jego miejsce zagruntowane płótno naciągnięte na blejtram. Można bez problemu kupić gotowe, dawniej robiłem je sam, ale teraz szkoda mi czasu. Malowałaś kiedyś?

- Trochę szkicowałam. - Uśmiechnęła się z zażenowaniem.
- Więc zasady perspektywy nie powinny być ci obce. Co chciałabyś namalować?
- Może martwą naturę? Przesunął stolik.

- Mam tu trochę rekwizytów. - Otworzył starą skrzynię wyprawową. - Wybierz sobie, co ci pasuje.

Książka oprawiona w skórę, cynowy świecznik, kiść sztucznych winogron, patera i kilka plastikowych owoców
- Ułożyła je w piramidkę.

Popatrzył krytycznie i poprawił ułożenie.

- Tak będą silniejsze kontrasty, a tym samym obraz stanie się bardziej wyrazisty - wyjaśnił. - To bardzo ważne, jeśli wejdiesz do pomieszczenia, powinien natychmiast przykuwać wzrok. Jeśli powiesi się go pośród innych, ma się wyróżniać na tle, by zwrócić uwagę potencjalnego klienta.

- Jasne. - Choć nie zamierzała nigdy sprzedawać tego, co namaluje, rady chłopaka przypadły jej do gustu.
- Może jeszcze tło?

Zawiesił na gwoździkach wbitych w ścianę kawał tkaniny i udrapował ją wokół przedmiotów.

- Powinno być dobrze - ocenił. - Zaczynasz od szkicu węglem albo miękkim ołówkiem...

Ujęła pałeczkę prasowanego grafitu i zaczęła nanosić kontury na płótno. Kilka razy delikatnie brał ją za rękę i poprawiał niektóre linie.

- Brawo, masz talent - pochwalił.

Miał imponującą kolekcję pędzli. Pokazywał je po kolei, wyjaśniając, który do czego służy. Próbowwała, ale efekty były raczej kiepskie.

- Nie przejmuj się - pocieszył ją. - Za pierwszym razem nikomu chyba nie wyjdzie. Tak słucham twojego akcentu... Skąd jesteś?

- Z Bośni - wyjaśniła, myśląc nad malowanym właśnie jabłkiem. - A ty?

- Można powiedzieć, że pochodzę z Ukrainy Zmrużył oczy. - Ale od dawna żyję w Polsce.

Skończyła owoc i zabrała się za kolejny. Gruszka wyszła znacznie lepiej.

- Jakoś to poprawię - mruknęła.

- Jak zaschnie, można wyskrobać farbę i namalować raz jeszcze - podpowiedział. - Ale ja bym tak zostawił. Nie jest złe.

- Trudno jest malować ludzi? - zapytała.

- Jeśli chodzi o portrety, owszem. Najtrudniej oddać myśli modela, jego stan ducha, charakter.

- To faktycznie brzmi skomplikowanie. - Garść wyświechtanych frazesów wydała jej się niezwykle głęboką myślą. - A akty?

Skrzywił wargi w kpiącym uśmiechu.

- Obowiązują podobne reguły, ale na aktach nie zawsze widać twarz, więc można sobie trochę ułatwić życie. Choć nagie ciało też dużo wyraża... Zależy, co się chce namalować. Łatwo przekroczyć tę trudno uchwytną granicę, która dzieli erotykę i pornografię.

Przytaknęła machinalnie. Był taki niezwykle mądry.

- A ja? - zapytała.
 Popatrzył na nią, jakby nie rozumiał.
 - O co ci chodzi? - zapytał.
 - Nadawałabym się na modelkę? Chciałbyś mnie namalować?
 - Bez ubrania? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Dziecko, a komu potrzebne takie obrazy? Pedofilom mam sprzedać?
 - Jestem starsza, niż na to wyglądam!
 - Ale wyglądasz, na ile wyglądasz - odparł. Poczula gwałtowne, piekące rozczarowanie. Nie chce nawet zobaczyć, jak prezentuje się nago? Głupek. Prychnęła ze złości. Spojrzał na nią życzliwie.
 - Nie obrażaj się - poprosił. - Pokaż, co tam masz - dodał nieoczekiwanie.
 Zawahała się na ułamek sekundy i pokręciła przecząco głową. Jeszcze przed chwilą gotowa była zedrzyć z siebie sukienkę, a teraz nagle zawstydziała się. Nie nalegał. Gestem poprosił ją, żeby malowała dalej. Gniew gdzieś uleciał. Stygła. Gdyby się odwróciła, dostrzegłaby dziwny, cyniczny uśmiech na wargach studenta, ale zbyt ją pochłonęło tworzenie.
 - Zostaniesz na obiedzie? - zapytał.
 - Ojej, to już tak późno? - zdumiała się. Spojrzała na zegarek. Dochodziła trzecia. Zagryzła wargi.
 - Muszę lecieć. - Z żalem popatrzyła na niedokończony obraz.
 - Rozumiem. - Kiwnął głową.
 Nie zatrzymywał jej. Wsiadła na rower i pomknęła pełną drogą. Student pomachał jej z oddali. Podjazd na przełęcz okazał się dziwnie stromy. Zsiadła i wprowadziła jednoślada na górę. Gdy dociągnęła wreszcie do Kruszwie, łydki paliły ją żywym ogniem. Zasapała się. Uuu... Trzeba było jednak wziąć konia.
 Stanisława krzątała się przy garnkach.
 - Szkoda, że cię nie było - powiedziała. - Laszlo dzwonił.
 - Aha - zainteresowała się księżniczka. - Co tam u niego?
 - Nie bardzo chciał mówić przez telefon, ale zdaje się, są na tropie jakiegoś architekta. Żałował, że cię nie zastał.
 - Aha... - powtórzyła. - Może następnym razem się uda.
 Była bardzo zmęczona, widać skoki ciśnienia zwiastujące kolejną burzę tak ją wykończyły. Wdrapała się na swoje poddasze, oplukała twarz zimną wodą z miski. Zmieniła przepoconą koszulę. Laszlo... Trochę zawstydziała się, że przez ostatnie dni niewiele myślała o swoim przyjacielu. Z drugiej strony... No cóż, był fajny, ale to góral z Siedmiogrodu, wychowany na wsi. Żaden intelektualista. Coś tam niby przez dwa lata studiował, ale co to jest? A tymczasem Paweł tak mądrze umie mówić o malowaniu. Prawdziwy erudyta. I diabelnie przy tym przystojny. Taki męski, podczas gdy Laszlo... Ech. Ciągłe jeszcze ma chłopięcą sylwetkę.
 Alchemiczka zawołała ją na obiad. Katarzyna wróciła koło czwartej. Rzuciła przelotne spojrzenie na kawałki statuy porozkładane koło warsztatu i dosiadła się do jedzących przyjaciółek. Minę miała dziwnie markotną.
 - Co się stało? - Stanisława, podsuwając półmisek z pieczenia, obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.
 - Udało mi się włamać do baz danych polskich służb granicznych - powiedziała informatyczka. - Wynika z nich, że Alchemik w ogóle nie przekroczył granicy naszego kraju.
 - Co?!
 - Miał lecieć do Frankfurtu, a tam złapać połączenie na Tajwan. Problem w tym, że na Balicach nie odnotowano nikogo takiego. Bilet nie został ani wykorzystany, ani zwrócony. Samolot poleciał bez mistrza na pokładzie.
 - O, do diabła. Może został z jakiegoś powodu aresztowany na lotnisku?
 - Nie. Sprawdziłam. Nie miałam wprawdzie dostępu do danych wszystkich służb, ale ściągnęłam filmy z hali odlotów. W ogóle nie dotarł na lotnisko.
 - Może zmienił plany w ostatniej chwili, ale to do niego zupełnie niepodobne... Do licha. Możesz namierzyć jego telefon komórkowy?
 - Dałoby się, gdyby był włączony.
 - Nie podoba mi się to. - Monika pojawiła się jak spod ziemi.
 - Mi też nie - westchnęła Katarzyna. - Teraz pomyślmy, co mu się mogło przytrafić?
 - Wypadek samochodowy? Albo... - rozważała Stanisława. - Choć nie wyobrażam sobie tego...
 - To sprawdziłam. Dane policji, pogotowia, szpitali. Ustaliłam coś jeszcze. Zamówił taksówkę, ale jak przyjechała, nie zszedł do niej. Telefon już wtedy nie odpowiadał.
 - Do diaska!
 - Myślę, że istnieje sensowne wyjaśnienie tej zagadki. Miał tylko jednego wroga.
 - Bractwo... - Dziedziczka domyśliła się natychmiast. - Ale przecież... - Zadumała się głęboko. - Nie wybiliśmy wszystkich do nogi?
 - W tym właśnie problem, że chyba nie. Mistrz wspomniał, że razem z Laszlo starli się z kilkusobową grupką i niektórych poranili. Tymczasem ci, którzy dopadli jego i Monikę w kamienicy i na podwórzu...
 - Wszyscy byli zdrowi jak byki - potwierdziła wampirzyca. - Jakiego rodzaju obrażenia odnieśli ci z zaułka?
 - Trzeba zapytać Laszlo i Arminiusa. Zaraz do nich zadzwonię...
 - W tej sytuacji chyba musimy wracać do Krakowa. - Alchemiczka zagryzła wargi. - Stąd nie da się przeprowa-

dzić śledztwa. Z drugiej strony...

- Kontynuuj budowę. - Agentka znalazła rozwiązanie. - Masz przecież niezłych cieśli. Z odszukaniem Sędziwoja powinnam sobie poradzić.

- Weź ze sobą Monikę. Przyda ci się ochrona.

- No nie wiem... - zaniepokoiła się Katarzyna. - Tu jest przecież masa roboty...

- Poradzę sobie sama - uspokoiła ją Stanisława. - A ona, biedactwo, dusi się tutaj i wariuje z nudów. Niech polata dla odmiany po mieście. Może znajdzie jakiś trop, na który my nie zwróciłybyśmy uwagi?

Księżniczka wahała się. Z jednej strony, znajomość z malarzem rozwijała się bardzo ciekawie. Z drugiej, lojalność wobec przyjaciół... Nie, do diabła. Musi jechać.

- A jak tamci? - Agentka spojrzała w stronę baraków. - Czuję przez skórę, że coś knują.

- Furda. Niech spróbują coś wyciąć. Ruski miesiąc popamiętają. Musicie na siebie bardzo uważać. Mistrz zawsze świetnie sobie radził. Jeśli zdołali go pojmać, muszą być naprawdę zręczni i niebezpieczni.

- Będziemy miały to na uwadze...

Zapakowały się do samochodu i po chwili mknęły już przez wioskę. Stanisława odprowadziła je spojrzeniem pełnym troski. I co tu dalej robić? Przeszła się na plac budowy, udzieliła wskazówek Ukraińcom, a potem zawróciła do dworu. Pora postudiować trochę historię swojego rodu... Rozłożyła na stole wyblakłe karty kroniki i wzięła do ręki silne szkło powiększające. Zapisy poczynione ręką jeszcze jej pradziada:

Anno Domini 1519 September. Do wioski znowu meteor przyszedł i dwie dziewczki zmarnował.

Dalszy ciąg tonął w plamach atramentu. Tylko w dwóch miejscach majaczyły poszczególne wyrazy: *plaga, zaraza kainowa, kara za grzech nieczystości*. Na samym końcu zachował się większy urywek: *czego i z Bożą pomocą dokonaliśmy*.

- Ciekawe - mruknęła.

A zatem sześćdziesiąt lat przed jej narodzeniem upadek meteorytu zabił we wsi dwie kobiety. Wyobraziła sobie ukraiński step drzemiący w dusznym upale. Chłopi machają sierpami, kobiety wiążą snopy. I nagle, jak grom z jasnego nieba, grad rozpalonych do czerwoności kosmicznych kamieni. Straszna śmierć. I niezwykła. Tak niecodzienna, że uznana za rodzaj szczególnej kary za grzechy, jakby sam Bóg się rozgniewał. Nieczystość? Kilka chwil obłapianek na sianie. Ciekawe, swoją drogą, że na mężczyzn, którzy tę nieczystość na dziewczyny sprowadzili, jakoś nic z nieba nie spadło. Westchnęła. Meteoryty... Mistrz Sędziwój wspominał, że obecnie kolekcjonerzy dają za nie niezły grosz.

Przyjrzała się śladom liter i plamom. Co to za słowo. *Zakopali na...* Tu znowu rozmyte.

- A jeśli? - powiedziała na głos. - Jeśli moi przesądni przodkowie pozbięrali wszystkie kawałki innej planety i pogrzebali w jednym miejscu?

Zginęły dwie kobiety. Zatem spaść musiało co najmniej kilka sztuk, a kto wie, może i kilkadziesiąt albo kilkaset! Dla kolekcjonerów to skarb o niewyobrażalnej wartości, a i naukowcy będą wniebowzięci. Można by obdarować kilka muzeów, resztę sprzedać, pieniądze wpompować w majątek... Trzeba odczytać te zapiski, wydedukować miejsce ukrycia, potem jechać na Ukrainę, wykopać, przemycić...

Nie. Zaraz. Zapiski wykonał jej pradziad. Tymczasem Kruszewice Nowe założył jego młodszy syn, a jej dziadek. Urodziła się tam jakieś trzydzieści lat po założeniu osady... A zatem meteoryty spoczywają gdzieś tutaj. Zerwała się na równe nogi i nie mogąc usiedzieć z podniecenia, zaczęła chodzić po pokoju. Zakłęła pod nosem. Jak je odnaleźć? Sędziwój lubił się bawić, dotykając kamieni z kosmosu magnesikiem na nitce. Jeśli magnes je bierze, to przecież... To znaczy, że i wykrywacz metali powinien sygnalizować ich obecność w ziemi!

W szafie jej kuzynka zgromadziła imponującą kolekcję dziwnego sprzętu, widać potrzebnego w pracy agenta CBS lub zgromadzonego na wszelki wypadek. No i jest. Kartonowe pudło, na nim napisy *metaldetektor* i coś tam jeszcze. Odłożyła sprzęt na miejsce i wróciła do studiowania zapisków. Minuta po minucie, kwadrans po kwadransie. Tak, na pewno zakopali. Tylko gdzie? I nagle wpadł jej do głowy pomysł. Podświetlana rysownica. Położyła na niej zetłaty papier. Nic z tego, tekst napisany na odwrocie skutecznie zamazuje cały obraz. *Pod kr....m...*

Jasne! Meteoryty zakopali na wzgórzu pod krzyżem! Zakopali kamienie z nieba, żeby nie ściągnęły jakiegoś nieszczęścia, kto wie, może wbili w to miejsce osikowy kołek, a potem... A potem postawili krzyż. Żeby czasem nie uciekły. Dobrze chociaż, że nie spalili ich na stosie. Zatarła dłonie i wydobyla z pudełka wykrywacz.

Do diaska! Zacisnęła usta. Przez ostatnie dziesięciolecia poznała wiele nowinek technicznych, ale epoka elektryczności to zaledwie czwarta część jej życia. Trudno. Zdołała opanować posługiwanie się laptopem, to i z tym urządzeniem sobie poradzi. Po pierwsze, wyrzucamy instrukcję, w uszach alchemiczki zabrzmiał kpiący głos młodego stolarza, który montował jej drzwi antywłamaniowe. Nie mogła zastosować się do tej rady, bo w walizeczce instrukcji nie znalazła. Wyjęła rurki i obejrzała je uważnie. Tak się montuje, tak się łączy. To jest talerz, którym się suwa po ziemi, ten kabelek trzeba wetknąć w gniazdo, tu jest wejście na słuchawki. Pozostaje problem, jak uruchomić? Zapewne czerwonym guzikiem. Nie. A może pokrętłem od głośności? Bingo. No proszę, amerykański sprzęt, a uruchamia się jak ruskie radio... Nagły pisk w słuchawkach był tak donośny, że zobaczyła świece w oczach. No jasne, strojenie! Pokręciła i dźwięk ścichł. Dobra, zobaczmy, jak to działa. Machnęła cewką w stronę świecznika i zabrzmiało uroczyste buczenie. Świetnie.

Obejrzała wyświetlacz. Jakies programy działania, rozpoznawanie metali, to jej chyba niepotrzebne. Podłoga. U, ależ wyje. Dlaczego? Ach, jasne, boczne bloczki fundamentu spojone są metalem. Przeszła pod wewnętrzną ścianę. Machnęła nad deskami. Gwoździe zaśpiewały cienko w słuchawkach. Czyli jest gotowa!

Zabrała saperkę i woreczek. Wspięła się na wzgórze. Na szczęście trawa, która je porastała, była niska. Rzejrzała się. Ukraińcy, zmęczeni robotą, pichcili sobie coś na grillu. Dawni mieszkańcy PGR-u najwidoczniej siedzieli w swoich barakach. Nikt nie zobaczy, co ona robi. I dobrze. Jeśli się nie uda od razu, lepiej, żeby nikt nie grzebał tu na własną rękę.

Zlokalizowała z grubsza miejsce, gdzie kiedyś stał krzyż. Zanotowała w pamięci, że trzeba będzie postawić nowy. Uruchomiła sprzęt i machnęła nad ziemią. Zapikalo niemal natychmiast. Grzebnięła saperką i wyciągnęła na powierzchnię zardzewiały kapsel od piwa. Pół godziny później ze złością spoglądała na stosik przeżartych korozją gwoździ, kapsli, puszek, na kawałki brony i dwumetrowej długości kłęb łańcucha.

Otarła pot z czoła. Połowa wierzchołka przeszukana, pora na drugą. Machnęła cewką i nieoczekiwanie usłyszała ciche piski. Na meteoryty, zwłaszcza leżące w większej ilości, raczej to nie wyglądało, ale odłożyła detektor i zaczęła rozgarniać saperką ziemię. Resztki wieczka niedużej skrzynki, blachę i drewno rozdarło kilka silnych uderzeń czymś ostrym. Motyka? Obkopała znalezisko, wydobyła z ziemi. Drewno rozlażyło się w palcach, ale po resztkach kłódki poznała, że to stary, naprawdę stary wyrób.

O co chodzi? Wsadzili meteoryty do pudełka i zakopali tutaj, a potem ktoś rozbił wieko i je wyciągnął? Na to wygląda. Wysypała lessowy pył ze skrzynki i przeryła go palcami. Nic. Pokręciła głową z wahaniem. Nie, nie bardzo jej to pasuje. Meteoryty, leżąc w tak wilgotnym miejscu, zaczęłyby rdzewieć, ślady korozji powinny być widoczne w piasku. Chyba że to były te całkowicie kamienne... Poza tym skrzynka jest raczej za mała.

Z drugiej strony, niekoniecznie. Spadający z kosmosu kamień wielkości orzecha może zabić człowieka... Ruszyła w stronę dworu, dźwigając artefakt pod pachą.

Nagle przystanęła i tylko dlatego, że miała zajęte ręce, nie palnęła się z rozmachem w czoło. Wszystko jasne... Zapomniała własnego języka. Idiotka. W czasach jej młodości, a potem jeszcze przez dobre dwieście lat, meteorami nazywano włóczęgów, ludzi luźnych, czasem wędrownych rzemieślników, tych, którzy przychodzili i odchodzili bez śladu... A zatem przylazł taki, pozbawił cnoty dwie dziewczyny i zniknął. A one albo zabiły swoje dzieci, albo popełniły samobójstwo, nie mogąc znieść hańby. I widać pochowano je właśnie tutaj. No, ładnie się zachowuje, omal nie naruszyła spokoju zmarłych...

Wróciła do dworu.

- I jak tam skarby? - zagadnął cieśla, widząc wykrywacz i ubłoconą saperkę w jej dłoni.

- Jakie tam skarby... - Pokazała mu resztki skrzyneczki. - Tylko sobie apetytu narobiłam.

Nieoczekiwanie gdzieś daleko za lasem w powietrze wzbił się kłęb czarnego dymu. Stanisława widziała w życiu nieskończenie wiele pożarów, więc natychmiast odgadła, że to coś poważnego. Ihor czyszczący statuuę spirytusem technicznym przerwał swoje zajęcie.

- Pięć do sześciu kilometrów - ocenił. - Raczej nieduży budynek.

- Ależ ten dym wali...

- Bardzo szybko wzbił się i zgęstniał - rozważał - Ogień musiał rozprzestrzeniać się błyskawicznie. Jak myślisz, celowe podpalenie?

- Na to wygląda. - Kiwnęła głową. - Cóż, lud po wsiach mamy może z punktu widzenia miastowych ciemny, ale poczucie sprawiedliwości ma dobrze rozwinięte... Zebrała się cała wieś i wykurzyła czarną owcę.

- Skąd wiesz, że to wyrok, a nie sąsiedzkie porachunki? - Popatrzył zaciekawiony.

- Bo przy sąsiedzkich porachunkach ogień podkłada się nocą, a nie w biały dzień.

- No tak. - Przyznał jej rację i wrócił do swojego zajęcia.

Wyłowila z kieszeni telefon i rzuciła okiem na wyświetlacz. Katarzyna nie dała znaku życia. Widać na razie nic się nie udało ustalić...

* * *

Monika zapięła pasy i zapadła w wygodne siedzenie. Zmęczenie ogarniało ją coraz bardziej. Sama nie zauważyła, kiedy zasnęła. Rozbudziła się, gdy jechały już przez Kraków. Agentka zaparkowała opodal dworca. Siedziba Bractwa wyglądała niemal tak jak w chwili, gdy Katarzyna była tu po raz ostatni. Mur, nad nim gałęzie kilku drzew...

- Rzucimy sobie okiem - mruknęła, repetując pistolet.

- Jasne. - Monika uśmiechnęła się olśniewająco.

Weszły w uliczkę i tu spotkała je pierwsza niespodzianka. Metalowa furka została starannie zamurowana.

- Choroba - wycedziła Katarzyna. - Coś mi się wydaje...

- Obejdziemy od drugiej strony? - zaproponowała księżniczka.

- Tu było jedyne wejście. Trzeba poszukać miejsca, gdzie najłatwiej będzie przeskoczyć.

- Mur ma ze trzy, najwyżej cztery metry wysokości. Jeśli mnie podsadzisz...

- Dawaj.

Staneła pod ścianą i oparła się o nią rękami. Przyjaciółka bez problemu wspięła jej się na ramiona i podciągnawszy, wyrzuciła na drugą stronę. Z jej ust wyrwało się jakieś słowo w obcym języku. Katarzyna po intonacji domyśliła się, że to przekleństwo.

- Co widzisz?

- Za rogiem jest brama! - Zeskoczyła na ziemię.

- Jak to? Niemożliwe!

Poszły wzdłuż muru. Agentce wyrwało się ciche gwizdnięcie. Przez ostatnie miesiące odwalono tu masę pracy. Wybito szeroki wjazd od strony ruchliwej ulicy. Miejsce, gdzie dawniej rósł trawnik, wybrukowano, parkowało tu kilka półciężarówek. Dawny budynek Bractwa zburzono i na jego miejscu postawiono halę. Obok robotnicy montowali z płyt jeszcze jakieś baraki.

- Jakaś hurtownia czy magazyn - mruknęła Katarzyna. - W każdym razie coś, co działa zupełnie legalnie... Jakby przysł zły czar. Ciekawe tylko, czy przypadkiem nie prowadzą jej członkowie tej bandy.

- Wrócimy tu w nocy i rozejrzemy się? A może naślemy na nich kogoś?

- Tylko pod jakim pretekstem?

- Rozpracowałeś kolesia, który hodował wirusy czarnej ospy. Rzuć informację, że to jego wspólnicy.

Przecież wywiad wojskowy rozbierze tę budę cegła po cegle...

- Tylko co będzie, jak nic nie znajdą?

- Powiesz, że się pomyliłaś?

- To nie takie proste. - Katarzyna pokręciła głową. - Tych służb nie należy używać do własnych celów bo mogą stać się bardzo niemili... Poza tym, nawet jeśli ci hurtownicy mają coś wspólnego z Bractwem, to wątpię, żeby trzymali Alchemika tutaj.

Pojechały do domu.

Katarzyna uchyliła okno, by do rozgrzanego upałem wnętrza dostało się trochę świeżego powietrza. Następnie wolno i metodycznie zlustrowała wszystkie kąty.

- Po co to robisz? - zainteresowała się Monika.

- Szukam jakiegoś śladu. Mało prawdopodobne, żeby porwali go z mieszkania, ale gdyby na przykład w ostatniej chwili zmienił plany... Nic z tego. Spakował walizkę, koszulę, krawat i pojechał...

- Bilety i paszport też zabrał. - Księżniczka wskazała puste miejsce na półce. - Gdyby chciał zniknąć bez śladu, zostawiłby pewnie jakiś list.

- Zniknąć?

- Alchemik, gdy czuje zbliżającą się śmierć, ulatnia się i umiera gdzieś, gdzie nikt go nie zna. Chodzi o stworzenie nowych legend, podsumowujących jakby jego życie. To taki obyczaj, i dzięki temu nie znamy grobów większości z nich.

- Ciekawe.

- Ale na ile go znam, to przyszedłby i powiedział, że pora mu ruszać w drogę i że spotkamy się ponownie za pięćdziesiąt lat... Sama nie wiem. No i pewnie tego by nie zostawił...

Wskazała szablę i króciąc leżące na stoliku pod lustrem. Milczały jakiś czas.

- No cóż - powiedziała wreszcie Katarzyna. - Jeśli założymy, że dorwali go ludzie z Bractwa Drugiej Drogi, pozostaje odnaleźć ich i zrobić porządek.

-Tylko jak?

- Najpierw musimy się zastanowić, co o nich wiemy... Potem wysledzić, dokąd przenieśli swoją kwaterę. Następnie opracować plan ataku. Mieli swoją zakamuflowaną siedzibę, nieujętą w żadnych dokumentach służb miejskich. Trudno jednak przypuścić, by mieszkali tam jak w klasztorze.

- A ja sądziłam...

- Taki budynek był im potrzebny jako miejsce zbrodniczych eksperymentów. Moja teoria jest taka: żyją wśród nas. Mają normalne dokumenty, dla lepszego kamuflażu gdzieś pracują. Tylko raz w tygodniu spotykają się, zakładają płaszcze z kapturami i spuszczają z kogoś krew, żeby robić złoto.

- Myślę, że możesz mieć rację - odparła księżniczka. - Zaraz, mistrz wspominał, że jeden z tych dupków pracował w kuratorium.

- Tylko że on nam dużo nie powie. Zastrzeliłam go - Ale cóż, sprawdźmy, co uda się wygrzebać. - Uruchomiła komputer.

Monika w zadumie wyciągnęła szablę z pochwy. Podziwiała prątki jasnej i ciemnej stali. Nawet jeśli nie zdołają odnaleźć mistrza, pozostanie po nim ta zdumiewająca broń...

Aby rozwikłać dowolną sprawę, niezbędny jest dobry punkt zaczepienia. A więc po kolei. Starcie w zaułku miało miejsce jeszcze przed świętami. Pytanie, czy ranni trafili do któregoś z krakowskich szpitali? Czy ktoś zmarł w wyniku odniesionych ran?

Logowanie do sieci CBS okazało się niemożliwe. Uszczelnili dziury. Ba, znaleźli nawet zostawione przez nią furtki w zabezpieczeniach. Trzeba zatem jakoś to obejść... Informacja o przyjęciach do szpitali? Weszła do sieci NFZ. Pudło. Zabezpieczone hasłem. Uruchomiła dwa programy łamiące kody i udało się. Długie listy nazwisk pacjentów. A obok kolumny z cyframi oznaczającymi poszczególne przypadłości. Wykazu skrótów nie znalazła.

A więc ustalenie, kto z pacjentów miał rany cięte zadane bronią białą, odpada.

Dane policyjne? Nie, tu nie zdoła się włamać... A kuratorium? Zabezpieczenia mieli marne... Znalazła nazwiska wizytatorów, tych obecnych i ekipy sprzed roku. Zestawienie dwu kolumn pozwoliło jej ustalić personalia zastrzelonego przez nią człowieka. Raz jeszcze sieć policyjna... No proszę, figuruje w niej jako poszukiwany, zaginiony bez wieści. Czyli bracia sprzątnęli ciało... Danych niewiele. Lat trzydzieści osiem, kawaler. Żadnych informacji o rodzinie. Żadnego adresu.

Książka telefoniczna? Znalazła bazę danych telekomunikacji, włamała się bez większego trudu. Jest adres. Teraz hipoteka. Zakleła. Właścicielem mieszkania okazało się kuratorium. Ten trop się urwał. A hurtownia? Własność portugalskiej grupy kapitałowej Herberto. Tu chyba też nic nie działo. Wszystkie dokumenty wydają się być w porządku. A od kogo to kupili? Agencja Mienia Wojskowego. Znowu trop wiedzie donikąd. Spojrzała na zegarek. Trzecia w nocy. Pora iść spać...

Spojrzała w ciemne okno. Niechciane łzy zapiekły pod powiekami. Gdzie jesteś, mistrzu? Poczowała lęk i bezsilność. Oparła ręce na parapecie. Jej dłoń zacisnęła się odruchowo na czymś dziwnym. Spojrzała, to księżniczka odłożyła tu sztylet. I naraz poczuła, jak odzywa się w niej krew Kruszewskich. Rozpacz w jednej chwili przerosła się w straszliwą, zimną determinację. Odnajdzie Alchemika. A jeśli już nie żyje, pomści go.

* * *

Agentka obudziła się po niecałych czterech godzinach zupełnie przytomna. Monika też już wstała. Zdążyła pójść do sklepu, a teraz krzątała się po kuchni, robiąc śniadanie. Katarzyna umyła się i stanęła przed lustrem, by rozczesać włosy. Ujęła w dłoń króciwą Alchemika. Potworna broń. Z czegoś takiego ludzie się zabijali? Kaliber lufy budzi respekt.

- Cholera - mruknęła.

- Chcesz się nauczyć, jak z tego strzelać? - Księżniczka odwróciła się na dźwięk odciąganej kurki.

- Pewnie - ucieszyła się agentka. - Dawno już chciałam poprosić Sędziwoja. Zastanawiałam się, kto mógłby, a przecież ty...

- Jasne, że potrafię - uśmiechnęła się Monika. - To zresztą proste. Trzeba tylko znaleźć jakieś zaciszne miejsce.

- W drogę.

- Nie będziesz...? - Gestem wskazała komputer.

- Na razie nie znalazłam nic i kolejne godziny gapienia się w monitor tego nie zmienią - wyjaśniła agentka. - Muszę się oderwać, potem jeszcze raz wszystko przemyśleć, może wpadnie mi do głowy jakiś dobry pomysł.

Godzinkę później, po śniadaniu, wskoczyły w samochód i pojechały. Za łąkami stadniny był spory kawał nieużytków.

- Zaczniemy może bez kuli - zaproponowała Monika. - Żebyś się trochę oswoiła.

- Trenowałam sporo na strzelnicy - uspokoiła ją Katarzyna. - Dubeltówkę też miałam w ręce.

- To trochę co innego. - Kolorowe oczy jej przyjaciółki załśniły figlarnie. - Kaliber siedemnaście milimetrów. Zresztą, zobaczysz.

Wyjęła z kieszeni prochownicę i miarkę. Wsypała do lufy pierwszą porcję.

- Teraz przybitka. - Wrzuciła kulkę papieru i ubiła starannie.

Sprawdziła, czy kawałek krzemienia dobrze siedzi.

- Gotowe. - Podała broń agentce. Katarzyna odciągnęła kurek, wycelowała...

- Nie tak! - Księżniczka ostrzegawczo podniosła rękę. - Odrzut jest spory, poderwie broń i rozbijesz sobie czoło.

- Co?

Pokazała, w jakiej pozycji stanąć i jak złapać króciwą.

- Teraz możesz walić. - Uśmiechnęła się. Kruszevska spokojnym ruchem pociągnęła za spust.

Proch syknął na panewce i... Odrzut faktycznie był straszliwy. Huk wstrząsnął powietrzem, konie na odległej łące poderwały się spłoszone. Chmura prochowego dymu otuliła je jak mgła.

- O, ja cię kręcę - westchnęła. - Ale gruchnęło.

- To była połowa miarki - poinformowała ją wampirzyca. - Próbujemy z kulą?

Katarzyna zawahała się tylko przez moment.

- Tak.

Tym razem wszystko zrobiła sama. Proch, przybitka, kula wielka jak przepiórcze jajo, druga przybitka... No i jeszcze trzeba znaleźć odpowiedni cel. Na przykład kawał starego podkładu kolejowego.

Tym razem rąbnęło naprawdę potwornie. Dłoń agentki poderwało w górę, ale zdołała utrzymać kolbę. Ba, nawet trafiła! Podeszła i dłuższą chwilę kontemplowała dziurę w drewnie.

- Wygląda niemal jak dziupla sowy - powiedziała z uznaniem.

- Niczego sobie pukawka - przyznała Monika, grzebiąc palcem w uchu. - Ale jeśli chcesz jeszcze potrenować, to skoczmy do sklepu budowlanego po takie słuchawki, jakie noszą operatorzy młota pneumatycznego.

Jej przyjaciółka popatrzyła na zegarek i pokręciła głową.

- Wracamy do domu. Już i tak zmarnowałyśmy za dużo czasu...

Dziewiąta rano, pora brać się do roboty. Monika siedziała w fotelu, spoglądając spod oka na agentkę grzebiącą w sieci. Westchnęła cichutko. Internet to ciekawa zabawka, ale jeszcze mocno niedopracowana... Katarzyna jest jak mała dziewczynka zafascynowana nową lalką. Gdy lalce naciśnie się na brzuch, mówi „mama” a agentka naciska i coraz bardziej złości się, że nie jest w stanie wydusić z zabawki słowa „tata”...

Księżniczka przypominała sobie pierwsze żarówki, szklane bańki Josepha Wilsona Swana, zaopatrzone w rozpięte między elektrodami włókno bambusowe. I te lepsze, Jabłoczkowa, w których trzeba było podgrzać zapalką drucik żarowy, i dopiero gdy się odpowiednio rozpalili, puścić prąd... Wydawało się, że to ogromny przełom, ale już kilka lat później w USA uruchomiono masową produkcję tych najlepszych, ukradzionych Szczepanikowi. A Internet? Od jego powstania do dzisiaj upłynęło tyle czasu, co od Swana do Jabłoczkowa. Edison globalnej sieci dopiero nadejdzie... Ale póki go nie ma, trudno oczekiwać, że komputer odpowie na pytania, bo odpowiedzi jeszcze nie zna. A zatem trzeba brać się do roboty. Po swojemu.

- Wróć za jakąś godzinkę - powiedziała, wstając.

- Tak, tak - mruknęła Katarzyna, uruchamiając kolejny program dekodujący.

Okna mieszkania wychodzą na Planty, ale klatka schodowa jest od tyłu. A po drugiej stronie uliczki stoi stara, dawno nieremontowana czynszówka. Brudne okna, oblażająca z tynku elewacja, zabazgrane sprayem ściany. I świetnie, o to właśnie chodzi. A właściwie nawet nie o sam budynek, tylko o trzech kolesiów w dresach, całe dni stojących w bramie. Monika popatrzyła zza węgła. Sterczą na posterunku. Przeciągnęła się, uśmiechnęła do swoich myśli.

Człowiek niedaleko odszedł od swoich zwierzęcych przodków. Cywilizacja przytępiła nieco jego zmysły ale wystarcza drobny regres, by wydobyć z podświadomości dawno zapomniane wzorce zachowań stadnych. Na przykład ci trzej. Posiadają silny instynkt terytorialny - siedzą w swojej bramie. Niechętnie ją opuszczają, tylko głód alkoholowy zmusza ich do polowania na jeleni. W obcym terenie poruszają się wyłącznie całą watahą, atakują też stadem. Podobnie jak pawiany, dobrze czują się, gdy mają przewagę trzy do jednego. Swoją bramę traktują jak posterunek przed jaskinią - rozdziela światy: bezpieczne schronienie i świat zewnętrzny, pełen niebezpieczeństw. Reszta mieszkańców kamienicy to frajerzy, ale swojaki, a swojaków się nie rusza. I biada obcemu, który chciałby to zrobić... Brama to także miejsce, gdzie załatwia się interesy. Tu przychodzą klienci. Rodzaj zajęcia tych trzech można łatwo wydedukować z walających się w okolicy małych, plastikowych torebek i kawałków sreberka.

Ponieważ otoczenie może być groźne, kolesie z bramy mają oczy szeroko otwarte, bez przerwy lustrują okolicę. A zatem prawdopodobnie widzieli porwanie Alchemika. Wystarczy zmusić ich do mówienia.

Monika tanecznym krokiem przeszła przez ulicę i wkroczyła na wrogie terytorium. Trzy małpie mordy odwróciły się jak na komendę w jej stronę. Zlustrowała cofnięte czółka, mocno zarysowane wały nadoczodołowe, szerokie bary i cielska rozdęte od sterydów. Westchnęła w duchu. Trochę mało tych cech recesywnych. Szkoda - w tym akurat przypadku przydałoby się więcej cech atawistycznych.

Teraz najtrudniejsza część operacji. Trzeba wbić tym zwierzączkom do ogolonych łbów, kto jest ich panem. Ciężka sprawa. Kopnęła pierwszego lekko, jakby od niechcenia, w żołądek. Wybałuszył gały i poleciał ze dwa metry do tyłu. Dwaj pozostali ruszyli na nią jak w zwolnionym filmie. Mimo zaskoczenia zareagowali prawidłowo, jeden atakuje z lewej, drugi z prawej. Doskoczyła do tego niższego, złapała za kłapy dresiku i spodnie w okolicach krocza, ścisnęła, oderwała od ziemi, zakręciła nad głową i użyła jako pocisku przeciw jego kompanowi. Dwa cielska osunęły się powolutku po ścianie.

Należałoby ustalić hierarchię tego stada. Nie ma sensu się rozdrabniać i tłumaczyć każdemu po kolei, co ma robić. Lepiej dorwać wodza, wykończyć i zająć jego miejsce. Który jest tu szefem? Zapewne ten najbardziej wytatuowany. Podeszła spokojnym, równym krokiem. Domniemany samiec alfa właśnie podnosił się na czworaka. Złapała za pasek i kołnierz, rozpędziła się, by rozwalić mu łeb o ścianę i... w ostatniej chwili zmieniła kierunek biegu. Przyładowała jego łysym łbem w deski bramy. Huk, jakby piorun gdzieś uderzył. Wiadomo: to puste i to puste. Oklapł zupełnie. Ale będzie żył. Upuściła go na zaszczany bruk. I nagle jakby się ocknęła. Co ona wyrabia, u licha? Po jaką cholere zabijać tego śmiecia?! Po co maltretować miejscowych „strażników”? Znow ją poniosło, jak wtedy, na dyskotece.

No cóż, za późno. Narozrabiała. Ale za to chłopcy w dresach patrzą na nią z szacunkiem...

- Dobra. - Uśmiechnęła się do nich słodko. - Pora pogadać.

- Yyy - wykrztusił ten kopnięty.

- Stul dziób - warknęła. - Nie odzywać się bez zezwolenia. Odpowiadać tylko i wyłącznie na pytania.

Pokiwali energicznie łysymi pałami. Szybko załapali, o co chodzi. Są przyzwyczajeni, że świat dzieli się na tych, którzy rozkazują, i tych, którzy słuchają. Wystarczy uświadomić im, że w tym konkretnym przypadku to oni mają wykonywać polecenia.

- No, śmierdziele, co to za porządki, że w waszej dzielnicy byle kto może fikać do waszych sąsiadów? - syknęła.

- Własnej ulicy, gnoje, upilnować nie potraficie?

Na gębach dresiarzy odmalowało się zaniepokojenie. Słowa dziewczyny poruszyły wrażliwą część ich zwierzęcych umysłów. Coś przeoczyli? Co, do cholery?

- Kojarzycie gościa, który z nami mieszkał? - Przewierciła ich wzrokiem.

Była pewna, że jej przyjaciółki i Alchemik dawno zostali przez nich zidentyfikowani jako mieszkańcy domu naprzeciwko. Strefa wczesnego ostrzegania musi być dość szeroka.

- Ten profesor z brodą. - Szef wołał się upewnić. - Taki kawał prawdziwego faceta...

- Tak.

- No ba! - To miała być chyba odpowiedź na pytanie.

- Szukam leszczy, którzy go zwinęli - warknęła. - Na waszych oczach, spod mojej klatki.

- Że co? - zdziwił się szef. - Zara... My tu na moment do jednej babci, co w oknie siedzi, skonsultować obserwacje...

Pognali po schodach. Wrócili równo po trzech minutach.

- Kilka dni temu wyszedł z walizką i wsiadł do fałszywej taksówki - zaraportował wytatuowany. - Taryfa miała koguta na dachu, ale tylko od jednej strony znak korporacji.

- Numer rejestracyjny? - huknęła.

- Eee... - wykrztusił. - Tego to się nie zapamięta.

- Kolor, marka wozu?

- Czerwony volkswagen!

Podziękowała za informacje i ruszyła do domu. Zreferowała pokrótce zdobyte dane.

- Czerwony volkswagen? - mruknęła Katarzyna. - Ciekawe.

I znowu siadła do komputera. Minęła godzina, potem druga. Monika nudziła się jak mops. Ech, gdyby był tu Laszlo... Pomógłby w poszukiwaniach, a przynajmniej byłoby z kim pogadać. Choć nie, pogadać lepiej z Pawłem.

- To beznadziejne - westchnęła agentka, patrząc tępo w fusy na dnie szklanki, jakby tam szukała rozwiązania. - Jeśli nawet mistrz jeszcze żyje, i tak nie zdołamy go odnaleźć. Bazy danych o zarejestrowanych samochodach chyba w ogóle są odcięte od ogólnej sieci... Nie znalazłam nawet dojścia.

- Jak zdołali go namierzyć? Wiedzą, gdzie mieszkamy? - Księżniczka zastanawiała się na głos.

- Musieli podsłuchać jego telefon komórkowy - wyjaśniła. - To banalnie proste. Wezwał taksówkę, podając numer domu... Musieli być na to przygotowani i zaraz podstawili swoją. Myślę, że nie wiedzą, z którego mieszkania wyszedł, bo włamaliby się, żeby pogrzebać w jego rzeczach.

- A może się włamali?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. Mieszkanie jest chronione trzema niezależnymi systemami kontroli. Każde przekręcenie klucza w zamku uruchamia zapis obrazu z mikrokamery. Ale musimy uważać.

- Na taksówkę czeka się nie więcej niż dziesięć minut. Jeśli zdołali w tak krótkim czasie zorganizować porwanie...

- Też już nad tym myślałam. Sądzę, że podsłuchiwali go już od jakiegoś czasu. Zadzwoił na lotnisko rezerwować bilety, poznali datę odlotu, a potem już tylko czekali...

Monika pokręciła głową. W ustach przyjaciółki to, co jej wydało się czarną magią, okazywało się takie proste...

- Wiesz, tak sobie myślę... - powiedziała. - Skoro przy użyciu tradycyjnej dedukcji i analizy nic nie udało się ustalić, to może pora użyć metod niekonwencjonalnych?

- Co masz na myśli?

- Gdyby był z nami Arminius... - Zamyśliła się. - To telepata, choć z tego, co wiem, stosował swoje zdolności wyłącznie do szukania wampirów.

- Telepatia? Mamy iść do wróżki? Albo do jasnowidza?

- Większość z nich jest diabła warta - parsknęła księżniczka. - Ale może...? Żeby mnie odnaleźć, użyto golema. A gdybyśmy zbudowały własnego i wysłały, aby uwolnił mistrza...?

Agentka wzdygnęła się na samo wspomnienie.

- Ale jak mu powiemy, gdzie ma szukać Alchemika jeśli same tego nie wiemy?

- Nie musimy wiedzieć. Golem to jakby inteligentna maszyna. Bystry sługa. Wydajemy tylko rozkaz, a on go wykonuje. Nas interesuje wyłącznie efekt końcowy i on o tym wie. Musi wypełnić polecenie i nieważne, jak tego dokona.

- Hmm... - zadumała się agentka. - Wybacz głupie pytanie. Budowałeś kiedyś golemy?

- Nie. Ale mistrz Michał wspominał, że jest to dziecinnie łatwe. Trzeba tylko znać zaklęcie, które je ożywia.

- To faktycznie proste - rzekła ironicznie Katarzyna. - W tym celu musimy zapewne odnaleźć jednego z... eee, ilu miało być tych sprawiedliwych świątobliwych żydów w każdym pokoleniu?

- Trzydziestu sześciu - odpowiedziała Monika. - Ale to chyba nie oni go tworzą. Choć zapewne niektórzy umięją.

- A więc z tych trzydziestu sześciu mamy wybrać jednego i... Zaraz. - Zmarszczyła brwi. - Znasz hebrajski?

- Trochę.

- Jak myślisz, czy w bibliotece cadyka Salomona Storma znajdzie się, jakby to powiedzieć, „podręcznik budowy golemów”? Bo skoro wiemy, gdzie biblioteka została ukryta...

Monika zamyśliła się.

- Może i mają tam takie książki. Problem w tym, czy pozwolą nam skorzystać. To nie jest księgozbiór publiczny, tam nie wystarczy wejść, pokazać dowód osobisty i wypisać rewers, żeby zostać obsłużonym.

- Sędziwojowi się udało - mruknęła Katarzyna.

- Ale on posiada znajomości, których my nigdy mieć nie będziemy.

- Spróbujemy? Przecież nas za to nie zabiją.

- No nie wiem... Nie zapominaj, że biblioteki pilnuje jeden z nich. Automat, stwór ulepiony z gliny, obdarzony pozorami życia. Istota pozbawiona duszy, woli i empatii. Każą mu zabić, to zabije. Nawet nie będzie się nad tym zastanawiał.

Agentka wyciągnęła z torebki pistolet i przeładowała.

- Jeśli zaatakuję, to strzelać w zgrubienie na prawej łydce?

- Można. Wtedy się wykrwawi. Ale zanim do tego dojdzie, minie dość czasu, żeby zdążyć po pierwsze, pourywać nam głowy, a po drugie, opatrzeć sobie ranę.

- Do licha. Myślałam, że to jak z Achillesem, wystarczy raz dziabnąć i już... - Zasepiła się. - Idziemy czy nie?

- Chyba trzeba.

Gdy wędrowały już ulicą, Katarzynie przyszła do głowy pewna myśl:

- Wiesz, tak się zastanawiam. Może nie trzeba od razu budować całego golema? Może wystarczy zrobić sobie pieska z gliny? I ożywić. Weźmiemy go na smycz i niech nas doprowadzi do celu.

- Ty to masz pomysły - zdumiała się księżniczka. - Ale zapytamy, czy tak się da. Nie wiem. Może musi mieć kształt człowieka? Jak do tej pory wszystkie legendy, ta z Lublina, z Chełma i ta z Pragi, mówiły o istotach człekokształtnych.

- W takim razie może uda nam się popchnąć naukę do przodu - uśmiechnęła się agentka. - O ile można to w ogóle nazwać nauką.

Podeszły do antykwariatu. Nie zmienił się, na wystawie nadal spoczywał starodruk, kilka innych książek oraz piękna, wielka kula armatnia.

- Boisz się? - Katarzyna przytrzymała Monikę za łokieć.

- Trochę. Zapytamy, jeśli się nie zgodzi, po prostu przeprosimy i idziemy.

- To brzmi rozsądnie.

Trzy schodki do góry, drzwi i... Spodziewały się, że za ladą będzie siedział znajomy staruszek, a tymczasem jego miejsce zajmowała jakaś dziewczyna, mniej więcej w wieku Katarzyny.

- Czym mogę służyć? - zagadnęła.

- Chciałybyśmy się zobaczyć z tym panem, który tu był poprzednio - powiedziała księżniczka. - Z takim starym, z bliźną na czole.

- A, to chyba wiem. - Sprzedawczyni zmarszczyła brwi. - Tylko że on już tu nie pracuje. Mój szef kupił ten antykwariat dwa miesiące temu. Ale może ja zdołam w czymś pomóc.

- Był tu bogaty księgozbiór na zapleczu. - Agentka gestem wskazała miejsce, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi prowadzące w głąb.

Obecnie zastawione były regałami.

- Mamy tylko to jedno pomieszczenie, wszystkie książki, które kupiliśmy razem ze sklepem, są wyeksponowane.

Pożegnały się.

- A niech to! - jęknęła Katarzyna, patrząc na kamienicę, którą dopiero co opuściły.

- Myślisz, że mówiła prawdę?

- Dlaczego nie? - Wzruszyła ramionami. - Żydzi zamurowali przejście, sprzedali antykwariat i po problemie. Nie wiem, kto jeszcze oprócz nas wie, że tam jest biblioteka. Ale może stwierdzili, że za dużo osób poznało tę tajemnicę? A tak odczekają, powiedzmy, dwadzieścia lat. Golem nie musi jeść, ba, nie musi nawet oddychać, może siedzieć tam zamurowany i pilnować książek.

- Jeśli biblioteka w ogóle jeszcze tam jest - mruknęła księżniczka. - A może po prostu przebili inne wejście?

- Sądzisz?

- Sprawdzimy?

Katarzyna patrzyła w zadumie na kwartał zabudowy.

- Dwie klatki schodowe. Wejście na obie z podwórza.

- Wszystkie bramy zamknięte na głucho i wyposażone w domofony - zauważyła Monika. - Może od strony ulicy Poselskiej?

- Nie wiemy, czy trafimy na właściwe podwórze. - Agentka rozłożyła wyciągnięty z torebki plan Starego Miasta i kontemplowała go przez chwilę. - A gdyby tak wejść przez kanalizację?

- Mamy się w ściekach pławić, a potem brudne jak świny wejść do biblioteki? - Wampirzyca spojrzała na nią zgorziona.

- Nie, system kanalizacyjny składa się z kilku elementów - tłumaczyła cierpliwie Katarzyna. - Kanały burzowe, odprowadzające nadmiar wody po deszczu, i ściekowe biegną oddzielnie...

- A, dość tego - burknęła księżniczka. Wskoczyła po trzech schodkach do antykwiariatu. Zaskoczona Kruszevska pobiegła za nią.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? - wyjąkała, patrząc, jak jej przyjaciółka pęta właśnie paskiem rozciągniętą na podłodze sprzedawczynię.

- Raton... - wykrztusiła dziewczyna i już była zakneblowana serwetą.

- Zgłupiałas? - Agentka zatrzasnęła odruchowo drzwi i przekręciła klucz w zamku. - Tak nie wolno!

- Alchemik gdzieś tam, być może, umiera, a ty się przejmujesz dobrym wychowaniem! - parsknęła. - No i w porządku. Nie zrobimy ci krzywdy - zwróciła się do ofiary. - Musimy tylko coś sprawdzić.

Leżąca mamrotała coś przez knebel.

- To na straty przestojowe. - Księżniczka rzuciła banknot stużłotowy obok kasy.

Odsunęła regał blokujący wejście do korytarza. Dalszą drogę zagroził im świeżo otynkowany mur. Monika sięgnęła na wystawę i ujęła w dłoń ciężką kulę armatnią. A potem szybko i z nadludzką siłą zaczęła walczyć z walec w ścianę. Zaprawa popękała, po paru minutach cegły zaczęły wypadać i ściana z łoskotem runęła w ciemność.

- Zgłupiałas! - wykrztusiła Kruszevska.

- Wiem - odwarknęła. Przeszły szybko korytarz.

- Jeśli golem tam siedzi, pourywa nam głowy - ostrzegła agentka, repetując pistolet.

- Żebym ja mu nie urwała! - Monika jednym kopniakiem wywalila solidne, okute żelaznymi płaskownikami drzwi. Weszła śmiało w ciemność i po chwili rozległo się pstryknięcie przełącznika. Agentka z bronią gotową do strzału postępowała za nią. Rozejrzała się wokoło i gwizdnęła przez zęby.

Regały były doskonale puste. Tam, gdzie wcześniej stały dziesiątki tysięcy starych woluminów, leżała tylko cieniutka jeszcze warstwa kurzu.

- O, jasna cholera. - Katarzyna rozejrzała się wokoło. - Biblioteka wyparowała...

- Raczej wyniesiono ją w skrzyniach. - Księżniczka przesunęła nogą zapomnianą w kącie drewnianą pakę.

- Ale gdzie jest strażnik?

Golem leżał na podeście schodów. Martwy, jeśli oczywiście można powiedzieć, że kiedykolwiek był naprawdę żywy. Pochyliły się nad ulepioną z gliny kukłą.

- Nie widać żadnych obrażeń - mruknęła Monika. - Zabił go prawdziwy fachowiec. Albo jego misja po prostu dobiegła końca. I co teraz? - Popatrzyła na przyjaciółkę bezradnie.

- Myślę, że trzeba po pierwsze, ustalić, kto to zrobił. - Wskazała puste półki. - Po drugie, dowiedzieć się, gdzie przeniesiono bibliotekę. Następnie dobrać się do księgozbioru i sprawdzić, jak zrobić sobie golema.

- Bardzo ambitnie - pochwaliła księżniczka. - Tylko jak? Masz jakiś trop?

- Zapytamy go.

- Jak?!

W oczach agentki błysnęło rozbawienie. Zadarła rękaw marynarki, odsłaniając wytoczone z gliny przedramię stwora.

- Uśmiercili go, wyskrobując ostatnią literę zaklęcia. - Pokazała ślad. - Dopiszemy ją. Gdy ożyje, powinien udzielić nam odpowiedzi...

- Świetny pomysł - prychnęła Monika. - Oczywiście wiesz, jaką literę dopisać?

- Z tego, co pamiętam, to *alef*. Tylko nie wiem, jak wygląda.

- Znam ten alfabet.

Ledwie księżniczka oderwała markera, glina nabrała kolorów, zamieniła się w żywe ciało. Starzec otworzył swoje dziwne, nieludzkie oczy i popatrzył na nie półprzytomnie.

- Kto mnie wyrywa z otchłani szeolu? - zapytał.

- To my, pamiętasz? Byłyśmy tu z Alchemikiem Sędziwojem - powiedziała Katarzyna.

Kiwnął głową na znak, że pamięta.

- Co tu się stało? - Zatoczyła ręką łuk, obejmując tym gestem całe pomieszczenie.

- Biblioteka uległa likwidacji - powiedział z namaszczeniem.

- A książki?

- Włączono je do innego księgozbioru. - Wzruszył ramionami. - Zresztą już wcześniej pozbawiono was prawa korzystania z czytelnicy. To nasze sprawy, nie dla gojów.

- Alchemik zaginął - odezwała się Monika. - Musimy go odszukać. Planowałyśmy zbudować golema i puścić go jego tropem.

Starzec pokręcił głową.

- Nie uda wam się. Nawet jeśli poznacie zaklęcia, które nas ożywiają.

- Dlaczego? - zdziwiła się Kruszevska.

- Kobieta nie może rozkazywać golemowi. Odchodzę, mój czas dobiegł końca.

Wyjął z kieszeni mały nożyk i jednym ruchem zdarł całą inskrypcję z ręki.

I znowu leżała przed nimi tylko kupka gliny.

- Cholera! - zaklęła agentka. - Trudno, wynosimy się stąd.

Monika nachyliła się i uwolniła sprzedawczynię.

- Macie teraz niezłe zaplecze - mruknęła. - Możecie je zagospodarować, nikt nie powinien się przyczepić...
Wyszła na ulicę. Ochłonęła w ciągu kilku minut i omal nie złapała się za głowę. Co ona, u diabła, wyrabia!?
Musi się opanować, ostatnio zbyt często pozwala się ponieść negatywnym emocjom...

* * *

Katarzyna, zmęczona poszukiwaniami, opadła ciężko w fotel.

- Mam dosyć - mruknęła. - Muszę wymyślić nowe kierunki natarcia.

- A ja bym się przeszła po mieście. Jakoś tak nudno siedzieć w czterech ścianach...

- Przecież dopiero co wróciliśmy? - zdziwiła się agentka. - Ale jasne, idź się przewietrzyć. Albo wdepnij sobie do kina, telewizji nie oglądasz, jeszcze nam zdziczysz.

- Uhum...

Monika wskoczyła w tramwaj, przejechała kilka przystanków. Zawróciła, wysiadła przy Plantach. Zamyśliła się. Nie bardzo wiedziała, dokąd ma iść. Ruszyła Floriańską, czuła dziwną potrzebę bycia między ludźmi. Przeszła przez Rynek, zajrzała archeologom do wykopów, podeszła pod Wawel, wspięła się na wzgórze i zeszła przez Smoczą Jamę. Pod murami zamku trwał festyn. Błaznana muzyczka dudniła z głośników, na roznach pieczono kielbaski. Strumieniami płynęło piwo.

I naraz poczuła, że z przyjemnością by się napiła. A tu figę. Spróbowała przy dwóch stoiskach, ale odprawili ją z kwitkiem jako nieletnią. Aż pokręciła głową ze zdumienia.

- Co ten naród się nagle taki praworządny zrobił? - westchnęła pod nosem.

- Kupię ci. - Natychmiast rozpoznała ten głos.

- Paweł? - Wyrzeszczyła oczy. - Skąd się tu wziąłeś?

- Mało się nie zanudziłem na śmierć, siedząc na wsi - wyjaśnił. - Wpadłem na pomysł, żeby się wyrwać na kilka dni do Krakowa. Spakowałem gotowe obrazy i przyjechałem.

- Miło od czasu do czasu spotkać dzentelmena. Po chwili wrócił z dwoma kuflami.

- Tu będziemy za bardzo na widoku. - Kiwnął nieznacznie w stronę przechadzających się opodal policjantów.

- Siądźmy na nabrzeżu - zaproponowała.

Usiedli na nagranych granitowych płytach. Upiła łyk piwa. Doskonałe, świeżutkie, prosto z browaru. Po Wiśle sunął statek wycieczkowy. Było jakoś tak sennie, ale przyjemnie.

- Zatańczymy? - zaproponował.

Dopiła kufel jednym haustem i pozwoliła, żeby pomógł jej wstać.

- Skąd wiesz, że umiem i lubię? - zapytała, gdy przeciskali się w stronę estrady.

- To widać - odpowiedział. - Masz w sobie wewnętrzny ogień, energię życiową płynącą jak wezbrany strumień.

Puściła do niego oko i uśmiechnęła się. Tańczył doskonale, dzielnie dotrzymywała mu kroku. Obserwowała go spod półprzymkniętych powiek. Przystojny, dobrze zbudowany, może tylko odrobinę zbyt szczupły. Twarz pociągła, oczy stalowoszare. Poruszał się z kocią gracją. Tańczyli do upadłego, prawie do dziewiątej wieczorem. Odprowadził ją do tramwaju. Szli i szli, księżniczce ze zmęczenia płątały się nogi.

- Spotkamy się jutro? - zagadnął.

- Nie wiem, czy będę się mogła wieczorem wyrwać, ale spróbuję. Może pod Empikiem na Rynku o osiemnastej? Skinął głową, akceptując propozycję. Nadjechał tramwaj. Student popatrzył w oczy Moniki. Szybko musnęła wargami jego policzki i wskoczyła do pojazdu.

Potknęła się na schodkach wagonu, omal nie wybiła sobie zębów. Za dużo piwa? Gdzie tam, wszystko przecież wypociła w tańcu. Zmęczona jest po prostu i tyle. Opadła ciężko na wolne siedzenie. Teraz dopiero poczuła prawdziwe znużenie. Tytanicznym wysiłkiem uniknęła zaśnięcia. Wdrapanie się po schodach na drugie piętro zapamiętała jak przez mgłę. Agentka drzemała na wersalce. Księżniczka wzięła szybki prysznic i powlokła się do łóżka. Uaaa... To był wyczerpujący dzień.

Sympatyczny facet - pomyślała. I jaki zabójczo przystojny. A jak tańczy! A ten dzikus, Laszlo, z pewnością nie umie. Bo i gdzie niby miałby się nauczyć? W szałasie na hali z owieczkami?

Zasnęła momentalnie, jakby runęła w czarną studnię.

Rozdział 6

Podczas gdy właścicielka dworu kładła się spać, w jednym z opuszczonych baraków trwało zebranie kolektywu pracowniczego. Wokół aparatury bimbrownicznej zebrali się wszyscy tubylcy i obserwując kapiące do blaszanego kubka krople, naradzali się gorączkowo.

- Musimy coś wymyślić, bo ta robota nas wykończy - powiedział Józwa, masując obolałe ramiona.
 - Tak, tak - mruknął Maciej. - Nie od dziś wiadomo, że wysiłek fizyczny wpływa upośledzająco na pracę mózgu.
 - Co? - zdziwił się Heniek.
 - Znaczy, od machania łopatą się głupiej - wyjaśniła Hanka. - Im więcej machasz, tym gorzej myślisz.
 - O, kuźwa, one chcą, żebyśmy głupi byli! - Młody poderwał się na równe nogi.
 - A coś ty myślał! - burknęła brygadzistka. - Wiadomo, że durniami łatwiej rządzić.
 - Nie pozwolę - jęknął.
 - Co racja, to racja - rzekł były sołtys. - Trzeba coś pomyśleć i znaleźć sposób, żeby się tych cholery pozbyć na dobre.
 - Drewno na dwór pewnikiem pierońsko kosztowało - zauważył Maciej. - Wykupiły też pegeer. To musi jeszcze drożej wyniosło.
 - Forsy mają jak lodu. - Hanka plunęła w palenisko.
 - Niekoniecznie. - Pokręcił głową. - Mają tylko jeden samochód, i to raczej byle jaki. Nawet telewizora sobie nie kupiły, że o antenie satelitarnej nie wspomnę.
 - I plastikowych krasnali w ogrodzie nie mają! - wykrzyknął sołtys. - Znaczy, z forszą u nich faktycznie krucho... Dobrze tak zołzom. Tylko co z tego? - zafrasował się.
 - Ano to, że gdyby im się tak dwór spalił, to już go nie odbudują, bo nie będą miały za co. - W oczach starego zabłysły ogniki. - Tak to trzeba robić. Wygnać dziedzica, spalić dwór, a w pogorzelsko osikowy kołek wbić. Wtedy nie wróca.
 - Czerwonego kura im, znaczy, zapuścimy. - Oczy Hanki zabłysły złowrogo. - Ty to masz jednak łeb jak szafa - rzuciła z uznaniem.
 - No, nie sam to wymyśliłem. - Uśmiechnął się skromnie. - Słyszałem, że w Mońkach Górnych jakiemuś malarzowemu chałupę spalili.
 - O - zdziwiła się Hanka. - A za co?
 - Jakąś dziouchę, zdaje się, wziął do łóżka i pewnikiem do miasta sobie zabrał, bo jej chłopak nigdzie ich nie może znaleźć. To i podpalił. Sprawiedliwie, po naszymu... - Maciej pokiwał głową zachwycony wymierzoną karą. - Tedy pomyślałem, że i my możemy tak samo, a jakby co, to gliny będą jednego podpalacza szukać i jak tamtego złapią, to na niego i ten dwór pomyślą.
 - Dobry plan - pochwaliła Hanka.
 - Jak w czterdziestym ósmym - rozmarzył się Józwa. - Wygnać dziedzica, podzielić się ziemią...
 - A po cholere nam ta ziemia? - zdumiał się Heniek. - Co ty, chcesz w polu tyrać jak jakiś wół roboczy?
 - W zasadzie na grzyba. Ale sprawiedliwość dziejowa musi być. Tak teraz, jak i wtedy.
 - A co, pamiętasz? - Brygadzistka popatrzyła na niego zaskoczona. - Na świecie cię jeszcze nie było!
 - Może i nie było, ale ojciec tak pięknie o tym opowiadał...
- Maciej uznał, że nakapało dość, i polał bimbru do fajansowych kubków. Wychylili po łyku, zagryźli kradzionymi w sąsiedniej wsi ogórkami.
- Puścić kura to dobry pomysł - mruknął. - Ale jest problem z tym cholernym wampirem.
 - Wampirka i ta młoda wzięły samochód i gdzieś pojechały - doniósł Heniek. - Dziedziczka została sama. Cze-czeńcy też już swoje zrobili i się wynieśli. Jeśli mamy coś zdziałać, to teraz jest dobra okazja.
 - Są jeszcze ci dwaj, Ruskie czy coś takiego - zauważyła Hanka. - Śpią w samochodzie.
 - To spoko, ominę ich. Nic nie zauważą. - Heniek Poderwał się z miejsca.
- Bimber dodał mu szalonego animuszu, a za to odebrał resztę rozwagi.
- Czekaj - warknął Józwa. - Co nagle, to po diable. Trza pomyśleć, co i jak. Dziedziczka śpi tam, gdzie światło w oknie. Lepiej, żeby się nie wykończyła przy okazji, zabijając nie chcemy, tylko przegnać.
 - To podpalę dom od drugiego końca. Ciepnę butelkę nafty do pokoju na prawo od sieni. - Młody z podniecenia nie mógł usiedzieć na miejscu.
 - Dobra. Obudzić się obudzi. Albo cieśle usłyszą i ją obudzą. Ale nafta śmierdzi nawet po spaleniu. Tu trzeba czegoś, co nie zostawia śladów.
 - Mamy denaturat, ten od rozpalania - zasugerowała brygadzistka. - Jeszcze tak z pół butelki i drugą, całkiem pełną... A może nawet i więcej w szopie stoi? - Usiłowała sobie przypomnieć. - Kiedyś do mycia stołów w świetlicy całą skrzynkę kupili.
 - Dobra! - Były sołtys klasnął w dłonie. - Polejesz ścianę koło gniazdka i podhajcujesz, niby że zwarcie instalacji było. Podejrzewać nas mogą, ale nie udowodnią nic i nawet przed sądem w razie czego nie postawią.

* * *

Czarna chmura zasłoniła księżyc. Heniek wystawił głowę zza płotu. Teraz! Pokłusował w stronę dworu. Wpadł w ciemności na sąg drewna i omal nie stłukł butelek. Znowu zrobiło się jaśniej. Podpalacz skulił się i przyczajony w głębokim cieniu czekał na kolejną chmurę.

Wreszcie nadciągnęła. Poderwał się, by przebiec ostatni odcinek dzielący go od ściany dworu, i omal nie wpadł na Ihora. Ostre światło latarki prawie go oślepiło.

- Cześć, Heniek! - przywitał go cieśla.

- Ty skąd wiesz, jak się nazywam? - zdumiał się pegeerowiec.

- A któż by nie znał chluby naszej wsi? - zażartował obcy. - Co tak biegasz po nocy? Sadełko chcesz zgubić? Czy może tylko dla kondycji?

- Dla kondycji. Sport to ja cholernie lubię...

- Zaskakujące. Ja też w dzieciństwie piłkę kopałem każdego ranka.

- No, futbol to jest fajna rzecz.

- Popatrz, popatrz, myślałem, zwykły obszcymurek, a tu takie zainteresowania - ucieszył się Ukrainiec. - I nawet brakiem dresu się nie przejmujesz, tylko zasuwasz... O, widzę, że i flaszeczkę z jakimś płynem regeneracyjnym wziąłeś. - Utkwił wzrok na butelce denaturatu sterczącej z kieszeni dreliha.

- A tak, to po treningu...

- Siadaj, co tak będziemy stali. - Ihor wskazał belkę. - A cóż to takiego w tej flasce?

- Woda mineralna - bąknął Heniek.

- Coś takiego, a przysiągłbym, że denaturat.

- Bo do takiej butelki przelałem.

- Wiesz, ja sportowcem nie jestem, więc sobie piwko strzelę, a ty pewnie po treningu zgrzany i zmęczony, to lepiej się wody napij... - W głosie cieśli krył się cały ocean życzliwości. - Zresztą, alkohol nie bardzo przystoi lekkoatletom.

- Ale mi się nie chce pić!

- No co ty? Ze mną się nie napijesz? - Ihor spojrzał na niego groźnie i odkorkował butelkę piwa.

Stuknęli się i Heniek, krztusząc się, zaczął sączyć ohydną ciecz z flaszki.

- Lubię tak sobie posiedzieć wieczorem i popatrzeć na gwiazdy - mówił przybysz ze Wschodu. - Zwłaszcza w tak miłym towarzystwie. Pij, pij. Musisz zbilansować utraconą ilość płynów w organizmie. Duszkciem najlepiej, bo jak tak przez zęby będziesz sączył, to od zimnej wody zabolą.

Pegeerowiec z ulgą odstawił pustą flaszkę i teraz z trudem łapał powietrze ustami.

- Popatrz, ile tam światów, obcych cywilizacji, komet. - Cieśla patrzył na nieboskłon. - Ileż tam się cudownych rzeczy dzieje. To co? Na drugą nogę? - Wyjął kolejną butelkę piwa.

- Ale ja już nie mam - zełgał jego kompan.

- Masz, masz, widziałem, w drugiej kieszeni siedzi. I słusznie, bo przy ostrym treningu to i litr wody się traci z potem. Napij się, to ci opowiem, jak ruskiego kosmonautę spotkałem...

Godzinę później Heniek, zataczając się, dobrnął do baraku. Po drodze kilkakrotnie chwyciły go torsje. Wreszcie wyrznął łbem o drzwi i z trudem pokonawszy próg, wtarabanił się do środka.

- Dlaczego dwór się nie pali? - zapytał Maciej, patrząc przez okno.

- Yyy ups! - Heniek czknął potężnie, rozsiewając wokoło intensywną woń „jagodzianki na kościach”.

Józwa podszedł i wyrznął go na odlew w mordę.

- Ty bydlaku! Wyżłopałeś denaturat zamiast ogień podłożyć! Złamałeś też nasze święte prawo, które mówi...

- ...Ludzi dzielimy na przezroczystych i niebieskich - powiedziała Hanka. - Przezroczyści piją wszystko, co jest białe lub żółte. Niebiescy piją błękitne i fioletowe... - I wyrnęła młodego kułakiem, aż zęba wypluła.

- ...Każdy niebieski będzie pobity i wygnany ze wsi - dokończył Maciej, zamierzając się do ciosu.

- Czekaj - warknął sołtys. Już się trochę opamiętał. - Coś mi się tu nie zgadza.

- Co takiego? - zdziwiła się brygadzistka.

- Butelek na wymianę nie przyniósł! Bo jakby tak zwyczajnie wypił, to by zabrał z powrotem. Gadaj, co się stało?

Młody z trudem zogniskował wzrok i nieskładnie zaczął opowiadać.

* * *

Zapłonęło światło. Drzwi celi skrzyknęły przeraźliwie i do wnętrza weszli trzej zakapturzeni mężczyźni. Michał, spoczywający na wiązce słomy, rozbudził się natychmiast. A potem uśmiechnął lekko pod wąsem. Kilka razy zdarzyło mu się siedzieć w więzieniach. Tylko raz wypuścili go z własnej woli. W pozostałych przypadkach... No cóż, pragnienie wolności to siła trudna do okiełznania. Kawałek porcelanowej miski ukrył pomiędzy palcami. Sprężył się w sobie. Bliżej, jeszcze bliżej... Usiadł i tarł oczy kułakami, udając głęboko zaspanego. Jeszcze krok, pół... Zaraz będzie odległość kontaktowa. Teraz! Pięści uderzyły niespodziewanie. Trafił bez pudła, dwaj

„bracia” zarobili pięknie, prawy sierpowy i lewy prosty sięgnęły ich poniżej pasa. Może nie było to zbyt czyste zagranie, ale niestety, gdy chodzi o życie, nie pora na sentymenty. Dwa ciała zwały się na ziemię.

Mistrz poderwał się jak sprężyna i trafił trzeciego bykiem w splot słoneczny. Rozległo się głośnie chrupnięcie. Trzasnęły żebra i mostek wroga, ten też wyeliminowany na dobre. Drzwi. Był pewien, że ktoś stoi na korytarzu i ubezpiecza tych trzech. I nie pomylił się. Ciął błyskawicznym ruchem, głęboko. Dłoń uzbrojona w odprysk miski zatoczyła łuk. Tętnica szyjna poszła, krew chlapnęła na ścianę. Piąty przeciwnik uchylił się. Alchemik skończył ku niemu jak pantera.

Podwójny błysk prawie go oślepił. Obrzyn z dubeltówki? Wykonał unik, czując, że jest już za późno. Coś zatrzymało go w pół skoku. Zderzył się z niewidzialną przeszkodą, jakby między nimi nagle wyrosła ściana. Huk rozdarł ciszę lochów. W następnym ułamku sekundy mistrz runął ciężko na ceglana posadzkę. Echo wystrzału długo odbijało się w piwnicznych korytarzach, aż wreszcie ucichło. Sędziwoja pochłonęły ciemność i cisza.

Przytomność odzyskał w jednej chwili. Jeszcze nie otwierał oczu. Co się z nim dzieje? Siedzi przywiązany, a może przykuty do twardego, drewnianego fotela z oparciami pod ręce. Strzelali do niego. Trafili. Gdzie? Ból lewego uda był tak silny, że prawie pozbawił go oddechu. Leciułko napiął mięśnie, analizując doznania. Kość chyba cała, mięso przerobili na siekane kotlety... Czucie w stopie ma, a zatem nerwy rdzeniowe zapewne ocalały. W łydce czuje chłód, a to oznacza, że wiele naczyń krwionośnych uległo zerwaniu. Fatalnie, to poważnie skomplikuje plany ucieczki.

Otworzył oczy. Pomieszczenie przypominało celę, w której wcześniej go więziono. Zasadnicza różnica polegała na tym, że najdłuższa ściana posiadała dużą strzelnicę. W otwór wprawiono okno, szyby oklejono od zewnątrz folią odbłaskową. Kiedyś stało tu działo obecnie urządzono - no cóż, to było do przewidzenia - izbę tortur.

Zbadał, na ile się dało, skórzane pasy, którymi go unieruchomiono. Niestety, okazały się nad podziw solidne. Żadnej fuszerki, która umożliwiłaby mu przejście do kontraktaku.

Postrzelona noga pulsowała silnie, więc skoncentrował się i zablokował w mózgu obszary odpowiedzialne za odbieranie bólu. Nic się nie da zrobić? Nic. A zatem trzeba się uzbroić w cierpliwość. Wcześniej czy później odczepią go od fotela, by zadać obiecane tortury. Działania większości ludzi cechuje kompletny chaos. Popołniają błędy, wystarczy poczekać odpowiedniej chwili i wtedy spróbować coś zdziałać.

Mistrz obrzucił wzrokiem ściany. Cęgi, kleszcze, przecinaki, pochodzące chyba ze zlikwidowanej kuźni. Skalpele, noże, piły, trepany, spisane z wyposażenia jakiegoś szpitala. Piły, siekierki i dłuta. Ładny zbiór dawnej broni siecznej i obuchowej. Do tego kneble, pejsce i kajdany, gdyby nie brak różowego futerka, można by pomyśleć, że pochodzą z sex-shopu dla wielbicieli „boskiego markiza” de Sade.

- Imponująca kolekcja - zakpił.

Stojący koło okna zakapturzony typek odwrócił się na pięcie.

- Owszem, ciekawe zbiory - powiedział. - Będziesz miał zresztą okazję zapoznać się bliżej z niektórymi egzemplarzami.

Alchemik wyszczerzył zęby. Tak, to byłoby interesujące. Wziąć takie cęgi i zacisnąć temu palantowi na przykład na...

- Poraniłeś trzech naszych towarzyszy, a jednego zabiłeś - warknął Wilk.

- To oni zaczęli. - Michał wzruszył ramionami. - Gdyby nie włązili bez zaproszenia do mojej celi, cieszyliby się dobrym zdrowiem.

- Bracia chcieli cię natychmiast zgładzić. Tylko mojej interwencji zawdzięczasz, że...

- Wypuść mnie, to w podzięce kupię ci flachę najlepszego koniaku, jaki sprzedają w tym mieście - szydził Sędziwój. - Od czego zaczniemy? - Przesunął wzrokiem po ścianach.

- Czy ty się niczego nie boisz? - Przywódca Bractwa spojrzał na niego zaskoczony.

- Tylko duchów. Macie może jakiegoś na składzie? Jak go skłonicie do współpracy? - Poczucie humoru nie opuszczało go w zasadzie nigdy.

- Czeka cię śmierć wśród najstraszliwszych męczarni. Będziesz nas jeszcze błagał, żebyśmy zechcieli cię wysłuchać... I może nawet się na to zgodzimy. Przegrałeś.

Mistrz ziewnął. Niestety, ręce miał przykute do oparcia stalowymi obejmami, więc gest nie wyglądał dostatecznie obraźliwie.

- To już słyszałem - burknął. - Wiele razy, w czasach, gdy nie było was jeszcze na świecie. Wasz problem polega na tym, że nie wierzycie w Boga - powiedział. - Możecie zniszczyć moje ciało, pozbawić życia ten kawałek mięsa, w którym teraz przebywa moja dusza. Ale człowiek, którego przepelnia ogień prawdziwej wiary nie będzie się przejmował takim drobiazgiem jak zakończenie swojej ziemskiej pielgrzymki.

- Zabijałeś, więc powinieneś wiedzieć, że pójdziesz do piekła - warknął Wilk.

- Na szczęście znam zarówno hebrajski, jak i aramejski. Opieracie się na błędnym przekładzie Biblii. W dziesięciorgu przykazań powiedziano „nie morduj”, czyli nie zabijaj bez powodu, skrycie, niehonorowo, dla realizacji własnych, przyziemnych celów. Przez blisko pięćset lat, jakie dane było mi przeżyć, nie zamordowałem nikogo, choć często niosłem śmierć tym, którzy na to zasłużyli.

- Cóż za głęboka filozofia - prychnął wróg.

- Prosta jak konstrukcja cepa... Ale życie jest w ogóle proste, to ludzie sami je sobie komplikują.

- Dogadajmy się. Przekaż nam sekret tynktury, a uwolnimy cię i możemy obiecać, że więcej się nie spotkamy.
- Za późno. Złamaliście piąte przykazanie. I to wielokrotnie. Jesteście bandą morderców i musicie zostać wyeliminowani. - W oczach Alchemika błysnęła stal. - Może mi nie uda się tego dokonać, ale wcześniej czy później ktoś was powstrzyma.
- Może i jesteście bandą morderców. Ale nie zabijamy bez powodu...
- Potrzebujecie krwi, by robić złoto - uzupełnił Sędziwój. - Poświęcacie cudze istnienia dla swoich celów.
- Nigdy nie czułeś, że jesteś kimś lepszym, a życie innych ludzi stanowi w twoim ręku tylko tworzywo, z którego można uczynić coś wielkiego?
- Rozczaruję cię, jeśli powiem, że nie? Swoją drogą, gdy walczyłem po raz pierwszy z waszymi poprzednikami, było jakby ciekawiej. Poza prozaicznym robieniem złota z, jak to określiłeś, tworzywa ludzkiego, przeprowadzali masę odrażających eksperymentów pseudomagicznych.
- A kto ci powiedział, że już nie zajmujemy się czarną magią? - W oczach prześladowcy błysnęły dziwne iskierki.
Sędziwój po raz pierwszy od chwili uwięzienia stracił pewność siebie. Te dziwne myśli obsesyjnie krążące wokół tajemnicy kamienia filozoficznego. Czyżby ich czary naprawdę działały?
- Spokojnie. - Kaptur skrywał twarz, ale ton głosu wskazywał, że oblicze Wilka przyozdabia jadowity uśmiešek. - Wkrótce na własnej skórze zapoznasz się z naszymi sekretami.

* * *

Pomieszczenie było ładne i przestronne. Duże okno wychodziło na kanał. Na ścianach wisiało kilka stalorytów. Trzy stare fotele kryte skórą, zabytkowe biurko, w kącie stół kreślarski i jakiś szkic przypięty do blatu.
- Chcieli się panowie ze mną zobaczyć - Lars Riedel zaprosił ich, by usiedli. - Mogę panom poświęcić godzinę. O co chodzi?
Mówił dobrze po niemiecku.
- No cóż - powiedział Arminius. - Nasza profesja jest dość specyficzna. Zajmujemy się generalnie eliminacją pewnych endemicznych istot rozumnych, wykorzystujących dla podtrzymania swego istnienia nie zwykłą fizjologię, ale bionekrozę.
- Wampirów i innych temu podobnych - dodał Laszlo, choć nie było to chyba potrzebne.
- Rozumiem. - Architekt w żaden sposób nie okazał zdziwienia. - Zapewne jestem na waszej liście do odstrzału?
- W jego oczach nie pojawił się najlżejszy cień niepokoju.
- W zasadzie tak - rzekł stary łowca. - Problem w tym, że nie bardzo nam się to składa do kupy. A żeby kogoś zabić, wolelibyśmy wcześniej zdobyć pewność, że trzeba.
- Widzę, że są panowie profesjonalistami. - Riedel z uznaniem skłonił głowę. - Nie tak jak zwykle. Nie uwierzyście, jakich wariatów do tej pory spotykałem.
- Rzuci pan okiem na nasze materiały? - zagadnął Laszlo. - Tak chyba łatwiej będzie nam rozmawiać.
- Z przyjemnością.
Młody otworzył neseser i wyłożył na stół kilkanaście odbitek.
- Na wszystkich tych budynkach widnieje pański gmerk, staroegipski znak wyobrażający filar dzed - powiedział Arminius.
- A jak doszłicie, że to nie przypadek?
- Mieliśmy takie założenie i szukaliśmy potwierdzenia teorii. Zanalizowaliśmy pański charakter pisma. - Stary przyrodnik położył obok fotografii kartę z wydrukiem. - Oczywiście, krój liter zmienia się z epoki na epokę, ale sposób stawiania kresek czy łączenia poszczególnych znaków...
- Rozumiem.
- Dokonałiśmy też analizy wymiarów trzydziestu wzniesionych przez pana budowli. We wszystkich stosuje pan proporcje oparte na egipskich i arabskich kwadratach magicznych oraz średniowiecznych zasadach tajemnej sztuki murarskiej - dodał młody.
- Chylę czoła - powiedział poważnie Riedel. - I muszę przyznać, że jestem głęboko zdumiony. Minęło wiele stuleci, ale nikt nigdy nie przeprowadził tak dogłębnej analizy moich dokonań. Nie sądziłem, iż ktoś na to wpadnie. Zwłaszcza że chyba żaden z panów nie jest z zawodu budowniczym?
- Żaden. - Laszlo pokręcił głową. - Czyli nasze podejrzania są słuszne?
- Owszem. Ja wzniosłem to wszystko. - Wzruszył ramionami. - A także szereg innych konstrukcji, których albo nie odnaleźliście, albo które się nie zachowały. Jestem naczelnym architektem ludzkości od przeszło czterech tysięcy lat.
- O, cholera! - Laszlo automatycznym ruchem wyjął z torby samopał i odciągnął kurek.
Arminius uspokoił go jednym gestem. Wyłożył kilkanaście kolejnych odbitek. Portrety. Wszystkie, jakie udało im się odnaleźć.
- Pańska twarz się zmienia - powiedział. - Przyzwyczajenia nie, charakter pisma też nie, ale...
- Oczywiście - uśmiechnął się Architekt. - Tym bardziej jestem pełen podziwu, że zdołaliście mnie wysledzić i

zlokalizować. I szczerze powiedziawszy, najbardziej zaskakujące jest to, że zidentyfikowawszy, zdecydowaliście się przyjść i wyjaśniać wątpliwości, zamiast strzelić mi w plecy zza węgła... Choć, jak widzę, rozważaliście i taką ewentualność. - Musnął oskarżycielskim spojrzeniem spluwę leżącą na kolanach chłopaka.

- Zawsze staramy się o zachowanie naukowych podstaw działania. Gromadzimy wiedzę, która przyda się naszym następcom - wyjaśnił Laszlo z godnością. - Tradycja łowców podupada, a ktoś powinien bronić ludzkości przed istotami takimi jak pan.

- Nie za dużo ode mnie żądacie? Chcecie, żebym wyjaśnił, co jest grane, bo dzięki temu łatwiej będzie wam dopaść następnych?

- Owszem - rzekł stary. - Czy za dużo? Ma pan wobec ludzkości dług, którego nie spłaci postawienie kilku budynków. Choćby były i piękne, i pożyteczne.

- I pewnie, jeśli odpowiem na wasze pytania, w zamian darujecie mi życie? - Wyglądało na to, że kpi sobie z nich w żywe oczy.

Dlaczego się nas nie boi? - zaniepokoił się Laszlo. Coś mu w tym strasznie śmierdziało.

- Niestety... - Przyrodnik wzruszył ramionami. - Kompromisy z istotami bionekrotycznymi nie wchodzi w grę. Myśliwy nie wchodzi w układy z wilkami.

- Nie ma w tym specjalnej tajemnicy. Trzeba sięgnąć do mądrości starożytnych religii.

- Wędrowka dusz? - Arminius zmrużył oczy tknięty nagłym domysłem. - Zachowuje pan świadomość kolejnych wcieleń?

- Niezupełnie o tę religię mi chodzi. Zresztą podejrzewałem zawsze, że reinkarnacja to totalna bzdura. - Architekt puścił do niego oko. - Po co szukać po świecie mądrości innych ludów, gdy odpowiedź jest tak blisko... Kiedyś, dawno, dawno temu, nazywałem się Hiram.

- Budowniczy Świątyni Salomona? - Chłopak wytrzeszczył oczy.

- Owszem. Jestem Żydem. A raczej byłem nim dawno temu. Nie praktykuję już mojej religii, przez te tysiąclecia za bardzo odbiegła od tego, w co wierzyłem. Ale ciągle darzę ją pewnym sentymentem. I sporo zapamiętałem.

- Judaizm jest przecież wolny od takich idei - zdziwił się stary przyrodnik. - Chyba że w czasach Salomona, przed ostatecznymi redakcjami i ujednoczeniem tekstu Starego Testamentu...

- Każda religia dzieli się na część ortodoksyjną i, nazwijmy to, tradycję przekazywaną ustnie, ignorowaną przez teologów. Obok pism kanonicznych istnieją apokryfy. Mędrcy badający naturę rzeczy często szyfrują swoje notatki, by uniknąć ryzyka dostania się wiedzy w ręce profanów. Słyszeli panowie opowieści o dybukach?

Laszlo pokręcił głową, a stary zagryzł wargi.

- Jeśli ktoś umiera paskudną, niedobrą, nagłą śmiercią, jego dusza zostaje wyrwana z ciała i zamiast zstąpić do szeolu, błąka się po ziemi, aż znajdzie kogoś, kto jest na tyle słaby, by mogła opanować jego ciało - wyjaśnił Riedel. - Za pierwszym razem przygniotła mnie waląca się ściana. Odzyskałem świadomość kilkadziesiąt lat po śmierci. Zrozumiałem, co się stało. Mieliśmy naprawdę dobrych magów, za trzecim razem wiedziałem już, że jestem w stanie częściowo to kontrolować.

- A jak z pamięcią? - zaciekawiał się Arminius. - Nie ulega zatarciu?

- Z kolejnych wcieleń pamiętam bardzo dużo. Najmniej z tych pierwszych, potem, wraz z kolejnymi przeskokami, moja jaźń coraz lepiej sobie radziła.

- Jeśli teraz pana zabijemy, to po prostu wyjdzie pan z ciała i za jakiś czas pojawi się znowu - domyślił się młody. - Dlatego zupełnie się nas pan nie boi?

- Owszem. Wasza misja od początku była chybiona. - Architekt uśmiechnął się kpiąco. - I jak mniemam, teraz, gdy wyjaśniliśmy sobie wszystko, odstąpić od swych uroczo krwiożerczych planów? Nie stanowią dla was zagrożenia i byłbym wdzięczny, gdyby okazali mi panowie tę samą grzeczność.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł - mruknął stary. - Ale faktycznie, chyba nic tu po nas...

- Czyli mam oczekiwać w każdej chwili strzału w plecy? Najdalej za kilka lat wróć. Obejmuję ciała zazwyczaj już podrośnięte...

- Wymyślimy coś, aby odesłać pana definitywnie w niebyt - zagroził przyrodnik. - To nic osobistego, takie są po prostu nasze zasady.

- Oczywiście. Nie będę miał za złe, jeśli wam się uda. O ile wam się uda... - dodał z naciskiem.

- Jeszcze jedno pytanie - przypomniał sobie Laszlo. - Nad niektórymi z pańskich budowli wydaje się ciążyć jakieś fatum. Na przykład ta katedra. Czym jest to spowodowane? Błędami w zaklęciach?

- Czasem zdarza się wypadek i ginie podczas budowy. Wtedy to miejsce jest przeklęte. Wyrwanie mojej duszy z ciała poważnie zaburza strukturę czasoprzestrzeni.

- Można coś na to poradzić?

- Nie wiem. - Riedel pokręcił głową. - Obawiam się, że nie.

A zatem dwóch Kruszewskich prawdopodobnie znowu spłonie... Może za trzydzieści lat, może dopiero za sto, ale jego los jest przesądzony.

Wstali z foteli i ukłoniwszy się, opuścili biuro. Arminius zaszedł do sklepu monopolowego i kupił wino. Przeszli most nad rzeką Nidelwą i wspięli się na szczyt góry. Nie mieli kieliszków, więc napili się prosto z butelki.

- Sądzisz, że mówił prawdę? - zapytał młody.

- Tak.
- I co dalej? Rezygnujemy z likwidacji? Opuuszczamy sobie problem i wracamy do domu?
- Po pierwsze, nie do domu, tylko sprawdzać kolejny ślad - mruknął jego towarzysz. - Po drugie... To pasożyt. Przejmuje ciała, wypiera dusze ich właścicieli, by podtrzymać swoją egzystencję. Kradnie ludziom życie, tak jakby ich mordował.
- Zabicie Architekta nic nie zmieni. Co najwyżej jakiś czas go nie będzie, a potem wróci. Albo i od razu przechwyci kolejne ciało.
- Właśnie. Ale gdyby umarł tak zwyczajnie, ze starości, to może już się nie odrodzi... - Przyrodnik pociągnął wina.
- To może jednak jakoś go wykończymy? Tak, żeby nie było ani nagle, ani paskudnie? - Laszlo przejął butelkę. - Ja wiem, może jakaś wolno działająca trucizna? Grzybki czy coś. - Trącił butem kępę muchomorów. - Podobno są toksyny, które niszczą człowiekowi wątrobę tak, że umiera przez pół roku lub dłużej...
- Owszem, znam takie. Tylko że to nic nam nie da. Zorientuje się przecież, że jest chory, a wtedy odkręci gaz i położy się z zapalniczką na łóżku...
- To jak go załatwić? Srebrną kulą jak ducha? Osikowym kolkiem czy co? Przecież musi być jakiś sposób, by odesłać go w niebyt!
- Pomyślmy wieczorem. Mam kilku przyjaciół dobrze zorientowanych w kabale. To chasydzi, więc powinni wiedzieć też coś na temat dybuków. Spróbuję złapać ich przez Internet i przeprowadzę konsultacje.

* * *

Księżniczka obudziła się, czując dziwne osłabienie. Łydki ciągle ją bolały po wczorajszych tańcach. Agentka siedziała przy komputerze.

- Wstawaj, już dziewiąta. - Uśmiechnęła się do przyjaciółki i znowu wbiła wzrok w ekran.
 - Masz coś ciekawego?
 - Nic a nic. Tyle tylko, że kilka dni temu policja znalazła w jednym z opuszczonych fortów spalonego czerwonego volkswagena.
 - Nawet jeśli znaleźli właściwego, to niewiele z tego wynika. - Monika, choć nie czytała kryminałów, umiała wyciągać wnioski. - Z pewnością nie porzucili go w pobliżu swojej kryjówki.
 - No właśnie... To chyba droga donikąd. Ale znajdę drani.
 - Aha - zgodziła się Monika. - Jeśli nie jestem ci potrzebna, to może przejdę się trochę.
 - Yhym... - mruknęła informatyczka i zagłębiła się bez reszty w wirtualną rzeczywistość.
- Monika wyszła z domu. Nogi same poniosły ją na Stare Miasto. Może niepotrzebnie się martwią? Może gdzieś w danych była luka i Alchemik po prostu pojechał na Tajwan? A może znudziło mu się ich towarzystwo i postanowił dać nogę? Przecież to niewykluczone. Zajrzała do kilku antykwariatów, obejrzała piękną intarsjowaną komódkę za prawie siedem tysięcy złotych.
- Spojrzała w niebo zaciągające się coraz ciemniejszymi chmurami. Będzie padać... Paweł siedział na placyku przy Kościele Mariackim. Rozłożył ołówki na obramowaniu fontanny i coś rysował.
- Znowu się spotykamy. - Na jej widok odłożył blok. - Uroczu wyglądasz w niebieskiej sukience.
 - O? - zdziwiła się. - Skąd się tu wzięłaś?
 - Mieszkam tuż obok. Wyszedłem sobie szkicować.
 - A ja poszłam na spacer. Nudzi mi się.
 - Może powinnaś coś poczytać - zasugerował. - Albo iść do kina? W mieście jest masa możliwości, by przyjemnie spędzić czas.
 - Jakoś nic mi się nie chce - wyznała. - Wszystkie zainteresowania stały się szare i nijakie, jak popiół. Pierwsze krople deszczu ciężko uderzyły o bruk.
 - Chodźmy do ciebie - zaproponowała. - Zaraz lunie.
- Pobiegli przez bramę, wypadli na Mały Rynek. Niebo przecięła błyskawica, zagrzmiało. Odnaleźli kolejną bramę, a potem po nieskończone długich, trzeszczących schodach wspięli się na ostatnie piętro.
- Tu mam pracownię - wyjaśnił. - I mieszkanie przy okazji.
 - Fajne miejsce. Wszędzie blisko...
 - To chyba taka tradycja, że malarze i studenci mieszkają na strychach - zażartował i otworzył drzwi. - Powinni też być ubodzy i cierpieć na suchoty...
- Zapalił światło, rozbłysła naga żarówka wisząca pod sufitem. Pracownia była nieduża. Jedno długie pomieszczenie z mansardowymi oknami. Pod połacią dachową na podłodze leżał materac zasłany kocem. Drzwi w głębi prowadziły do małej łazienki i kuchni.
- Ciasne, ale własne. - Uśmiechnął się. - I z roku na rok jego wartość rośnie. Masa snobów ma ochotę zamieszkać na Starym Mieście. A nie dla wszystkich wystarcza miejsca.
 - Kilkadziesiąt obrazów stało opartych o ściany. Był także ten jej - niedokończona martwa natura.
 - Zabrałem go trochę z rozpędu. No i proszę, w sam raz może się przydać. Bo pewnie chcesz go dokończyć?

Tylko kompozycja została na wsi.

- Ale są linie szkicu, czyli wystarczy dać kolor...

- Nie bardzo. - Potrząsnął głową z lekkim rozbawieniem.

- Spróbuję, nie musi to być przecież dzieło sztuki. - Zaciśnęła wargi. - Mogę obejrzyć? - Wskazała prace.

Kiwnął głową. Zapalił trzy świece w lichtarzu. Wnętrze zrobiło się jakby bardziej przytulne. Odwracała je po kolei, oglądała. Dziesiątki widoczków, bukietów w wazonach, sielskich pejzażyków, starych młynów i wiatraków...

- To na handel. Partanina, malowałem ot tak, żeby kilka groszy zarobić. Te ciekawsze są dalej - powiedział.

Cykl grafik mogących być ilustracjami do książek fantasy i horrorów. Niektóre już widziała. Nagie lub skąpo odziane kobiety z zakrwawionymi mieczami, smoki i rycerze, mumie, szkielety, cmentarze... I wreszcie kilka aktów, ładnie namalowane, naturalistycznie. Spojrzała na Pawła spod oka. Dociskał klamkę okna smaganego deszczem. Widać bał się, żeby przez jakąś nieszczelność nie nalało mu się do pracowni. Na sztaludze stał zagruntowany podkład, ołówki leżały, jakby czekały tylko na odpowiednią okazję.

Podjęła decyzję. Obraz, na którym ją kiedyś uwieczniono, wisi dziś w muzeum w Sofii. Jednym ruchem ściągnęła sukienkę. Od razu zrobiło jej się przyjemniej. W mokrym ubraniu nie należy siedzieć, to przecież grozi zapaleniem płuc! Odwiesiła ją na oparcie krzesła. Wysunęła stopy z sandałów, ściągnęła mokre skarpetki. Gdy wreszcie oderwał wzrok od szyby i popatrzył w jej stronę, właśnie zdejmowała stanik.

- Więc jednak - jakby westchnął. - Naprawdę tego chcesz? Nie wiem, czy umiem namalować cię tak dobrze, jak na to zasługujesz. A jeśli mi nie wyjdzie?

Ujął w dłoń węgiel i podszedł do sztalugi. Zsunęła figi i stanęła przed nim całkiem naga. Popatrzył spokojnie i badawczo.

- Kształty masz ciągle jeszcze raczej dziewczęce niż kobiece - mruknął. - Za taki obraz to prokurator może mnie potem ścigać. Ale jesteś piękna.

Stała bez ruchu. Czowała dziwną treść, od bardzo dawna żaden mężczyzna nie widział jej bez ubrania... Paweł uśmiechnął się ciepło.

- Wyglądasz uroczo - powiedział. - Tak świeżo i niewinnie zarazem. Hmm... Może usiądź na tamtym krześle. Dobrze, teraz podwin jedną nogę, opleć ją dłońmi i oprzyj brodę na kolanie.

Wykonała jego polecenie.

- Nie, do niczego. - Pokręcił głową. - Wyszło strasznie nienaturalnie...

Odwróciła krzesło tyłem, usiadła na nim okrakiem. Ażurowe szczebelki niewiele zasłaniały.

- A może tak? - zaproponowała. - Mogę jeszcze postawić stopy na...

- Chyba tak jest dobrze - ocenił po namyśle. - Usiądź wygodnie, to potrwa dość długo.

Podszedł, minął ją, zawiesił na ścianie długą, ciemnobłękitną kotarę.

- Będzie ładne tło - wyjaśnił.

Sięgnął po blok, rysownicę i kawałek miękkiego ołówka. Szkicował szybko, z pasją i wprawą. Potem odłożył papier i zaczął nanosić linie na podkład.

- Tatuazu nie malujemy? - zapytał. - Nie.

- Ciekawy, swoją drogą. Herb dynastii, która wymarła... No, będzie z pięćset lat.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie powiedzieć prawdy, jednak w ostatniej chwili podjęła inną decyzję.

- Dziadek interesował się historią - skłamała gładko. - Miał trochę tego... - Wkręciła sobie niewidzialną śrubkę w skroń. - No i zostawił mi pamiątkę na całe życie.

Paweł nie odpowiedział, całkowicie pogрузił się w pracę.

Żółte światło świec rzucało refleksy na jej skórę. Pożałowała, że ramiona i łydki ma znacznie bardziej opalone niż resztę ciała. Trzeba było poleżeć na słoneczku nago.

Ale przecież nie będzie jej fotografował, a malując w kolorze, z pewnością ujednolici barwę - uspokoiła się.

Wreszcie przerwał. Stał, oglądając swoje dzieło. W kuchni zaszumiał czajnik. Nawet nie pamiętała, kiedy wstał wodę.

- Sukienka już wyschła. Ubierz się, bo zmarzniesz - polecił. - A ja zrobię nam dobrej herbaty. Słodzisz?

- Nie...

- I słusznie, moim zdaniem cukier zabija połowę smaku. Wolisz zwykłą czy z mango? Mam też yerba matę.

- Zwykłą - wykrztusiła.

- Kapnę ci naparstek rumu, bo coś mi się wydaje, że jesteś na najlepszej drodze do zaziębienia. - Jego troska tylko ją rozjuszyła.

Minął ją, idąc do kuchni. I znowu poczuła dziwne upokorzenie. Nie dostrzegł w niej kobiety.

A może jest gejem? - Myśl błysnęła jej w głowie i zgasła.

Nie, to chyba niemożliwe. Wprawdzie słyszała, że artyści lubią takie dziwactwa, ale zupełnie na to nie wyglądał.

Wrócił z dwiema parującymi szklankami. Stała ciągle naga i przechyliwszy głowę, patrzyła na niego zalotnie.

Odstawił herbatę na stolik, podszedł do niej. Serce zabiło jej szybciej, ale znowu się rozczarowała. Uprzejmie podał jej stanik. Fuknęła wściekle i zrobiła krok do przodu. Nareszcie. Objął ją, poczuła jego dłonie na plecach.

Zadrzała i naraz zorientowała się, co robi. Zapinał jej biustonosz!

- Cielaczkę - powiedział łagodnie. - Jeśli ktoś lubi jabłka, nie będzie przecież jadł zielonych...

Porwała sukienkę, naciągnęła ją w biegu i wypadła z pracowni, trzaskając drzwiami. Złość aż z niej buchała. Nikt w życiu tak jej nie zlekceważył! Wyszła z kamienicy tak rozwścieczona, że nie zauważyła rozciągniętego między słupkami łańcucha. Ani się obejrzała, a runęła jak długa. Medalion brzęknął i potoczył się prosto pod koła przejeżdżającej taksówki. Poderwała się na równe nogi i podniosła go z bruku. Odetchnęła z ulgą. Kamień ocalał, tylko zapięcie łańcuszka trochę się zgmiotło. Do licha. Zaraz, przecież koło Empiku jest jubiler. Może uda się na poczekaniu naprawić? Schowała amulet do torebki, łańcuszek wpuściła w kieszeń. Na szczęście to tylko kilka kroków.

Złotnik obejrzał w skupieniu uszkodzony element.

- Od ręki tego pani nie zrobię - powiedział. - Będzie gotów jutro rano. - Wypisał jej kwitek.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Dotarła do Rynku i usiadła na ławce. Znowu była jakaś zmęczona. I wściekła. Co powiedział ten palant? Zielonych jabłek nie lubi? Ale do malowania jakoś się przekonał?

Złość powoli jej mijała. W sumie to zachowała się jak idiotka. Zagryzła wargi. No, nieźle ją poniosło. Rozebrała się przed prawie obcym mężczyzną! Ładnie, ładnie. A potem... Uuu... Do diabła. Seksu jej się zachciało? Wzdrygnęła się. Tak z pierwszym lepszym? Miała nieprawdopodobne szczęście, że okazał się porządnym facetem i nie wykorzystał sytuacji. Tylko pytanie, co jej odbiło? Może to zmęczenie, nuda, gdzieś w podświadomości włączyła się potrzeba rozrywki? Wstała i noga za nogą powlokła się do domu.

* * *

Konsultacje przez Internet trwały niemal całą noc. Wreszcie nad ranem Arminius skończył konferować z kolegami po fachu.

- Mamy go - powiedział.

- Masz informacje, które pozwolą unicestwić jego duszę? - zainteresował się Laszlo.

- Nie unicestwić, tylko odesłać definitywnie na tamten świat - sprostował stary. - Metoda nie jest skomplikowana. Trzeba go dziabnąć w serce sztyletem ozdobionym odpowiednimi zaklęciami.

- Nóż to nie problem. - Młody podał mu szturmowy majcher komandosów specnazu. - Ja mogę go zarznąć. Tylko te zaklęcia. Wygrawerujemy czy wystarczy markerem na ostrzu napisać?

- Wygrawerujemy. - Arminius wyjął z torby modelarską wiertareczkę i komplet frezów dentystycznych.

Trzy godziny później sztylet był gotów. Laszlo spojrział na zegarek.

- Siódma rano - powiedział. - Biuro otwierają o dziewiątej. Pewnie jest jeszcze w domu. Dopadniemy go tam, czy...?

- Byle nie koło katedry - ostrzegł przyrodnik. - Tym razem wolałbym, żeby ocalała. Ponowna śmierć Architekta mogłaby jeszcze bardziej jej zaszkodzić.

- Riedel mieszka nad kanałem. - Laszlo rozłożył plan. - A biuro ma po drugiej stronie rzeki. Co sądzisz o tym zaufku? - Wskazał palcem. - Powinien tędy przechodzić.

- Dobra. Tu go dopadniemy.

* * *

Rana nogi cały czas ćmiła. Alchemik, choć pogrążył się w głębokim transie, nie zdołał do końca zablokować bólu. Ciało wokół postrzału zaogniło się. Nie czas nad tym dumać, są ważniejsze sprawy. Nie da się wykluczyć, że zagadkowy telepata niebawem znowu spróbuje dobrać się do jego mózgu. Cholera, trzeba coś wymyślić. Przydałby się Arminius i jego wiedza. Hm, problem wygląda na dość skomplikowany. Zaczniemy od podstaw. Czym jest telepatia?

Ktoś coś myśli, a drugi odgaduje. A zatem musi w jakiś sposób przechwytywać to, co błąka się po neuronach innego człowieka. Tylko jak? Kontakt fizyczny nie wchodzi w grę. Fale elektromagnetyczne? Czy mózg może być nadajnikiem? Teoretycznie tak... Ale natężenie, które mogłoby aktywować komórki nerwowe, jest znikome. Daje się odczytać na encefalografie, jednak pozwala tylko określić, które części kory mózgowej są aktywne. Wątpliwe, żeby człowiek posiadał szczątkowy zmysł radiowy na tyle doskonały, by poznać przebieg poszczególnych prądów. Każdy mózg jest niepowtarzalny, każdy posiada inaczej wyspecjalizowane neurony, inaczej poodkładały się w nim białka pamięciowe. Nawet jeśli wróg pozna strukturę przepływu, to może ją podstawić jedynie do tego, co ma w swoim łbie - czyli nic mu to nie da.

Dlatego Alchemik sądził, że telepatia jest niemożliwa. Chyba że... Chyba że istnieje inne oddziaływanie, promieniowanie, może rodzaj fal nieznanych nauce. Najwidoczniej myśli wywołują jakieś energetyczne echo, które przy odpowiedniej wprawie można odczytać. Szkoda, że jest uwięziony, to ciekawy kierunek, warto go dokładnie zbadać! Teraz pytanie, co z tym fantem dalej robić. Czy da się je wytłumić? Klatka Faradaya zatrzymuje fale radiowe. Tylko jak ekranować coś, czego natury się nie zna? Można spróbować na przykład założyć na głowę metalowy garnek... Oczywiście, jeśli się go posiada.

Mistrz Michał ma co wspominać, ale nie ma ochoty, by wróg to odczytał. Ceni sobie prywatność. Pytanie, ilu takich dupków ma na swoich usługach Bractwo. Może tylko jednego? Najlepiej byłoby posłać go jakoś do piachu. Tylko jak? Ciekawe, czy umie odróżnić prawdziwe wspomnienia od tego, co można mu podsunąć? Załóżmy hipotetycznie, że nie potrafi. Wyobrazić sobie skrzynię skarbów i zasugerować, że zakopana jest na polu minowym? Pójdzie tam z wykrywaczem metali oraz łopatą i diabli go wezmą. Alchemik uśmiechnął się pod wąsem. Jest tylko jeden mały problem. Nie zna lokalizacji żadnego pola minowego.

A zatem trzeba szybko wymyślić coś innego. Rozwiązanie, które wpadło mu do głowy trzy sekundy później, było tak proste, że aż się zdziwił. Powtórzył sobie w myślach kilka reakcji chemicznych i był gotów.

Minęła może godzina, gdy wrażenie czyjejs obecności podpowiedziało mu, że nadszedł czas działania. Musi to wyglądać naturalnie? No to do dzieła...

W kątach pracowni w kilkunastu klatkach gdakały kury i piały koguty. Alchemik ostrożnie rozpiłował skorupkę cieniutką, jubilerską piłką. Wewnątrz, na żółtku, ciemniejszą plamką odznaczała się tarczka zarodkowa. Stanisława laubzegą oderżnęła czubek strusiego jaja. Alchemik naciął głęboko żółtko wokół zarodka i ostrożnie przeniósł go w nacięcie wykonane w tym drugim. Przyłożył szybko odpiłowaną część, posmarował krawędź żywicą i dobywszy pęczek cienkich drucików, zaczął oplatać jajo, jakby drutował pęknięty garnek.

- Jak myślisz mistrzu, co z tego wyjdzie? - Uczennica popatrzyła na niego zaciekawiona.

- To będzie kura wielkości krowy - powiedział z dumą. - Zaczątek wielkiego stada... Krzyżujemy stwora żyjącego w dalekiej Afryce z naszym ptakiem. Potomstwo przejmie od strusia wielkość, a od kur zdolność życia w naszym klimacie.

- A jeśli weźmie inne cechy? - zaciekawiała się. - Wyrośnie malutkie, złośliwe, z gołymi nogami i niezdolne do przetrwania zimowych mrozów?

- Gdyby wszyscy myśleli tak asekurancko jak ty, w nauce nie byłoby żadnego postępu - zgromił ją. - Wierzę, że ptak, którego wyhodujemy, będzie wielki i wspaniały, a eksperyment ten przyniesie ludziom szczęście i pożytek. Napełni brzuchy głodnym, a zmarzniętym przyda pierza na poduchy.

- Takie bydlę to i zeżre dużo. - Pokręciła głową z powątpiewaniem. - Żebyśmy tylko jakiego potwora z tego nie wyhodowali - zaniepokoiła się nagle.

- Nawet jeśli... - Uśmiechnął się. - Jesteśmy w Krakowie, tu każde dziecko wie, jak zglądzić smoka.

- A jeśli ten smok nie będzie jadał owiec? Mistrz zamyslił się głęboko.

- To mu podsypimy woreczek zatrutego ziarna. - Wpadł na rozwiązanie bez większego trudu.

Ucisk na mózg był bardzo delikatny. Wróg ciągle tam jest. Nie zorientował się, że cała ta heca z jajkami nigdy nie miała miejsca... Nie odróżnia wspomnień prawdziwych od fałszywych. Zatem można spróbować zrobić go w balona.

Myśli podryfowały. Stanisława z jajkiem w ręce. A teraz stoi koło wagi. Mistrz skoncentrował się. Wydaje jej polecenia, ona odmierza, odważa, tłucze, miesza i uciera. Ściąga z regału kolejne słoje. Na wszelki wypadek na każdym z nich widnieje napis, co mieści się wewnątrz...

Łowca Myśli odłożył wieczne pióro na blat. Wstał z fotela i zdmuchnął świece, przerywając krąg.

- Udało się - powiedział, z ogromnym trudem hamując podniecenie. - Mam zapis całego procesu.

- Jak to? Za pierwszym razem? - Zdumiony Wilk popatrzył na kamrata. - Nieprawdopodobne... Chylę czoła przed twoimi wspaniałymi umiejętnościami.

- Za drugim podejściem - sprostował telepata. - Ale mamy formułę. A teraz wezwij, proszę, naszych pozostałych braci. Pora na zabawę w laboratorium.

- A co z Alchemikiem? Do piachu? - Przywódca Bractwa spojrział na podłogę i przeładował pistolet.

- To zawsze zdążymy. - Telepata powstrzymał go gestem. - Najpierw trzeba sprawdzić, jakie jeszcze sekrety ukrywa... Tynktura to niewątpliwie jego największe dokonanie, ale znał ją już w siedemnastym wieku. Kto wie, co odkrył przez kolejne stulecia?

- Niepokoi mnie - mruknął Wilk. - Od kiedy zaczęliśmy z nim walczyć, bez przerwy padają trupy. Ten człowiek to demon zniszczenia. Jest w rękach Bractwa od trzech dni i już zabił jednego z nas. A wcześniej, poszli po niego dwa razy. Za pierwszym wyszli żywi. Za drugim nie wrócił nikt...

- Byli po prostu za słabi - stwierdził myśliwy. - Nie jest łatwo pokonać istotę, której doświadczenie liczy się w stuleciach. A już zwłaszcza trudno dokonać tego bronią, którą on włada lepiej. Mówiłem, gaz obezwładniający, strzelba z lotkami usypiającymi, to nie, musieli się upierać przy tradycji.

- Za drugim razem wzięli nowoczesną i poszli do piachu... - zaoponował Wilk. - Póki walczyli honorowo, darował im życie. Mimo wszystko, wydaje mu się, że w jakiś sposób złamaliśmy reguły gry. Więc on też je łamie. A przy okazji łamie nam karki.

- Capnęliśmy go niehonorowo, ale za to skutecznie. - Łowca Myśli uśmiechnął się. - A gdyby bracia od początku posłuchali mojej rady, żyliby do tej pory. Ale spokojnie, jest unieruchomiony, a do tego ranny i bardzo osłabiony. Już nam nie zagrozi.

- Wiem, ale nie mogę się otrząsnąć z dojmującego przeczucia zagłady - skrzywił się przywódca. - Czuję wręcz, że coś knuje i jeśli tylko będzie miał okazję, poprzegryza nam gardła.

- Zatem wystarczy nie dawać mu okazji. Pilnować się, ubezpieczać wzajemnie, unikać bezpośrednich kontak-

tów. I nie bać się. To tylko człowiek.

- Może masz rację. Ale naprawdę spokojnie będę mógł zasnąć dopiero, gdy jego ścierwo spocznie na wieki w wapnie.

Czekali w laboratorium. Kolejni zakapturzeni bracia meldowali się na miejscu i zasiadali na krzesłach. Wilk przeliczył ich wzrokiem i zagryzł wargi. Wiele siedzisk było pustych.

- Zostało nas niewiele - powiedział poważnie.

- Po co nas wezwalesz? - zapytał jeden, wsparty na kuli.

- Jesteśmy u celu - odezwał się Łowca Myśli. - Umysł Alchemika został spenetrowany. Dysponujemy przepisem, który umożliwi nam wyprodukowanie kamienia filozoficznego.

Mężczyźni popatrzyli po sobie zaskoczeni.

- Udało się?

- Tak. Oto przepis. - Telepata pokazał kartkę. - Niech brat laborant przystąpi do wielkiego dzieła...

Siedzieli w milczeniu, skupieni. Śledzili z uwagą każdy ruch technika. Kwas azotowy, kwas siarkowy, kilka gramów sproszkowanego mialko złota, dziesiątki innych składników... Wreszcie wszystko było gotowe. Laborant wlał mieszaninę do jaja filozoficznego i ostrożnie umieścił je w rozpalonym atanorze.

- Bracia! - Wilk przerwał milczenie. - Jesteśmy u progu chwili, na którą nasi poprzednicy czekali od pięciuset lat... Przez pół tysiąclecia walczyli o to, by wydrzeć alchemikom ich sekret. Dziś mamy w swoich rękach moc przemiany metali i będziemy żyć wiecznie, podczas gdy wrogowie szeszczą...

- Ekstra - mruknął kulawy. - Ale może najpierw zobaczymy, co nam z tego wyszło?

- Za godzinę - wyjaśnił Łowca Myśli. - Tyle potrwa przemiana.

Wreszcie mogli rozbić jajo. W wypełniającym je gorącym szlamie tkwiły jakieś czerwone grudki.

- Jak się tego używa? - Laborant popatrzył na telepate.

- Trzeba utrzyć na proszek. Po łyżeczce na osobę, popić wodą. Jedna dawka na pięćdziesiąt lat...

Szybko utłukł je w tyglu.

- Cztery dawki - ocenił zawartość. Bracia poderwali się z miejsc.

- Spokój! - zgromił ich Wilk. - Szykuj następną porcję. Trzech pierwszych wylosujemy, reszta dostanie za godzinę.

- Trzech? - warknął kulawy. - A czwarta, oczywiście, dla ciebie?

- Trzech. A czwartą wypróbujemy, trzeba zobaczyć, jak czyste złoto wychodzi w procesie transmutacji.

Rzucili losy. Myśliwy i dwaj bracia łyknęli po łyżeczce pyłu i popili wodą.

- U, gorzkie paskudztwo - splunął jeden z wybrańców. - Ale dla wieczności warto...

Technik stopił ołów w tygielku. Dosypał czwartą porcję proszku i zamieszał.

- No i jak? - Wilk podszedł bliżej i zajrzał mu przez ramię. - Działa czy nie?

- Coś jest nie tak. - Laborant patrzył w srebrzystą powierzchnię cieczy. - Chyba jeszcze poczekać trzeba... Czy pomieszać lepiej, żeby mogła zajść reakcja?

- Może dawka była za mała?

Z tyłu dobiegł dziwny charkot. Odwrócili się jak na komendę. Trzej kandydaci do wiecznego życia wyglądali cokolwiek nienajlepiej. Jeden rzęził, opuchnięty język nie mieścił mu się w ustach. Drugi, leżąc na podłodze, bił powietrze nogami. Telepata, przewieszony przez krzesło, toczył z ust krwawą pianę. Oczy poszły mu w ślup. Nie minęły trzy minuty i wszyscy skonali.

- O, kurde - wyszeptał kulawy. - Co to było?

Rozdział 7

Katarzyna zaparkowała przy osiedlowej uliczce. Wysiadła z samochodu i zatrzasnęła drzwiczki. Torba z bronią przyjemnie zaciążyła jej na ramieniu. Przeszła przez boisko i łąkę. Minęła wąski pas zagajnika, przedarła się przez resztki po nieużywanej boczniczy kolejowej. Tu, koło płotu opuszczonej fabryki, rozciągały się kilkunasturowe nieużytki. Wybrała spory pagórek gruzu, będzie służył jako kulochwyty. Rozstawiła sobie tarcze. Najpierw wywaliła dwa magazynki z beretty. Dobry dzień. No, teraz pora na grubszy kaliber.

Nabiła króciwą Alchemika, przybitka, kula, przybitka, dobiła stemplem. Sprawdziła, czy krzemienista skałka tkwi dobrze na miejscu. Złapała broń tak, jak pokazała jej Monika, i pociągnęła za spust. Huknęło zdrowo. No to trzeba zobaczyć, jakie są prawdziwe możliwości tej pukawki. Na kilku ceglach postawiła kupiony od rzeźnika świński łeb. Przyłożyła się i rąbnęła.

Broń mistrza była niezwykle celna. Trafiła precyzyjnie między oczy. Głowa wieprza, koziołkując, poleciała w tył. Katarzyna podeszła i zimno, spokojnie obejrzała skutki trafienia. Z przodu świńska czaszka jest mniej więcej trzykrotnie grubsza niż ludzka. Kula przeszła przez kość jak przez masło, grzybowała w mózgu i wyrwała z tyłu praktycznie całą potylicę.

Skorzystała, że przyjaciółki nie usłyszą jej wypowiedzi:

- Urwie jaja przy samej szyi - mruknęła radośnie.

Wskoczyła do samochodu i wróciła na kwatery. Zanim postrzela do członków Bractwa, musi ich odnaleźć. Bez reszty zagrzebała się w sieci. Internet to miliony danych. Jeśli się wie, jak je odnaleźć, można zdobyć naprawdę dużo informacji. Problem w tym, że na razie to, co zdobyła, to sieczka, która nie układa się w żadną sensowną całość. Alchemika porwano skradzionym samochodem. Pojazd odpowiadający z grubsza tym parametrom wychwyciły dwie kamery monitorujące ruch uliczny. Jechał wzdłuż Plant, minął zjazd w ulicę Lubicz i tu trop się urywa. O ile, oczywiście, to ten.

Bractwo pozbyło się swojej siedziby. Tylko czy aby na pewno się pozbyło? Parcelę sprzedała Agencja Mienia Wojskowego. Może po prostu, grzebiąc w ewidencji, trafili na dane o atrakcyjnej działce w centrum miasta i postanowili natychmiast ją spieniężyć? Próbowała ustalić, kto podjął decyzję, ale zabrakło potrzebnych informacji. Ziemię i budynek nabyła hurtownia owoców cytrusowych stanowiąca część dużej, zagranicznej grupy kapitałowej.

Tożsamości członków Bractwa, którzy zginęli wtedy w podwórzu, nie zdołała ustalić. Może udałoby się czegoś dowiedzieć, sprawdzając numery rejestracyjne samochodów, którymi przyjechali na „akcję”? Tylko skąd je wytrzasnąć? Policja zapewne je zabezpieczyła, sprząając tę jatkę. Nie! Stały zaparkowane przy ulicy, więc trudno było odróżnić je od innych. Ci, którzy przeżyli, zabrali je zapewne potem. Czy mieli kluczyki? Niekoniecznie. Pogotowie zamkowe? A może...? Co się dzieje, jeśli samochód długo stoi w jednym miejscu?

Wywołała plan stref płatnego parkowania. Bingo! Parę samochodów, nawet jeśli „bracia” wykupili bilety, to po godzinie lub kilku ich ważność się skończyła. Przyjechała straż miejska, założyła blokady, a skoro to nie pomogło, zwiozła je na parking.

Godzinę później znalazła, co trzeba.

Tydzień po strzelaninie strażnicy odholowali cztery samochody. Zanotowała numery rejestracyjne. Nazwisk właścicieli nie udało jej się jednak ustalić. Utajnione z uwagi na dobro śledztwa. Sygnatura akt? Odpaliła kolejny program. No i ładnie... Było śledztwo i zostało umorzone. Bractwo Drugiej Drogi musi być bardzo wysoko kryte. Mają kogoś w komendzie wojewódzkiej? A może jeszcze wyżej. Hmm... Prowadzący dochodzenie nadkomisarz pewnie się wściekł. Odnaleźć go i pogadać?

Wyszukała adres parkingi policji. Może te cztery pojazdy jeszcze tam stoją? Przeciągnęła się, odchylając na oparciu krzesła. Trzeba się będzie przejść...

Parking nie wyglądał specjalnie okazale. Siatka, drut kolczasty i kilkadziesiąt pojazdów. Trafiły tu w różny sposób. Część stanowi dowody w sprawach karnych. Inne zostały skonfiskowane, ale z jakichś przyczyn nie mogły trafić na licytację. Wspinając się na palce dla lepszego widoku, zlustrowała plac.

Mercedesy stojące na kapciach, korozja odsądza lakier karoserii, zapewne skonfiskowano je cinkciarzom i bady-larzom jeszcze „za komuny”. Ogromna kolekcja aut w różnym stadium rozbicia. I wreszcie bingo! Trzy pojazdy o numerach rejestracyjnych zgodnych z tym, co ustaliła. Minęła szlaban i kolczatkę i weszła do kantorka strażników.

- Centralne Biuro Śledcze. - Okazała legitymację.

- Aha. - Stary wartownik o poczciwym wyglądzie odłożył kanapkę. - Czym mogę służyć?

- Kontrolujemy sprawę... - Tu podała numer akt. - Macie trzy samochody, które były z nią związane.

- Yhym... - Zaczął kartkować opasłe tomiszczce. - Ma pani numery rejestracyjne?

- Tak. - Podała mu kartkę.

- Trzy ciągle u nas stoją, a ten czwarty, jak się okazało, to przez przypadek odholowali. Właściciel go zabrał. Chce pani zobaczyć je w środku?

- Chyba nie ma po co... - Zawahała się na chwilę. Z pewnością policjanci technicy wyczyścili wnętrze, szukając

dowodów. - A ten czwarty? Kto go zabrał?

- Renault Kangoo, firma Świntex - odczytał.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się i poszła. Pojechała do mieszkania. Monika już wróciła. Siedziała z naburmuszoną miną.

- Coś się stało? - zaniepokoiła się Katarzyna. - Jakoś nieszczególnie wyglądasz...

- Źle się czuję - wyjaśniła wampirzyca. - Nic takiego - dodała. - Przejdzie.

Katarzyna odpałała komputer. Firma Świntex, część grupy producenckiej Polkielbas. Sprawozdania z działalności, wyniki finansowe, oferta... Chyba faktycznie ich samochód znalazł się tam przypadkiem. A może został skradziony przez Bractwo na potrzeby tej akcji?

Do diaska! A jeśli...? Nagła myśl poraziła ją niczym grom. A jeśli to nie przypadek i da się znaleźć powiązania pomiędzy Świnteksem a Herberto?

* * *

- Co to było? - Wilk szarpnął Alchemika za ramię. Mistrz wyrwany ze snu natychmiast doszedł do siebie, ale popatrzył na niego półprzytomnie.

- Co takiego? - zainteresował się.

- Podales Łowcy Myśli przepis na jakieś świństwo! Otrułeś i jego, i dwu innych naszych towarzyszy!

- Jak niby miałem kogoś otruć, skoro siedzę tutaj? - zakpił Michał. - A swoją drogą, kto to jest Łowca Myśli?

- Nie zgrywaj się, bo gorzko pożałujesz! - syknął przywódca Bractwa.

- A jak się nie będę zgrywał, to oczywiście przeprosicie mnie i wypuscicie. Ten wasz telepata był całkiem niezły. - Więzień cmoknął z uznaniem. - Tylko dlaczego nie powiedział od razu, że potrzebuje przepisu na tynkturę? Włazł mi do głowy, faktycznie, przypominałem sobie akurat jedno doświadczonek... I co, zżarł to? - zaciekawiał się. - I jeszcze kumpli poczęstował. Jakie to szlachetne z jego strony. Bo, szczerze powiedziawszy, sądziłem, że pozabijacie się nawzajem i zostanie tylko jeden...

- Trzech naszych!

- To już mówiłeś. Czemu tylko trzech? Widać coś z proporcjami mi się pomyliło... - Zadumał się. - Tak, cholera. Ale to już tak bywa, gdy się w pamięci oblicza... Nie, u licha. A, już wiem! - W jego oczach błysnęło zrozumienie. - To było czterdzieści dawek śmiertelnych, tylko źle odczytał, ile trzeba zażyć na raz... Ta telepatia to poważne osiągnięcie naukowe, ale jak sądzę, trochę jeszcze niedopracowane. O, i zdaje się wykończyłem wam niechcący jedynego fachowca, który mógłby nad tym popracować. Szkoda, to wielka strata dla ludzkości. - Przybrał sztucznie zboląły wyraz twarzy.

- Ty... - Przywódca Bractwa wyciągnął pistolet i odbezpieczył z trzaskiem.

Przystawił Alchemikowi broń do skroni.

- Strzelaj, strzelaj. Będę cię straszył po nocy. - Mistrza, mimo częściowej porażki planu, nie opuszczał dobry humor. - Tylko pamiętaj, żeby nie dawać odstępów między końcem lufy a skórą. Będiesz mógł zawsze powiedzieć, że popełniłem samobójstwo.

Wilk opuścił spluwę. Spojrzał na zaczerwienione wokół prowizorycznego opatrunku udo Alchemika i uspokoił się.

- Czekaj, niedługo inaczej zaśpiewasz - warknął. W chwili gdy stał już na progu, Sędziwój chrząknął delikatnie. Wróg odwrócił się z nadzieją. - Tak?

- To był arsenian złota - powiedział więzień pogodnie. - Bardzo ciekawy związek chemiczny. Występuje w Polsce w postaci minerałów. Niestety, toksyczny jak piorun...

Drzwi zatrzasnęły się. Teraz dopiero uśmiech spelzł z warg mistrza. Popelnił dwa paskudne błędy. Po pierwsze, podał telepacie złe proporcje. Po drugie... No cóż, użył nie tej trucizny, której trzeba, i za szybko się dranie zorientowali. Trzeba było podsunąć im coś, co działa z równie śmiertelną skutecznością, ale za to powolutku. Żeby przez kilka dni nawet nie podejrzewali, że coś jest nie tak...

Michał przeciągnął się. Rana na nodze bolała coraz bardziej, stan zapalny obejmował kolejne warstwy tkanki. Główny wróg, Łowca Myśli, został wyeliminowany. Ale to nie koniec problemów. Trzeba wykończyć pozostałych. Wypalić pseudoalchemiczną sekte siarką i żelazem. Ich siedzibę zburzyć, zaorać i posypać solą, a w ruiny wbić osikowy kołek... Tak, aby już nigdy więcej się nie odrodzili. Tylko że nadal jest uwięziony, a to poważnie utrudnia wprowadzenie w życie tego błyskotliwego planu.

Trzeba odzyskać swobodę działania. W pierwszej kolejności wyrwać się na wolność. Przywiązali go do krzesła wyjątkowo starannie. Nawet gdyby się wyplątał, niewiele mu to da. Ściany są za grube. Podkopu też nie zrobi. Ze smutkiem musi stwierdzić, że o własnych siłach się stąd nie wydostanie.

Dziewczyny z pewnością wiedzą już, że został porwany. Zapewne przeryły całe miasto. Mistrz poznał możliwości Katarzyny, wie, jak błyskawicznie zdołała kiedyś odnaleźć Monikę. Skoro do tej pory go nie uwolniła, oznacza to, że porywacze zostawili zbyt mało śladów. Oczekiwanie na ratunek nie ma sensu. Zresztą bierność nie leży w naturze Sędziwoja.

Trzeba jakoś się porozumieć ze światem zewnętrznym. Jak tego dokonać? Siedząc wielokrotnie w różnych ka-

zamatach, opanował doskonale specjalny alfabet. Zna obie jego odmiany, tylko że ta umiejętność na nic mu się nie przyda. W sąsiednich celach nie ma nikogo. Co dalej? Można wysłać gryps na zewnątrz. Przeważnie robi się to za pomocą przekupionego strażnika. Można napisać coś widelcem na cynowym talerzu i wyrzucić oknem. Kiedyś, w czasie Rewolucji Francuskiej, siedząc w więzieniu Dyrektoriatu, widział tresowanego szczura, który przynosił wiadomości przyczepione do obroży. Słyszał też o udanych wysyłkach listu przy użyciu zwykłych gołębi.

Tu nie ma okien, szczurów, ba, w celi nie ma nawet myszy, bo co by tu jadły? Nie da się walić w rury, bo nie ma rur. Diabli nadali. Myślmy dalej. Zbudować radio? Gdyby miał choć głupią baterię i kawałek miedzianego drutu... A, do licha.

Poddać się? W jego słowniku nie ma takiego pojęcia.

Pozostaje zatem chyba tylko jedno. Telepatia. To znowu rodzi szereg problemów, wydawałoby się, nierozwiązywalnych. Przede wszystkim, nie ma zielonego pojęcia o naturze tych zjawisk. Jak to działa? Mózg jest nadajnikiem i odbiornikiem sygnałów. Arminius był w stanie wysłedzić Monikę, lecz brakowało mu precyzji - wiedział, że jest gdzieś w mieście, ale nie bardzo mógł zlokalizować konkretne miejsce.

Tylko że Monika nie nadawała świadomie żadnych sygnałów. Przyrodnik czuł echo jej myśli - podobnie jak posłany na tamten świat członek Bractwa był w stanie podsłuchać lub podejrzeć myśli Michała. Prawdopodobnie mózg jest nadajnikiem. Emituje jakieś fale niezależnie od woli swojego właściciela. Czy przenikają przez mur? Tak, telepata był w innym pomieszczeniu.

Teraz pytanie najważniejsze. Czy da się je emitować świadomie, tak, aby trafiły do konkretnej, wybranej osoby? Owszem. Myśliwy był w stanie nie tylko wysłać je świadomie, ale zaopatrzyć w coś w rodzaju klucza dekodującego albo programu do odczytywania treści cudzych wspomnień. Czy echo będzie na tyle precyzyjne, że da się tą drogą przekazać informacje? To trzeba będzie sprawdzić. Jak określić adresata? Nie ma pojęcia. Trzeba będzie zdać się na intuicję. Nie ma sensu „nadawać” do Stanisławy, Katarzyny czy Moniki. Zdolności telepatyczne muszą być niezwykle rzadką cechą, skoro przez czterysta lat nie spotkał nikogo, kto by to potrafił. Jednak w ostatnim czasie los zetknął go aż z dwoma telepatami. Jeden, ten należący do Bractwa, przypłacił to życiem... Zostaje Arminius, przebywający prawdopodobnie w Trondheim. Natura fal pozostaje niejasna. Czy można założyć, że przechodzą przez ziemię, nie napotykając oporu? Niestety nie. A od miasta na północy Norwegii dzielą Alchemika zarówno wypukłość planety, jak i bariera zbudowanych z granitu Gór Skandynawskich. A może są w stanie odbić się od jonosfery jak sygnał krótkofalówki? To także niewiadoma.

Uśmiechnął się. Niezależnie od przyszłego wyniku cieszy go samo uczestniczenie w eksperymencie poszerzającym granice ludzkiego poznania.

* * *

- A, do diabła z tym! - Agentka wyłączyła komputer.

- Nic nie udało ci się znaleźć? - zapytała Monika.

- Nic. Są dwie firmy, które mogłyby być powiązane z Bractwem Drugiej Drogi, ale najprawdopodobniej nie są. I tyle. Ściśle przestrzegają zasad konspiracji, nie mogą namierzyć nikogo, kto by należał do organizacji.

- Nikogo, komu można by przejechać pilnikiem po zębach? - mruknęła księżniczka domyślnie.

- Na przykład... Ty chyba też nic ciekawego nie znalazłaś?

Pokręciła głową. Szczerze powiedziawszy, nawet nie szukała...

- Myślę, że możemy liczyć jedynie na to, iż Alchemik zdoła się jakoś wyrwać im z rąk - powiedziała. - Chyba ma spore doświadczenie w uciekaniu z więzień.

- Jeśli jeszcze żyje - uzupełniła ponuro Katarzyna.

- Sądzę, że zabiją go dopiero, gdy wyduszą tajemnicę robienia tynktury - rozważała. - A kiedy posiadą ten sekret, zaczną robić złoto.

- Czyli, gdy cena kruszcu ostro pójdzie w dół, będzie to znaczyło, że *po ptokach*... I być może nie uda nam się nigdy ustalić, jaki los go spotkał.

- Wielu słynnych alchemików przepadło bez wieści - powiedziała Monika. - A jeszcze więcej skończyło marnie. To dziwne powołanie. Trzeba być twardym ciałem, a przede wszystkim duchem.

- Uhum... - Katarzyna zapadła w fotel.

Sięgnęła po szablę przyjaciela i wysunęła ją z pochwy. Długo i w zadumie oglądała wzorzystą klingę.

- Może przeczuł to już wtedy. - Przyjaciółka odgadła tok jej myśli. - Nawet jeśli zginie, pozostanie po nim wspaniała broń. Ta szabla to unikat. Za pięćset lat kolekcjonerzy dadzą za nią każdą cenę. - Wyjęła jej z dłoni rękojeść, rzuciła w powietrze papierową chustkę do nosa i jednym ruchem przecięła ją na pół.

- Broń kompletnie anachroniczna, nieprzydatna już w naszej epoce. Tak jak alchemia - szepnęła agentka. - Chyba mistrz nie do końca potrafi odnaleźć się w dwudziestym pierwszym wieku.

- A ja go rozumiem. Jest podobny do mnie. Przyszło nam żyć w innych czasach niż te, w których się narodziliśmy. My też jesteśmy anachronizmem, chodzącym wykopaliskiem, i tylko jakiś kaprys losu sprawił, że przetrwaliśmy tak długo.

- Hmmmm...

- Od każdej reguły jest jakiś wyjątek - powiedziała Monika. - Więc siłą rzeczy muszą istnieć jacyś nieśmiertelni. Alchemik, jego uczeń, ja, Stanisława... A kto wie, czy nie setki innych ludzi? Świat wokół nas niekiedy okazuje się bardziej skomplikowany, niż nam się wydaje. A czasem jest bardzo prosty, choć wydaje się złożony.

- Wiem - odparła Katarzyna. - Od kiedy odnalazłam kuzynkę, bez przerwy przekonuję się, że otaczająca mnie rzeczywistość skrywa drugie dno...

- A pod nim jest jeszcze trzecie. - Księżniczka puściła do niej oko.

- Jak myślisz, uda się go odnaleźć?

Monika zamyśliła się głęboko, a potem pokręciła przecząco głową.

- Fakt naszego istnienia to splot wielu sytuacji skrajnie nieprawdopodobnych - powiedziała. - Statystyka jest nieubлагana. Pomyśl, jakie jest prawdopodobieństwo, że zginiesz na skutek wypadku czy strzelaniny. Policz, jak rośnie w czasie wojny. Teraz wyobraź sobie, że żyjesz nie osiemdziesiąt lat, ale pięciokrotnie dłużej, i wielokrotnie trafiasz na tereny objęte działaniami wojennymi. Jeśli jesteś ładna, może potraktują cię jako łup wojenny. Zgwałcą, popędzą w niewolę, ale pozwolą ci żyć... W przypadku mężczyzny ryzyko śmierci rośnie i rośnie. Dlatego boję się, że tym razem już się nie wywinie. Świat jest przemyślnie skonstruowany. Ci, którzy łamią jego reguły, muszą zostać unicestwieni, wcześniej czy później, w ten albo inny sposób.

Katarzyna milczała, trawiąc w duchu to, co usłyszała.

- Więc co mam robić? - westchnęła. - Przecież nie mogę go tak zostawić!

- Szukaj go oczywiście. - Monika wzruszyła ramionami. - Statystyka to statystyka, jeśli się walczy, można ją trochę nagiąć... Tak jak wtedy, na podwórzu.

- Tak, opowiadał. Kazał ci uciekać, dlaczego nie posłuchałaś?

- Honor. Gdy nasz przyjaciel umiera, powinniśmy być przy tym. Powinniśmy wziąć sztylet w garść i stanąć u jego boku. Nawet wtedy, gdy nie ma żadnej szansy. Zwłaszcza wtedy. - Zamyśliła się.

Wspomnienie bolesne jak zadra. Nodar unosi szablę, uśmiecha się na pożegnanie. Ona dobywa swojej. Wpadli na dwu bułanych konikach prościutko na tylną straż tureckiej konnicy. Oboje szli na pewną śmierć. A jednak zdołała wylizać się z ran...

- Chyba niepotrzebnie ciągnęłam cię ze sobą - westchnęła agentka. - Chcesz wrócić na wieś?

Monika zamyśliła się.

- Może i tak - powiedziała. - Tęskniłam do miasta, ale teraz jakoś... Do niczego ci się nie przydadają. No i robotę rozgrzebaną zostawiłam.

Po kolacji zamknęła się w łazience. Wzięła szybko prysznic, a potem stanęła naga przed lustrem. Obejrzała się z przodu, potem ustawiła bokiem. Miał rację. Zielone jabłka... A, do diabła! I tak nie zamierza więcej się z nim spotykać.

* * *

Dopiero po dwóch dniach przymiarek udało się dobrze przygotować zasadzkę. Likwidację należało przeprowadzić tak, aby być z celem sam na sam. Gdyby ktoś nakrył ich przy robocie, mogło dojść do katastrofy, a mordowanie świadków jakoś nie leżało w etyce łowców.

Architekt, zamyślony, nadszedł od strony swojego domu. Nie zauważył rozpląszczonego w żałomie drewnianej ściany Arminiusa. Minął go spokojnie. Laszlo czekał przy samych drzwiach biura.

- O, pan łowca się pofatygował. - Riedel nie okazał zdziwienia ani niepokoju. - Jakie gustowne gumowe rękawiczki! To żeby uniknąć zakrwawienia?

- Żeby na nożu nie zostały odciski palców - odparł Węgier.

- Do tego używa się specjalnego lakieru - wyjaśnił Architekt. - A gdzież to jest pański pryncypał? - Obejrzał się odruchowo.

- Obecny - mruknął Arminius. Stał o dwa kroki za nim, dobył już szpady ukrytej w lasce.

- Co wam to da? Przecież i tak się odrodzę.

- Już nie. - Laszlo pokazał mu nóż desantowy. - Śmierć, że się tak wyrażę, rytualna powinna załatwić sprawę raz na zawsze. Może to trochę ryzykowne, ale spróbujemy. Proszę się położyć i nie stawiać oporu. Tak będzie mniej bolało.

- Tak na ulicy? - skrzywił się Riedel. - To niehygieniczne. Choć z drugiej strony, hm... Co mi bakterie zaszkodzą? Można?

Laszlo podał mu nóż. Architekt obejrzał napis na klindze i oddał broń.

- Z kaligrafii pała - mruknął. - Ale faktycznie, może zadziałać.

- Wybacz pan, żaden z nas nie jest mocny w hebrajskim. Przepraszam, czas ucieka, a nie chcielibyśmy używać przemocy...

- Otchłań śmierci, ostateczna granica ludzkiego poznania, ukojenie po wielu tysiącach lat pielgrzymki i tak dalej - powiedział Architekt. - Tylko jest jeden problem. Zupełnie nie mam ochoty umierać.

- Nikt nie ma ochoty - burknął Arminius. - Czasem po prostu trzeba.

- Mus to mus. Proszę jeszcze o minutę zwłoki, ostatni papieros przed śmiercią.
 - Ależ proszę bardzo, to każdemu skazańcowi wolno - uklonił się stary. - Jeśli mogę zaproponować, mam trochę doskonałej rakiji.
 - Nie odmówię - uśmiechnął się Riedel.
 Ujął srebrną piersiówkę i odkorkowawszy, pociągnął solidny łyk.
 - U! Ogień - powiedział z uznaniem. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio piłem takie delacje.
 Oddał butelkę staremu, wyjął papierosa z paczki, umieścił między wargami, przypalił i zaciągnął się potężnie. Oczy stanęły mu w słup i powoli osunął się po ścianie. Laszlo połapał się błyskawicznie, doskoczył i pchnął Architekta nożem w serce, ale obaj wiedzieli, że jest już za późno...
 - Do kata! - syknął stary. - Przechytrzył nas. Miał jakąś silną truciznę w filtrze albo zmieszaną z tytoniem.
 - Zastanowimy się nad tym później. Chodu - poradził jego uczeń.
 Co też niezwłocznie uczynili. Godzinę później siedzieli już w pociągu mknącym na wschód - do Sztokholmu.
 - Cholera - mruknął stary. - No nic, ja pewnie nie dożyję, ale ty musisz go dopaść, gdy znowu się wcieli. Będzie pewnie bardzo ostrożny, ale mamy czas, by się odpowiednio przygotować...
 - Co w dalszych planach?
 - Uniwersytet w Kabulu. A konkretnie, niejaka Anysza Safez.
 - Kim albo czym jest?
 - Tego właśnie nie wiem... Ale rozpoznała w Monice wampira na pierwszy rzut oka. Muszę uciąć sobie z tą panią pogawędkę i zapytać, gdzie, u licha, się tego nauczyła...
 - Będziemy potrzebowali afgańskich wiz. Skąd je wytrzaśniemy?
 - Spróbuję w ambasadzie USA w Warszawie. Pojedziemy do Polski.
 - Mistrzu...
 - Jeśli chcesz przy okazji odwiedzić Monikę... - Spojrzał na niego znad okularów. - Nie widzę problemu. Ciekawe, czy Alchemik jeszcze jest w kraju, czy pojechał na Tajwan...
 - Chcesz się z nim spotkać?
 - Mam takie dziwne przeczucie, że wpakował się w coś niedobrego.

* * *

Monika wstała o ósmej. Agentka już była na nogach, wbrew swoim wczorajszym deklaracjom znowu czegoś szukała w sieci. Księżniczka zajrzała do kuchni, zapasy były na wyczerpaniu. Wzięła torbę i poszła na Nowy Kleparz. Kupiła jajka, pieczywo, kielbasę i kurki. Na śniadanie będzie jajecznicą. Co miała dziś zrobić? Ach, tak. Musi odebrać łańcuszek z naprawy.

Wstąpiła po drodze do dwóch antykwariatów, popatrzyła na biżuterię. W sumie nic ciekawego, zwłaszcza że powinna trochę oszczędzać. Wprawdzie ma sporo odłożone, ale musi jej to wystarczyć do jesieni. Lato to marwty sezon na rynku tłumaczeń. Przeszła się Sukiennicami, podziwiając kramy zawalone pamiątkami-Zajrzała do Empiku, potem skręciła do znajomej bramy. Złotnik stanął na wysokości zadania, zapięcie wygląda jak nowe.

- Nie wie pan czasem, co to za kamień? - Przeciągnęła łańcuszek przez uszko medalionu i zawiesiła sobie błyskotkę na szyi.

- Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia. - Jubiler pokręcił głową. - Ale nie podoba mi się. Jest w nim coś... - Strzelił palcami, szukając odpowiedniego słowa. - Za to łańcuszek i oprawa bardzo ciekawe. Bardzo stara, scytyjska robota.

- Będę musiała pokazać to specjalistom...

Podziękowała, zapłaciła i wróciła na Rynek. Dokąd by tu iść? Powędrowała Floriańską. Katarzyna siedzi i próbuje namierzyć w sieci Bractwo. Nie ma sensu jej przeszkadzać. Jeśli będzie potrzebowała pomocy - poprosi o nią. Może faktycznie trzeba wskoczyć w pekaes i wrócić do Kruszewic?

Nie, bez sensu. Zanudzi się tam przecież na śmierć. A przecież... No tak, zapomniała. Paweł. Przecież nie skończył malować jej aktu. Wczoraj wybiegła od niego jak głupia, ale chyba się nie obraził?

Mały Rynek to tylko kilka kroków stąd... Po skrzypiących schodach wdrapała się na górę. Zapukała, nikt nie odpowiadał. Prychnęła wściekle. Poszedł gdzieś, zamiast czekać na nią? Już miała ochotę kopnąć w drzwi, gdy spostrzegła zwitek papieru wetknięty w dziurkę od klucza. Wyciągnęła go i rozprostowała.

Szkicuję mumie w muzeum archeologicznym - odczytała.

Pobiegła na dół, przeskakując po kilka stopni naraz. Była tam już kiedyś, ale wtedy poszli lochami...

Przymknęła oczy, usiłując odtworzyć z pamięci plan miasta.

W muzeum praktycznie nie było zwiedzających. Tylko w części poświęconej pradziejom hałasowała jakaś wycieczka. Monika zakręciła w stronę ekspozycji egipskiej. Paweł siedział na składanym krzeselku i szkicował w bloku sarkofag Merefą-Neczer-Tota. Na jej widok uśmiechnął się lekko, ale nie przerwał swojego zajęcia.

- Witaj.

Zrozumiała, że się nie gniewa, a nawet jeśli, to tylko trochę. Odrobinę.

- Cześć - bąknęła. - Robisz szkice do obrazu?

- Tak - potwierdził. - Zawsze lepiej zdejmować z natury niż malować na podstawie reprodukcji. W tej sali można wyczuć odległe tchnienie ludzi, którzy odeszli i których prochy dziwnym zbiegiem przypadków tu właśnie spoczęły.

Księżniczka przypomniała sobie tamtą straszną noc sprzed kilku miesięcy. Przelamując lęk, nachyliła się, by spojrzeć pod malowane wieko trumny uniesione lekko na drewnianych kołkach. Mumia zachowała się w kiepskim stanie. Zetlałe, zbrązowiałe bandaże, żółta czaszka pokryta już tylko resztkami wyschniętej, spękanej tkaniki. Monika przeszła kawałek dalej, minęła zabalsamowane zwłoki tancerki w ozdobnym kartonażu, obok na filarze wisiały zdjęcia rentgenowskie i komputerowo odtworzona twarz kobiety zmarłej przed blisko trzema tysiącami lat. Poczowała, że Paweł stoi tuż za nią.

- Żyli, kochali się, mieli swoje pragnienia i ambicje. A dziś są martwi - szepnęła. - Ich drobne sukcesy i porażki nikogo już nie obchodzą. A zwłaszcza nie obchodzą nas, bo my jesteśmy tak pełni życia... Położył jej dłoń na ramieniu.

- Chodźmy stąd - powiedział. - Dzień jest zbyt piękny, by spędzać go w tej trupiarni.

Wyszli na Planty.

- Pójdziemy do ciebie? - zapytała. - Powinam dokończyć pozować...

- Nie dzisiaj. - Uśmiechnął się lekko. - Zresztą ten akt prawie już skończyłem.

- Beze mnie? - zdziwiła się.

- Potrafię, jeśli trzeba, malować z pamięci. Zwłaszcza że pewnych rzeczy nie zapomina się tak łatwo. - Jego spojrzenie jakby od niechcienia prześlizgnęło się po zgrabnej lędze księżniczki.

Usiedli na ławce. Otworzył blok i zabrał się za szkicowanie. Ponura komora grobowa, zarzucona sprzętami zniszczonymi przez rabusiów. Pośrodku otwarty antropoidalny sarkofag. W nim - leżąca, naga dziewczyna. Twarz zaznaczył kilkoma zaledwie kreskami, ale Monika bez trudu rozpoznała siebie.

- Egipcjanie byli dziwnym narodem - powiedział, patrząc gdzieś w przestrzeń. - Chyba nigdzie indziej, w żadnej cywilizacji, nie splatało się tak ściśle to, co żywe, i to, co martwe... Uaaa... nie mogę myśleć w tym upale. Wpadniesz po południu?

- Jasne! - zgodziła się natychmiast. - O której mam być?

- Może o piętnastej?

Powłokła się do domu. Student ma rację, jest taki skwar, że trudno oddychać. Katarzyna siedziała przy stole i czyściła rozłożony pistolet. Części poukładała na gazecie, przecierała bawełnianą szmatką jakiś detal.

- Coś się szykuje? - zaciekała się księżniczka.

- Nie, ale czasem przeczyścić trzeba - mruknęła agentka. - Zrobisz obiad?

* * *

Omal się nie spóźniła. Dostała zadyszki, gnając przez miasto, ale wpadła do pracowni Pawła za minutę trzecia. Okno było otwarte na oścież, w powietrzu unosił się jeszcze ślad jakiegś paskudnej woni. Chłopak na powitanie musnął delikatnie wargami jej policzek.

- Wybacz - powiedział. - Już wietrzę.

- Coś się...? - Pociągnęła nosem.

- Słonina mi się zaśmiardła w kuchni - wyjaśnił. - Zostawiłem rano na stole, a na tym poddaszu robi się gorąco jak w piekarniku. Wystarczy kilka godzin i katastrofa gotowa.

- Wszystko się psuje w taki upał. - Kiwnęła głową. Przyniosła sobie krzesło i zaczęła się rozbierać. Popatrzył na nią zdezorientowany.

- Co robisz? - zdziwił się.

- Muszę dokończyć pozowanie...

- Mówiłem ci już, że nie trzeba.

- Ale ja...

Wziął z patery owoc i podrzucił go na dłoni.

- Są ludzie, którym wystarczają mandarynki. Ja wolę pomarańcze - powiedział z kpiącym uśmiechem.

Po raz drugi wybiegła od niego, trzaskając drzwiami. Wróciła do domu.

Po drodze nieco ochłonęła. Nie chce - to nie! Katarzyna siedziała przy komputerze.

- Masz coś nowego? - zaciekała się Monika.

- Ustaliłam, że Swintex i Herberto mają tego samego właściciela, małą firmę z Luksemburga. Ale niewiele z tego wynika. Wszystkie adresy zastrzeżone. Jeszcze poszukam...

- Chcę wracać do Kruszewic. O ile nie jestem ci potrzebna?

- Chyba nie. Tam w każdym razie przydasz się bardziej. Zaraz sprawdzę ci autobusy. - Otworzyła na ekranie nowe okno. - Hm, za czterdzieści minut. I będziesz musiała dojść sześć kilometrów pieszo.

- Żaden problem. W takim razie lecę. - Pożegnała się i pobiegła.

Trzy godziny później, stojąc na przełęczy, patrzyła w dolinę. Dwór był już ukończony. Obok na dawnych fundamentach wyrosły nowe budynki gospodarcze. Zabudowania PGR-u na ich tle wyglądały jeszcze fatalniej.

Stanisława zagoniła jednak tubylców do roboty. Barak mieszczący kiedyś chlewnię został częściowo rozebrany, gruzem wypełniono największe dziury w szosie. Dziedziczka wyszła na ganek i widząc Monikę, pomachała dłonią.

* * *

Księżniczka wymknęła się z dworu o świcie. Po całonocnej ulewie grzybów powinno być w bród... Zastanawiała się, czy osiodłać sobie konia, ale doszła do wniosku, że nie ma sensu. Ruszyła pieszo. Pierwsze, drobne, żółte kurki ukryte w mchu znalazła już na skraju lasu pomiędzy drzewami. Nieco dalej, ale jeszcze przy ścieżce, rosło kilka maślaków. Zagłębiła się w chaszce. Koszyk szybko napelnił się grzybami do połowy. Gdzieś tu powinna być polana... Wyszła na otwartą przestrzeń. Dopiero po chwili spostrzegła namiot. Stał pod rozłożystym świerkiem, oliwkowozielony tropik zlewał się z otoczeniem. Już wiedziała. Paweł siedział na składanym krzeselku koło wejścia. Uśmiechnął się, jakby nie było wczorajszej kłótni.

- Witaj - szepnął, wstając. - Przyjechałem...

- Ja... - wykrztusiła.

- Pomyślałem, że może jednak warto od czasu do czasu skosztować i jagnięcego mięska...

Bez słowa padła mu w ramiona. Ich usta odnalazły się, wsunął dłonie pod jej bluzkę. Zadrżała, ale przywarła mocniej.

- Czekałem tu na ciebie - wymruczał, całując ją w szyję.

Poczuła ogień w żyłach, w jej ciele przebudziły się dawne pragnienia. Nawet nie wiedziała, jak znalazła się wewnątrz, pod płóciennym dachem, na szerokim, dmuchanym materacu. Leżeli obok siebie przytuleni, spleceni tak mocno, jak na to pozwalały ubrania. Wsunął udo między jej kolana, zacisnęła je, ale uścisk zaraz osłabł. Znowu ją całował.

Na co czeka? - przemknęło jej przez głowę.

Była gotowa natychmiast mu się oddać, ale on nawet o tym nie myślał. Nadal gładził ją zmysłowo, jakby badał ciało. Nie mogła już wytrzymać, zdarła bluzkę przez głowę. Sięgnęła na plecy, odnalazła zapięcie stanika. Złapał jej dłoń.

- Za wcześniej - szepnął. - Poczekajmy z tym jeszcze kilka dni.

Szarpnęła się w uścisku. Paweł był nadszpodziewanie silny, bez wysiłku oderwał jej dłoń od haftki. Przez chwilę całował jej piersi, dochodząc do linii koronek, po czym z uśmiechem puścił.

- Nie róbmy nic pochopnie. Zobaczymy się jutro - powiedział. - Jeśli nadal będziesz chciała, pozbawię cię cnoty...

- Nie jestem dziewicą.

- Cielaczku, co innego zabawy z niedojrzałymi jak ty rówieśnikami, a co innego zaloty dojrzałego i doświadczonego w sztuce miłosnej mężczyzny.

- Chcę teraz.

- Pal diabli, wpadnę po ciebie dziś wieczorem - syknął. - Idź już, muszę popracować.

Prychnęła jak kotka i wyczołgała się z namiotu. Świeże powietrze oszołomiło ją na moment. Naciągnęła bluzkę i podniosła koszyk z miejsca, gdzie upadł. Ruszyła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Co sobie myśli gnojek, że będzie go prosić? Niedoczekanie. Wzgardził darem jej ciała. Eunuch i palant na dodatek... Znowu poczuła się obrażona, zraniona, odrzucona. Na szczycie wzgórza trochę ochłonęła. Usiadła na kamieniu. Nadal czuła dotyk jego rąk błędzących po plecach. Lekko podrażnione pocałunkami wargi drżały. Przesunęła dłońmi po piersiach. Nie spodobały mu się? Może to przez ten cholerny tatuaż? Wreszcie wstała i powlokła się do dworu.

Ihor stał w lekkim rozkroku i z niezwykłą wprawą pracując ciosłem, wycinał z grubej kłody koryto do karmienia gęsi.

- Coś ty taka przygaszona? - Spojrzał na nią z niepokojem.

- Pilnuj swojego nosa - burknęła. Odprowadził ją wzrokiem i zamyślił się tak, że omal nie trafił siekierką we własną nogę.

* * *

Powrót do przytomności był tym razem szczególnie trudny. Mistrz Michał długo leżał, walcząc z zawrotami głowy. Fotel? Nie, wrzucili go z powrotem do celi. Uniósł z wysiłkiem ciężką, jakby obcą rękę i dotknął czoła. Uuu... Jak nic, czterdzieści stopni gorączki. W zranionej nodze prawie już nie miał uczucia. Ból szarpał mięśniami na wysokości pachwiny. A zatem wywiązała się sepsa, ogólne zakażenie. Liznął w życiu nieco medycyny. Umie ocenić swój stan.

To już koniec. Zostało mu może kilkanaście godzin życia. Nic go nie uratuje, ani surowica, ani amputacja i transfuzja krwi. No cóż, przeżył pięćset lat i widać wystarczy. Zamyślił się. Czy w swoim życiu popełnił coś,

czego musiałby się wstydzić? Przez blisko połowę milenium trochę się tego zebrało. Kilka razy nie zauważył pojawiającej się szansy. Nie zdołał też uratować swojego najlepszego przyjaciela, choć z drugiej strony, przecież próbował. Czynił dobro, ale czy może powiedzieć, że wykorzystał wszystkie okazje, by to robić? Z pewnością nie. Zabił niezliczoną liczbę rozmaitych sukinsynów, ale miał przecież możliwości, by zlikwidować ich więcej... Jego odkrycia z dziedziny chemii i biologii, publikowane pod różnymi nazwiskami, popchnęły nieco rozwój nauki. Geniuszem nie jest, ale ludzkości trochę się przysłużył.

Nie zostawił po sobie potomków, ale jego uczennica Stanisława... To prawie tak, jak mieć córkę. Przemierzył ogromne przestrzenie, poznał masę fascynujących ludzi, skosztował co najmniej kilkuset gatunków piwa. Walczył o wolność na frontach kilku bardziej lub mniej zapomnianych wojen. Żył intensywnie, każdy rok, który odszedł w przeszłość, może uznać za udany. A zatem umiera z czystym sumieniem. Przeszedł przez życie godnie, z pożytkiem dla siebie i bliźnich. Ma prawo uznać się za szczęśliwego człowieka. Tylko ta jedna, ostatnia, głupia, niedokończona sprawa. Bractwo Drugiej Drogi. Na wpół sparaliżowany, konający nie zdoła tych drani wytluc do ostatniego... Potrząsnął głową. Co za idiotyczny defetyzm! Jak to nie zdoła?!
- Wilku! - zawołał na głos. - Chodź no tu, *sobaczko* kochana! Pogadamy.

Nie minęły dwie minuty, gdy drzwi skrzypnęły i stanął w nich zakapturzony typek.

- Dojrzałeś, widzę, do rozmów. A już traciłem nadzieję...

- Dojrzałem i proponuję układ. Ale chcę go zawrzeć nie z tobą, ale z całym Bractwem - powiedział Alchemik. - Jeden człowiek dotrzyma albo i nie dotrzyma słowa. Co innego, gdy zbierze się kilku. Poza tym, jeśli przekażę sekret czerwonej tynktury wszystkim, nikt nie będzie mógł potem wykiwać swoich towarzyszy...

- Wszyscy bracia będą tu w ciągu dwudziestu minut. - Wyjął z kieszeni telefon komórkowy. - Co będzie ci potrzebne? I czego oczekujesz w zamian?

- To chyba mnie wykańcza. - Wskazał ranę na udzie. - Muszę jechać do szpitala.

- Pokażesz nam, jak się robi kamień filozoficzny, sprawdzimy, czy nas nie wykiwałeś, i wezwiemy karetkę - zaproponował.

- Zgoda. Niech tak będzie. Dzwon po swoich kumpli.

Pół godziny później przeniesiono go na noszach do laboratorium. Usiadł z trudem i przeliczył ich wzrokiem. Siedmiu. Jeden, ciężko wsparty na szwedce, to ten, któremu w uliczkę rozharatał biodro. A zatem chyba komplet.

- Zanim przystąpimy do eksperymentów, jeszcze jedno zabezpieczenie - warknął Sędziwój. - Dajcie mi mój telefon. Sam zadzwonię po pogotowie.

Wilk wzruszył ramionami i wręczył mu komórkę. Pozostali rozstawili na stołach palniki oraz wagi laboratoryjne.

- No to na początek bierzecie dziesięć gramów rtęci - zadysponował.

Starannie i powoli wykonywali jego kolejne polecenia. Sprawdził sobie tętno. U, cholera, bardzo niskie ciśnienie. Gorączka rosła, czuł nasilający się ból węzłów chłonnych, serce słabło. Posocznica powaliła go i umrze w drgawkach. Ale zanim to nastąpi...

- Mieszaninę umieście w atanorze - polecił. Zamknęli jajo filozoficzne, wsadzili je do piecyka. Uśmiechał się pod nosem, widząc, jak w skupieniu obserwują zachodzące wewnątrz procesy. To najważniejsze, zanim definitywnie odejdzie się z tego świata, trzeba jeszcze na zakończenie zrobić coś naprawdę wielkiego, efektownego, coś, co długo pozostanie w pamięci potomnych.

- Zadzwonię do znajomej - powiedział.

Wilk ponownie wzruszył ramionami i kiwnął głową na znak zgody. Mistrz Michał wystukał numer Stanisławy.

- Halo?

- Witaj, ulubiona uczennico. - Powoli i starannie dobierał na wpół zapomniane amharskie słowa.

Jest kilka języków, którymi oboje władają, wybrał najbardziej egzotyczny. Nie lubi być podsłuchiwany.

- Mistrzu! Gdzie jesteś?

- No cóż, szczerze powiedziawszy, to już mnie nie ma - powiedział. - Zadzwoniłem, żeby się pożegnać. Umieram.

- Co?!

- Wpadłem w łapy Bractwa Drugiej Drogi i zdecydowałem podzielić się z nimi owocami moich odkryć. Postanowiłem pokazać im mój największy sekret, otworzę przed nimi serce.

- Mistrzu... - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Nie martw się. Bądź grzeczna, to spotkamy się kiedyś w niebie.

- Mistrzu...

- Pozdrów dziewczętą.

Wyłączył telefon. Nie lubi długich pożegnań.

- Zawartość zrobiła się czerwona - zaraportował ten wsparty na kuli.

- Znakomicie, wygaście piec i schłódźcie - rozkazał. - Pamiętajcie po kolei wszystkie etapy?

- Tak - mruknął któryś. - Trudne to w sumie nie jest...

- Na pewno nie tak trudne, jak mordowanie niewinnych ludzi i spuszczenie z nich krwi - warknął. - Aż dziwne,

że do tej pory was nie złapali.

- Umarzałem wszystkie dochodzenia - roześmiał się jeden z zakapturzonych.

- Coś podobnego. - Alchemik pokręcił głową z uznaniem. - Widzę, że zadbałście prawie o wszystko.

- Mamy swoje wtyczki wszędzie. No, może mieliśmy - westchnął Wilk. - Trochę nas przetrzebiłeś... Ale, jak mówi przysłowie, Chińczyków jest miliard, wszystkich nie zabijesz. Siedmiu z nas doczekało chwili, o której Bractwo marzyło od pięciu stuleci.

- Gratuluję - zakpił.

Wydobyli szklane jajo.

- Rozbijcie je - rozkazał.

Wewnątrz pośród grudek jakichś związków chemicznych lśniła garść czerwonych kryształów.

- Jak tego używać? - zapytał któryś z braci.

- Wrzucicie do retorty i postawcie na palnik, niech się stopi - polecił.

Kilka minut później w butli przelewała się kropla gęstej, czerwonej cieczy. Początkowo była ciemnopurpurowa, potem jednak, zdjeta z ognia, zbladła.

- I to jest właśnie tynktura, słynny eliksir życia? - upewnił się przywódca. - Ile złota można otrzymać za pomocą tej dawki?

- Trochę was oszukałem. - Mistrz Michał uśmiechnął się pod wąsem. - To substancja zwana sercem złotego słońca.

- Ostateczna tajemnica materii, której bezskutecznie poszukiwali najsłynniejsi alchemicy - wyszeptał zdumiony Wilk.

- Jak to działa? - zaciekawił się kulawy.

Ciecz w tym czasie zrobiła się krwistoczerwona, a potem delikatnie różowa. Proces zachodzący w kolbie nabrał tempa.

- To czynnik udoskonalający substancje, przy umiejętnym użyciu pozwalający nie tylko na trywialną przemianę ołowiu w złoto, ale na przykład kamienia w chleb - wyjaśnił Sędziwój. - Daje moc niemal równą boskiej. Pozwala czynić cuda. Jego wszystkie właściwości nie są znane. Ale w tej chwili interesuje nas tylko jedna. W nieodświadczonych rękach serce to materiał wybuchowy o fantastycznej mocy. Jeśli dobrze wszystko wyliczyłem, macie w rękach dwa gramy tej substancji, czyli rąbnie z mocą dwóch ton trotylu.

Stali zbaranieli. Michał tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zrobiło mu się trochę głupio, że ostatnim czynem, który popełnił w życiu, było oszustwo, w dodatku tak mało finezyjne. Trudno. Przynajmniej dochowa wierności tradycji. Prawdziwie wielki alchemik nie ma grobu. Nie umiera na oczach ludzi, ale znika bez śladu. Nikt nigdy nie znajdzie jego ciała. Nic, co można by zidentyfikować... Szkoda zabytkowego fortu, ale ukochane miasto tym razem ocaleje.

Ciecz zabłysła jak kometa. Czyli pomodlić się już nie zdąży... Czas zwolnił, upuszczona przez Wilka retorta zawisła w powietrzu. Kropla ognia w jej wnętrzu płonęła niczym prawdziwe słońce. Jej światło wydobyło z mroku szczegóły rzeczywistości do tej pory niedostępne jego oczom... I naraz spostrzegł, że pomieszczenie pełne jest ludzi. Niektórych znał osobiście, innych widział tylko na mniej lub bardziej udanych portretach. Większość dopiero pozna... Avicenna, Paracelsus, John Dee, mistrz Twardowski, Fulcanelli, Arabowie w burnusach, Chińczycy, magowie chaldejscy i asyryjscy. Dwie kobiety w greckich tunikach, ta ruda to pewnie Hypatia, ostatnia strażniczka Biblioteki Aleksandryjskiej... Jego bracia, alchemicy. Ci wszyscy, którzy uwierzyli w to, co niemożliwe, i poświęcili życie na poszukiwanie prawdy. Przed ich szereg wysunęła się para. Mężczyzna we flamandzkim płaszczu hanzeatyckiego kupca i kobieta w błękitnej sukni. Przybysz uśmiechnął się i wykonał zapraszający gest.

- Tereso ukochana - wyszeptał Sędziwój. - Setonie, przyjacielu... Idę do was...

Przeżegnał się pospiesznie. Czas ruszył. „Bracia” biegli w stronę drzwi. Ale żaden z nich nie zdążył. Szklana butla dotknęła ceglanej posadzki.

Rozdział 8

Zadzzwonił telefon w kieszeni Katarzyny. Rzuciła okiem na wyświetlacz i uniosła go do ucha.

- Witaj!

- Słuchaj mnie bardzo uważnie. - Głos Stanisławy był poważny i zaskakująco surowy. - Alchemik za chwilę umrze. Połóż się natychmiast płasko na ziemi.

Agentka posłusznie padła na trawnik. W słowach kuzynki pobrzmiwała straszliwa determinacja.

- Myślę, że wiem, gdzie go trzymają - powiedziała do słuchawki. - To może być hurtownia, fort na Nowym Kleparzu.

- Ale...

- Część umocnień dzierżawi firma Vinmexpol należąca podobnie jak Herberto i Świntex do luksemburskiej spółki Beta.

- Daj mi...

- Idę o zakład, że tam go uwięzili. To idealne miejsce! Spróbuję coś przewąchać. Jestem niedaleko...

- Zamknij się wreszcie! - ryknęła alchemiczka. - I słuchaj! Uczyli cię, co robić w razie wybuchu atomowego? - W jej głosie drżało przerażenie. - Osłoń głowę rękami, stopy w kierunku epicentrum, wykorzystaj wzniesienia terenu, mury, cokolwiek, byle się ukryć przed rozbłyskiem i falą uderzeniową!

- Co?! - Katarzyna przekreśliła się, odruchowo wykonując polecenie, i wtoczyła za ciężką, głęboko wrośniętą w ziemię, betonową donicę.

- Jeśli się nie mylisz, epicentrum będzie w forcie!

- Co? - wykrztusiła ponownie. - Co ty...?

Trawnik pod nią podskoczył i zatańczył, gdy przechodziła fala sejsmiczna. Ćwierćtonowa donica także drgnęła, obluźowała się w swoim gnieździe, ale na szczęście pozostała na miejscu. Agentka jęknęła, zasłaniając oczy przedramieniem.

Stary fort eksplodował jak wulkan, odłamki cegieł czerwonym gradem opadły na majdan fortyfikacji. Fala uderzeniowa wstrząsnęła budynkami hurtowni win importowanych. Agentka wyobraziła sobie tysiące pękających butelek. Na trawnik wokół niej padały kawałki gruzu, dachówki i odłamki szyb. Głuchy huk przetoczył się nad miastem i odbił echem od okolicznych wzgórz.

Katarzyna, wstrząśnięta i zszokowana, potrząsnęła głową. Trening zrobił swoje. Błyskawicznie odzyskała zdolność logicznego myślenia. Jak blisko była? Do diabła, może trzysta metrów. Fala termiczna? Nie, już jej nie będzie, idzie przed falą uderzeniową. W uszach jej dzwoniło. Huk całkiem ją ogłuszył. Radiacja? Szlag, musiała oberwać potężną dawkę. Odruchowo spojrzała na zegarek. Mała wskazówka rentgenoradiometru nawet nie drgnęła. A poza tym... Poza tym impuls elektromagnetyczny powinien rozwalić kwarcowe urządzenie w drobny mak, a tymczasem cyferki sekundnika przeskakiwały jakby nigdy nic. I nawet ma sygnał w telefonie! Odetchnęła z ulgą. Kuzynka się pomyliła, to nie był wybuch atomowy. Zresztą Kraków przecież stoi...

- Żyję - rzuciła do słuchawki. - Skażenia chyba nie ma. Ale rąbnęło... - Ledwo słyszała własne słowa.

Przez długą chwilę ze zgrozą patrzyła na wznoszący się nad Kleparzem słup dymu. A więc Alchemik nie żyje... Straszliwy żal ścisnął jej serce. Nawet nie zdążyła mu powiedzieć, że...

Gdzieś daleko zawyła syrena wozu strażackiego, za moment dołączyła do niej druga i trzecia. Ciężko zranione miasto błyskawicznie zmobilizowało swoje służby. W rejon katastrofy ruszyły karetki i wozy policyjne.

- Wracaj do Kruszewic - poleciła Stasia. - Alchemik właśnie odszedł. Możemy mu pomóc już tylko modlitwą...

Opuściła telefon i usiadła ciężko na ganku. Serce słońca. Zna tę nazwę, pamięta, jak mistrz opowiadał o nim kiedyś, dawno temu... Zamknięta w probówce siła, jaką posiada wyłącznie wnętrze gwiazdy. Moc syntezy termojądrowej, która zamienia wodór w hel, powoduje powstanie węgla i cięższych pierwiastków. Najbardziej zagadkowa substancja, z jaką kiedykolwiek zetknął się człowiek. I chyba najbardziej niebezpieczna.

Minęła przeszło godzina, zanim trochę oprzytomniała. Powlokła się do swojego pokoju i nalala sobie pół szklanki śliwownicy.

- Twoje zdrowie, mistrzu, gdziekolwiek jesteś - szepnęła.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju. Stanisława przełknęła zawartość naczynia jednym haustem.

- Proszę.

W drzwiach stanął Ihor. Popatrzył na nią badawczo.

- Coś złego się stało? - zapytał.

- Właśnie się dowiedziałam, że nasz przyjaciel nie żyje...

- Przepraszam, że w takim momencie, ale nie mogę tego odłożyć na kiedy indziej...

Od razu zrozumiała, że coś jest nie tak. Był bardzo poważny.

- Proszę mówić - poleciła.

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Mogę prosić o kilka minut?

- Jasne. - Wskazała mu drugi fotel. Pokręcił przecząco głową.

- Nie chcę o tym mówić w miejscu, gdzie mogłaby nas usłyszeć. Chodźmy na spacer.

Alchemiczka uśmiechnęła się lekko. Od dawna żaden mężczyzna nie proponował jej wspólnej przechadzki...
Poderwała się, wsunęła stopy w sandały.

- Oczywiście.

Upał nieco żelzał, ruszyli w stronę lasu.

- Niepotrzebnie boicie się Moniki - powiedziała. - Jest...

- Wiem. - Kiwnął głową. - Słyszałem o takich jak ona. Już się jej nie boimy. Boimy się o nią.

- Coś się stało?

Ponownie kiwnął głową i rozejrzał się odruchowo. Las był pusty, tu, na skraju, drzewa rosły daleko od siebie. Nikt go nie usłyszy.

- Ona się zmienia - powiedział. - Słabnie fizycznie i ciągle jest zmęczona. Jakby ktoś przestawił jej wewnętrzny silnik na połowę obrotów. - Znalazł mało poetyckie porównanie.

- Hm, może to naturalny proces? - Zadumała się. - Ma ponad tysiąc dwieście lat...

- Ile?! - Wyrzeszczył oczy. - Myślałem, że nie więcej niż trzysta, czterysta - mruknął. - Jak ty.

- Skąd wiesz? - Spojrzała na niego dziko.

- Używasz bardzo starego dialektu naszego języka. Nawet dla Tarasa Szewczenki byłby archaiczny. Eliksir życia?

- Coś w tym guście. - Uśmiechnęła się zażenowana.

Odpowiedział uśmiechem.

- Jeśli wykluczmy naturalne procesy - wrócił do tematu - nasuwa mi się jedno rozwiązanie... Pasożyt.

- Na tasiecmce są dobre lekarstwa.

Popatrzył na nią, jak nauczyciel z naganą spogląda na wyjątkowo mało rozgarniętego ucznia.

- Mieszkałaś na Ukrainie?

- Do jedenastego roku życia. Kruszewice Nowe leżały dwa dni drogi od Kijowa. Żyło się nieźle, ale co pięć lat trzeba było odbudowywać majątek od fundamentów. Tatarzy, Kozacy, sąsiedzi też robili zajazdy... W końcu mieliśmy dość, bo ile można się szarpać.

- Znasz nasze legendy?

- O złydniach, o żołnierzu, który wsadził bidę do bukłaka, o dytkach, co lubią babie na karku pojeździć, o wielkim wężu, zwanym położ... - Przypominała sobie.

- A o żmiju, zwanym też meteorem?

Pokręciła bezradnie głową.

- Księżniczka Monika ma medalion... - Wolnym ruchem nabił fajeczkę na długim cybuchu. - Skąd go wzięła?

- Znalazła, pływając w stawie. Leżała na dnie. Dlaczego pytasz?

- Zidentyfikowałyście kamień?

- Nie... Dziwny jest, wygląda jak jakiś syntetyk. Też zwróciłeś na to uwagę? Co, twoim zdaniem, jest nie tak?

- To nie było przypadkowe znalezisko - powiedział. - Medalion jej podrzucono albo położono tak, aby go znalazła.

- Na dnie stawu? - zakpiła łagodnie.

- A może...? - Pyknął z fajki. - Może było inaczej? Może poprzednia dziewczyna zorientowała się, co jest grane, i wrzuciła go do wody, licząc, że nikt nigdy go nie odnajdzie? Może to jednak przypadek? - Zamyślił się.

- Nie widziałeś go z bliska - zaprotestowała. - Gruby, złoty łańcuszek, oprawa, w sumie ze sto gramów kruszcu, może więcej... Nikt nie wyrzuca czegoś takiego, a tym bardziej nie podkłada nikomu w prezencie.

- Za wyjątkiem ich... - powiedział i zamilkł.

- Wykrztuś wreszcie, co masz na myśli - zażądała.

- Po pierwsze, nic z tego, co mówimy, nie może trafić do niej. Gdy przyjdzie czas, dowie się.

- Obiecuję - burknęła. - Mów konkretnie.

- Smoki, żmije, meteory to rodzaj pasożytów. Działają podobnie jak wampiry. Żyją, kradnąc życie innych istot. To bardzo stara i paskudna legenda.

- Może po prostu w okolicach Kijowa nie była znana?

- Tak mi się wydaje. Albo byłaś za młoda, bo chyba byś ją zapamiętała. Albo minęło zbyt wiele czasu. Żyjesz tak długo, ale pewnie pamięć działa ci jak...

- Zapominam - przyznała. - To, co najważniejsze, wraca we wspomnieniach, ale szczegóły uciekają. Pamiętam, że siedziałam przy kądziółce i darłam pierze w blasku świec, słuchając opowieści, ale ich treść to już tylko biała karta...

- Tak musiało być. Sprowadziliście tutaj swoich ludzi. Ukraińskich...

- Chłopów? Tak. Spytałiśmy, czy chcą jechać, czy zostać, i prawie wszyscy wyruszyli z nami. Ci tam - wskazała baraki - to ich potomkowie w... no, może piętnastym pokoleniu. Oczywiście od dawna spolonizowani.

- I pewnie nie pamiętają starych legend. Ale wszystko się zgadza. Musiał żyć tam, gdzie wy. Przybył tu waszym tropem. Bo takie istoty chyba nie występują w tej części świata.

Przez wieś przejechał czerwony fiat. Katarzyna wracała. Alchemiczka wyjęła z torebki lusterko i puściła kilka zajączków, aby zwrócić jej uwagę. Agentka zaparkowała i po chwili nadeszła ścieżką.

- Co się... - zaczęła, ale Stanisława uciszyła ją gestem.

- Powiedz, co wiesz - nacisnęła cięśle.

- Zaczyna się od tego, że dziewczyna znajduje jakiś przedmiot. Czasem może to być jedwabna chustka, częściej jakiś kosztowny drobiazg. Dziewczyna zabiera go i wszystko zaczyna się zmieniać. Jej psychika... W duszy budzą się myśli, które wychowanie zepchnęło na margines. Staje się krnąbrna, nieposłuszna, samolubna. Może być agresywna, może szukać okazji, żeby się wyładować, zniszczy coś albo i kogoś zabije. I wreszcie to ostatnie. Najważniejsze. Wybacz pytanie, jesteś panną?

- W zasadzie wdową - mruknęła.

Nigdy dotąd tak o sobie nie myślała. Bo przecież wdowa to czcigodna matrona otoczona wianuszkami dorosłych dzieci i wnuków, ciesząca się szacunkiem sąsiadów i przyjaciół. A ona...

Drzwi karczmy „Gościniec” wybite kopnięciem odskoczyły w bok. Kilka stromych, kamiennych schodków wiodło w dół. Wpadła do zadymionego wnętrza jak burza, króćca za pasem, w jednej dłoni szabla po tacie, a w drugiej reżniewski majcher, największy, jaki udało się kupić w mieście.

Sala była bardzo duża i obszerna. Wysoki strop podpierało kilka filarów. Przy stołach ucztowali pospołu szlachta, mieszczaństwo, żacy. W cynowych kufkach i glinianych kubkach chlupotało piwo. Deski zastawiono michami pierogów, kaszy, ryb i mięsiwa. Dym z kuchni szczywał w oczy. Jakiś bogaty chłopina wyskrobywał z naczynia ostatnie skwarki. Może pierwszy raz w życiu odwiedził miasto i tak wykwinął lokal? Minę miał, jakby zaproszono go co najmniej na królewski dwór...

Przez tłum ludzi wypatrzyła swój cel. Tylko jak się tam dostać? Skoczyła i przebiegła po stole.

- Asanka, co wyrabiacie! - Dobiegł ją zgorszony okrzyk jakiegoś hreczkosieja, któremu niechęć rozdeptała obiad.

Zeskoczyła na ziemię. Mąż, zaalarmowany okrzykami, odwracał się od stolika, ciągle jeszcze trzymając w dłoni kubek z kośćmi. Na jej widok błyskawicznie wstał i sięgnął do boku po szablę.

Nie wiedziała, jaki tego wieczoru miała wyraz twarzy. Może się tylko domyślać, że wyczytał w jej oczach wyrok i straszliwą, zimną determinację. Złamał prawa boskie i ludzkie. Sprzedał ją, swoją własną żonę, tureckiemu handlarzowi. Posłał na zatracenie do plugawych haremów wyznawców proroka. Odrzucił i podeptał swoje człowieczeństwo, i oto wybiła godzina zapłaty... Zrozumiał, że ma wybór. Niewielki, ale ma. Może położyć potulnie szyję na pieńku albo spróbować ocalić swoje żałosne, parszywe istnienie. Nie wahał się. Mimo że wypił tego wieczoru już dużo, był bardzo szybki. Zastawiła się, parując szablą zadane z góry uderzenie, i łamiąc wszelkie reguły pojedynku, wpakowała mężczyźnie nóż w bebechy. Aż po rękojeść. A potem pociągnęła w dół. Guzy żupana rozsypały się na wszystkie strony.

Nowoczesna gospodyni w większości przypadków tylko wydaje rozkazy pachołkom i dziewczkom służebnym, ale by dawać instrukcje, trzeba doskonale znać się na rzeczy. We dworze Stanisława miała sporo książek i regularnie uzupełniała bibliotekę. Wie, że wieprze najlepiej patroszyć zgodnie z poradami wyłożonymi w kalendarzach gospodarskich, od mostka po miednicę. Jeśli to knur, trzeba szybkim ruchem urznąć genitalia. I oto nadarzyła się świetna okazja, by wiadomości teoretyczne wypróbować w praktyce...

Karabela wypadła z osłabłej ręki i brzęknęła o kamienne płyty. Jeszcze stał, pochylił głowę, patrząc na rozlewającą się po podłodze kałużę lepkiej krwi. Widziała, jak w jego oczach gaśnie życie, aż wreszcie osunął się na ziemię. Splunęła na trupa i odwróciła się na pięcie.

Aż do teraz napędzała ją nienawiść. Aż do tego momentu żyła w sposób niepełny, redukując swoje plany, koncentrując się wyłącznie na chwili, gdy wymierzy sprawiedliwość. Ale widząc, jak zbity, najeżony szablami tłum oddziela ją od wejścia, rozumiała, że nie wszystko uwzględniła w swoich planach.

Kolana jeszcze drżały z przerażenia, gdy nieoczekiwanie spłynął na nią spokój. Jest córką Jeremiego Kruszewskiego, pierwszego rębajły województwa kijowskiego. Możliwości są dwie. Albo przebijie sobie drogę, albo zginie posiekana na kotlety. W obu wypadkach jest to los lepszy niż stanie na szafocie ze stryczkiem na szyi. Wyrwała zza pasa króćcę i szarpnęła za spust. Rój siekańców powalił najbliższych opojów, otwierając jej wąski przesmyk przez ścianę tłuszczu... Jeszcze nie przebrzmiał huk wystrzału, gdy odrzuciła broń, trafiając przy okazji kolbą w twarz najbliższego przeciwnika. Kopnęła karabełę męża, podbijając ją z ziemi, i chwyciła w lewą dłoń śliską od krwi rękojeść.

Runęła naprzód jak burza. Odbiła pierwsze uderzenia, roztrąciła poranionych panów braci i oto otworzyła się przed nią droga ucieczki. Na stół! Już raz po nim przebiegła, teraz znowu gna, strącając ostatnie kufle, depcząc półmiski z pierogami i mięsiwem, przeskakując nad ostrzami szabli. Żal ścisnął serce Stanisławy, tyle dobrego jedzenia się zmarnuje... Jakiś młodzik zastąpił jej drogę, więc cięła na odlew, pozbawiając ucha. Omal jej nie dopadli, zaklinowali się jednak w wąskim przejściu. Wskoczyła na ulicę, zatrzasnęła drzwi za plecami i zasunęła skobel. Ukryła obie zakrwawione szable pod obszerną delią i czmychnęła w najbliższy zaułek. Nim używając ławy, wyłamali solidne, nabite ćwiekami dębowe deski, była już daleko... I nigdy nie poczuła ani śladu wyrzutów sumienia.

- Więc wiesz, jak to jest z mężczyzną? - zapytał Ihor. - Jak się to u was mówi, iść do łóżka...

- Nie jestem dziewczicą, jeśli o to ci chodzi. Odprężył się lekko.

- Dziewczyna, która znajdzie coś takiego, zaczyna... - Zawahał się na moment, zezując na zarumienioną, nie

wiedzieć czemu, Katarzynę. - Wiecie, jak to jest... - Strzelił spojrzeniem gdzieś w bok. - Najczęściej u kobiety w odpowiednim wieku pojawia się naturalna potrzeba bliskości, zaczyna rozmyślać, snuć erotyczne fantazje, marzyć o przyjemnościach zmysłowych.

- No tak. - Alchemiczka kiwnęła niecierpliwie głową. - To chyba normalne...

- Najczęściej jest tak, że pojawia się ten jeden jedyny, i to trochę jakby przekręcić kluczyk w stacyjce samochodu.

Nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Agentka też się lekko uśmiechnęła, ale słuchała go nadal z uwagą. Czuła, że mimo nieporadności w mówieniu po polsku, ma im do przekazania coś bardzo ważnego.

- Źle powiedziałem? - zafrasował się. - Przepraszam, oglądałem dużo waszej telewizji, ale niewiele miałem okazji, by pogadać...

- Bardzo trafnie - pochwaliła Katarzyna. - Tylko my raczej używamy poetyckich przenośni, a nie technicznych.

- Przepraszam, ale użyję jeszcze jednej. Samochód można uruchomić kluczykiem albo wyrwać stacyjkę i spiąć druty na krótko - powiedział to takim tonem, że momentalnie spoważniały. - Wtedy też pojedzie, ale jakby niezależnie od swojej woli.

- Czyli u dziewczyny, która znajduje coś takiego... - Informatyczka domyśliła się natychmiast. - Uruchamia się...

- Pojawia się to wszystko, co byłoby później, w bardziej stosownym momencie. Zaczyna zachowywać się jak... - Spojrzał wymownie na klacz pasącą się nad strumieniem.

- Rozumiem. - Stanisława powstrzymała kolejne, być może jeszcze bardziej „poetyckie” porównanie.

- I wtedy pojawia się on. Najczęściej przybiera postać przystojnego nieznanego, czasem zabija kogoś, kogo ona zna, i zajmuje jego miejsce. Jeśli długo był uśpiony, zjada mózg zabitego, aby przejąć wiedzę o świecie, o tym, kto jest kim w okolicy. Tak łatwiej ukryć mu się wśród ludzi. Dziewczyna nie zorientuje się, że to obcy. Zresztą znalezisko maci jej myśli. Może wytwarza się też u niej bardzo dużo hormonów, tak że jest pobudzona i oszołomiona jednocześnie. Aż dochodzi między nimi, no wiecie...

- Wiemy - ucieła.

- Tylko że dziewczyna z dnia na dzień słabnie i w końcu, gdy pozwoli się osiąść, umiera. Czasem się zorientuje, jeśli zna tę legendę i skojarzy, co się dzieje. Tylko już nie potrafi się przed żmijem ukryć. Ten odnajdzie ją wszędzie. W każdej kryjówce, nawet jeśli wyjedzie i osiedli się w innym miejscu. Przed nim nie ma ucieczki. Może przebyć i tysiąc kilometrów.

- Czyli on śledzi i odnajduje ją przez ten przedmiot - domyśliła się agentka. - A gdyby się go pozbyć?

- To jedyna szansa. Dlatego pomyślałem, że jakaś dziewczyna tu, we wsi, zorientowała się i wyrzuciła medalion do stawu. Póki leżał na dnie w mule, żmij spał albo polował gdzie indziej. Ale Monika znalazła wisior i zawiesiła na szyi. To go obudziło i skłoniło do poszukiwania.

Milczały, patrząc na wieś. Księżniczka wyszła z dworu, przeciągnęła się leniwie, a potem legła w hamaku. Koń zarżał, domagając się trochę ruchu, ale zignorowała go.

- Wszystko pasuje - powiedziała wreszcie Stanisława. - A gdybyśmy jej zabrali tę błyskotkę i zakopali albo zniszczyli?

- Przez jakiś czas będzie otumaniona, a potem wróci do, nazwijmy to, stanu pierwotnego - odparł. - Ale to nie rozwiązuje problemu.

- To znaczy?

Wyjął z pochwy przy pasku huculski nóż z drewnianym trzonkiem. Przeciągnął w zadumie po przedramieniu, sprawdzając na porastających je włoskach ostrość klingi.

- Jeśli po prostu straci trop, wcześniej czy później dopadnie inną dziewczynę. My jesteśmy świadomi tego, co się dzieje. Kolejna ofiara nie będzie miała żadnych szans. I nikogo, kto mógłby przyjść jej z pomocą.

- Czy jesteśmy w stanie go zabić? - Oczy Katarzyny pociemniały. - Bo chyba trzeba będzie.

Patrzył gdzieś w przestrzeń. Dłoń mocniej zacisnął na rękojeści kozika. Zrozumiały, że ten silny i odważny mężczyzna z trudem stara się pokonać strach.

- Musimy go zniszczyć - powiedział. - Nie ma wyjścia. Inaczej będzie zabijał w nieskończoność. Tak, Monikę też bym zabił, gdyby była prawdziwym wampirem. - Uprzedził niezadane pytanie. - My, górale... - Nie dokończył myśli, ale rozumiały, co chce powiedzieć.

- Jak to zrobimy? - Agentka przeszła do konkretów. - Znasz jakieś pewne sposoby czy tylko legendy?

Skrzywił się.

- Srebrna, poświęcona kula. Tak mówił mój pradziadek. Mam niezły samopał.

- A ja rewolwer i króciąc Alchemika - zadeklarowała dziewczynka. - A także trzy szable.

- Hm, osiem strzałów. Przydałoby się jeszcze coś, nie wiemy, jaką to bydlę ma odporność - rozważała Katarzyna. - Najlepiej byłoby użyć czegoś poważniejszego, seria z kałacha, kule dum-dum. Może nawet i srebrnych trzeba by użyć.

- Jest nas troje. Szkoda, że nasz przyjaciel nie żyje... On wiedziałby, co robić w takim wypadku - westchnęła Stanisława.

- Czworo. Mój brat już wie. Ubezpieczy od strony okna. Na wypadek gdyby to próbowało uciec. Mało nas.

- Znam dwóch łowców wampirów, ale nie zdołamy ich tu szybko ściągnąć. Kto wie, może w ciągu kilku dni...?

- Nie mamy już na to czasu. - Ihor pokręcił głową. - Dziś chyba nastąpi finał.
 - Skąd wiesz? - zdziwiła się agentka.
 - Pawło przypadkiem zobaczył ich wczoraj razem. Powiedzmy, że przekroczyli wspólnie pewną granicę. Ale jeszcze nie ostateczną.
 - Jeśli wymknie się na koniu, nie dogonimy jej - zadumała się Stanisława.
 - Wiem, dlatego pozwoliłem sobie podać klaczy trochę ziółek. Do jutra będzie miała straszliwą sraczkę. A Monikę... Cóż, uwięzimy i użyjemy jako przynęty.
 - Czy to bezpieczne? - zaniepokoiła się Katarzyna.
 - Nie.
 - Życie ogólnie jest niebezpieczne - mruknęła alchemiczka. - Sztuka polega na tym, by unikać zagrożeń, ale jeśli się nie da, to trzeba stawić im czoła.
 Katarzyna popatrzyła w zamyśleniu na pola i łąki, ściany dworu jaśniejące miodową barwą zleżającego drewna. I nagle ten piękny widok stracił cały urok. Kto wie, może już dziś wieczorem przyjdzie zginąć w walce? Może to ostatni dzień jej życia? Także kuzynka, choć dźwiga na karku czterysta lat, poczuła, że nie jest jeszcze gotowa, by podążyć w ślad za swoim mistrzem. A zatem trzeba przeżyć.
 - Jeśli macie jakiś środek nasenny, to dosypcie jej do podwieczorku - zasugerował Ihor. - Im bardziej poczuje się zmęczona, tym chętniej zostanie w domu. On ją i tak znajdzie, a na naszym terenie mamy przewagę.
 - Dobry pomysł - przyznała dziedziczka. - Tylko co? Nie mam żadnych tabletek.
 - W razie czego sam coś spreparuję - zaproponował. - Mak już przekwitł. Znajdę kilka niedojrzałych makówek.
 - Opiaty to straszliwe świństwo. A przy tym mają dość charakterystyczny smak i zapach. Na pewno mam coś bezpieczniejszego - powiedziała agentka. - I dyskretniejszego w użyciu.

* * *

Monika poszła do swojego pokoju. Ziewnęła rozzdzierająco. Ech, ten upał, wykończył ją zupełnie. No i Alchemika szkoda... Odechciało się jej wychodzić z domu. Zresztą, po co? Była pewna, że Paweł przyjdzie tej nocy. Przegrzebała szafę, wyciągnęła paczkę z bielizną. Przejrzała ją. Może to, a może gorsecik? Czy lepiej bez bielizny? Rozebrała się, popatrzyła w lustro, przeciągnęła zmysłowo. Nie, w czerwonym staniku i koronkowych stringach do kompletu będzie wyglądać dużo bardziej kusząco. Jedwabne pończoszki z podwiązkami? Nie, noc jest na to za ciepła... Obejrzała się krytycznie raz jeszcze. Uchyliła okno, położyła się na koldrze. Ziewnęła. Przed północą chyba się nie zjawi, zatem można się odrobinę zdrzemnąć.
 Jeszcze na wpół śpiąc, poczuła przy sobie czyjąś obecność. Dłonie dotknęły jej przegubów, potem kostek. Hm, przywiązał ją do słupków łóżka miękkimi, jedwabnymi szarfami. Wspaniale, taka odrobina perwersji. Coś jak wykwinny gwałt w królewskiej sypialni...
 - O, taaak - szepnęła.
 - Przykro mi, nie tym razem - mruknął Ihor. - Zresztą potem też chyba nie, mam już narzeczoną. Chyba by się jej nie spodobało.
 Otworzyła oczy i szarpnęła potężnie. Kostki i przeguby zapiekły ją żywym ogniem. Spojrzała zdezorientowana. Cienkie krajki z kolorowych nitek, jakiś huculski wzór... Targnęła raz jeszcze.
 - Daruj sobie - odezwał się. - Są nie tylko poświęcone, ale i zaplecione w odpowiedni sposób.
 - Ty! - Nabrała w płuca haust powietrza i wyrzuciła z siebie stek najstraszliwszych bałkańskich przekleństw. Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, chciała miotnąć kolejną wiąchę, otworzyła usta, ale zręcznie ją zakneblował.
 - Ręcznik do ikon - powiedział życzliwie. - Nie próbuj przegryźć, bo tylko sobie poharatasz ssawkę.
 - To dla twojego dobra. - Rozległo się od strony drzwi.
 Odwróciła głowę.
 - Mmmmm, mmm, mmm! - Knebel działał bez pudła.
 Stanisława mogła się tylko domyślać, co jej przyjaciółka chce wyrazić.
 - Może zabrać jej ten medalion? - zasugerowała Katarzyna. - Jeśli to jej odbiera rozum...
 - Żmij poczuje, że coś się zmieniło, i może się spłoszyć. - Ihor pokręcił głową.
 - To może chociaż wstrzyknę jej...
 - Lepiej, żeby była przytomna - zaprotestował. - Niech patrzy, mniej będzie trzeba jej potem tłumaczyć. Sama zrozumie, co się stało.
 - Mmmm!
 Stanisława wyjęła wampirce kłęb materiału z gardła, ledwo zdążyła zabrać rękę, księżniczka próbowała chlasnąć ją ssawką.
 - Czego ode mnie chcecie? - zapytała Monika.
 W jej głosie pobrzmiwało rozgoryczenie. Była już całkowicie spokojna. Ale nie dali się nabrać na jej niewinne minki.
 - Medalion - powiedziała Stanisława. - Ten drobiazg wyprał ci mózg. Zepchnął myśli na ścieżki, którymi nie powinny podążać. Uśpił rozum, a rozbudził instynkty.

- Doprawdy? Nie zauważyłam - prychnęła. - Wszystko jest w normie.
- W normie? A na przykład twój strój, bardziej adekwatny do lupanaru niż do panińskiej sypialni w szlacheckim dworze? - zapytała alchemiczka. - Szkoda, że nie możesz się zobaczyć w lusterku.
- Nie wnिकamy, z kim się zadajesz w wolnych chwilach - powiedziała Katarzyna. - Jesteś dorosła, nic nam do tego. Tylko po pierwsze, rzucono na ciebie urok, po drugie, twój, nazwijmy to, „chłopak” nie jest człowiekiem...
- Jak to nie? - syknęła. - Student, i do tego jaki fajny... W życiu takiego nie zdobędziecie. - Popatrzyła na nie z wyższością. - Trzeba mieć odpowiednią urodę i figurę, żeby takiego wspaniałego mężczyznę...
- Pomyśl na spokojnie - poradził Ihor. - Czy kiedykolwiek przez ostatni tysiąc lat miałaś ataki zwierzęcego pożądania, tak silne, by iść do łóżka z pierwszym lepszym?
- On nie jest pierwszy lepszy! Zresztą, czasy się zmieniają. Teraz wiele zachowań, które dawniej były zakazane, traktowanych jak naturalne potrzeby fizjologiczne, takie jak sen czy oddychanie... Rozwiążcie mnie! - Szarpnęła raz jeszcze sznurki, a potem nieoczekiwanie wybuchła długą tyradą złorzeczeń po serbsku. Rozumiały piąte przez dziesiąte. Gdy doszła do teorii na temat ich odmiennej orientacji płciowej, alchemiczka zakneblowała ją znowu.
- Nieźle ją wyróciło na drugą stronę - westchnęła.
- To przejdzie - uspokoił ją Ihor. - Dobrze, że zorientowaliśmy się tak szybko. Ile czasu to nosi? Nieco ponad tydzień? Gdy tylko medalion zniknie, jej dusza się uspokoi.
W kieszeni górala zapikał telefon komórkowy.
- Zaczyna się.
Narzucił Monikę kocem. Stuknęła przystawiana do ściany drabina. Zatrzeszczały szczeble. Stanisława położyła dłoń na kolbie nagana. Katarzyna podsypała prochu na panewkę króciicy. Byli gotowi.
Student wskoczył do pokoju jednym zgrabnym ruchem. Podkrał się na palcach do łóżka. Nie spostrzegł w ciemności pułapki, a instynkt od razu nakierował go w stronę ofiary.
Nie mieli czasu tego przećwiczyć, ale zgrali się idealnie. Ihor zatrzaskał okno, wieszając na klamce kamień na rzemyku. Stanisława wycelowała w intruza rewolwer, a Katarzyna zapaliła światło. Żmij stał przez chwilę, mrużąc oczy, i ponuro lustrował wnętrze pomieszczenia. Cofnął się o krok w stronę okna, ale najwidoczniej amulet zadziałał, bo chłopak zawył z bólu i wrócił na środek pomieszczenia.
- Jak widzę, moja mała przyjaciółka ma opiekunów - mruknął bardziej do siebie niż do nich. - Dobrze. Wasze na wierzchu. Oddajcie mi medalion i odchodzę. A to dla was jako odszkodowanie. - Cisnął na nocną szafkę pękatą sakiewkę. - Zgodnie z tradycją zostawiam dziewczynę w spokoju i idę swoją drogą...
- Przykro mi, ale mamy inne plany - powiedziała Stanisława. - Poza tym jesteśmy w Polsce, a nie na Ukrainie, i siłą rzeczy, wasze tradycje niewiele nas obchodzą. Zwłaszcza takie, które są sprzeczne z naszymi. Twoja droga tu właśnie się kończy.
Zrozumiał natychmiast. Skoczył ku drzwiom, szarpnął za klamkę, urwał. Katarzyna pociągnęła za spust. Króciica Alchemika to istna armata, kopnęło, żeomal nie złamała sobie ręki. Huk ogłuszył wszystkich obecnych, chmura prochowego dymu zasnuła wnętrze szarym welonem. Ale strzelała z odległości najwyższej metra, trafiła go precyzyjnie, w środek klatki piersiowej. Sądząc z rozbryzgu na ścianie, kula przeszła na wylot. I to nie byle jaka kula. Kaliber siedemnaście milimetrów, ołów z odrobiną rtęci.
Malarz popatrzył zdumiony na wielką dziurę w swoim mostku, a potem, zataczając się, skoczył w stronę okna. Poszarpana na plecach kurtka szybko nasiąkała krwią. Agentka chwyciła w zęby drugą kulę, sięgnęła po prochownicę i sprawnymi ruchami zaczęła ponownie nabijać broń.
Stanisława bez mrugnięcia okiem wpakowała mu w plecy siedem nabozi z nagana. Żmij zachwiał się, przykląkł na moment, ale wytrzymał i to. Z trudem, podpierając się rękoma, znowu stanął na równe nogi. Sięgnął jakby na oślepię, odnalazł amulet i próbował zerwać go z klamki. Z dłoni strzelił mu płomień. Cofnął się, sycząc, i popatrzył zaskoczony na zwęgloną aż do kości skórę. Rzucił okiem w stronę drzwi. Katarzyna ubiła przybitkę. Stanisława rzuciła rewolwer na podłogę i dobyła z pochwy szablę po Alchemiku. Dziewczęta odgradzały chłopaka od drzwi. Parsknął wściekle, krew płynęła mu z kącika ust, lała się strumieniami po plecach.
Jeszcze najwyższej minuta, dwie, i się wykrwawi, pomyślała Katarzyna.
Stwór spojrział z stronę łóżka. Monika szarpnęła się potężnie w więzach.
- Durnie! - zawył.
Agentka poczuła, jak opuszczają ją siły. Lufa króciicy stała się nagle przerażająco ciężka. Zrozumiała, co się dzieje. Wysysa ich!
- Gównol! - wrzasnęła i pociągnęła za spust. Uderzenie kuli rzuciło żmija do tyłu. Tym razem trafiła go w biodro. Ale ciągle stał, opierając się na drugiej nodze.
- Nie tacy próbowali - wybełkotał, ale widać było, że długo już nie pociągnie. Góral podszedł kocim krokiem i wypalił wrogowi między oczy ze swojego samopału. Srebrną, poświęconą kulą... Strzępki mózgu, kawałki włosów i kości wraz z pociskiem uderzyły w szyby, wyrwały je i bryznęły w ciemność. Stasia podskoczyła i pchnęła żmija swoją batorówką. Ostrze weszło głęboko i przyszpiliło go na moment do ściany.
Ale to już nie było potrzebne. Stwór padł na kolana, a potem runął na twarz. Dziedziczka jednym uderzeniem szabli odrąbała mu głowę. Ihor pochylił się nad księżniczką i zerwał jej medalion z szyi. Położył na parapecie

okna i z rozmachem uderzył kolbą swojej spluwy. Kamień rozprysnął się na drobne odłamki.

- Można ją już uwolnić? - zapytała agentka.

- Poczekajmy ze dwadzieścia minut - polecił. - Musi trochę ochłonać...

Wreszcie dał znak. Katarzyna odwiązała przyjaciółkę. Księżniczka usiadła na łóżku, popatrzyła zdumiona na swój nader skąpy strój, a potem, czerwona jak jej stringi, chwyciła wiszący opodal szlafrok i otuliła się.

- Co ja...? - wykrztusiła. - On?

- Nie on, to - mruknął cieśla, odsłaniając jej widok.

Stworzenie leżało w kałuży krwi. W kącie spoczywała dziwna głowa, ni to gada, ni to płaza. Skórę tułowia pokrywały brodawki jak u ropuchy, miał błony pławne pomiędzy palcami niby dłoni. Szóstym zmysłem wyczuli, że ten stwór był stary, bardzo stary. Może chodził po ziemi, jeszcze zanim ze stepów nad Dniestrem wyruszyły pierwsze grupy słowiańskich wojowników?

- Co dalej? - zapytała Katarzyna. - Zachowujemy próbki do badań naukowych czy..?

- Spalić! - Jej kuzynka i góral byli jednomyślni.

Zawinęli ciało w kawał brezentu. Ihor zniósł makabryczny pakunek na dół. Szybko zbudowali stos. Pawło pozbiierał w miarę dokładnie resztki szyby. Wreszcie można było podłożyć ogień. Zewłok palił się z trudem. Stali i patrzyli milcząco w płomienie. Nieludzkie zmęczenie powoli ich opuszczało.

- Co wiecie o tych istotach? - zapytała agentka.

- Chyba nigdy nie było ich wiele - powiedział Ihor. - Może ten był ostatni? Miejmy nadzieję. Nigdy nie spotkałem żadnego, dlatego tak późno się zorientowałem. Co innego wiedzieć o czymś, a co innego zobaczyć to na własne oczy. Można powiedzieć, ocknąłem się w ostatniej chwili...

- Ale jak sądzicie, co to było? - odezwała się Katarzyna. - Jakiego rodzaju stwór?

- Diabelski pomiot. - Kuzynka zaskoczona przechyliła głowę.

- A może jakiś kosmita? Wyglądał cholernie dziwnie, jak twór innej ewolucji, człekokształtny, ale na bazie gada albo płaza... Dinozauroid, można powiedzieć. Szkoda, że Alchemik nie żyje, miał doktorat z biologii - westchnęła. - On z samego wyglądu zewnętrznego sporo by wydedukował... Kurczę, może trzeba było jednak poświęcić z godzinę i zrobić sekcję tego czegoś?

- Nie masz innych zmartwień? - prychnęła Stanisława. - Co za różnica? Poszedł do piachu i po kłopocie. Deski z podłogi, te zakrwawione, wyłomie się i też spali. I można spać spokojnie.

- Możemy założyć dwie ewentualności - powiedziała Katarzyna. - Pierwsza, która wydaje wam się zupełnie oczywista. Demon, pomiot diabła, byt, że się tak wyrażę, magiczny. Ubiliśmy czorta, chrześcijaństwo zwyciężyło nad służą ciemności i tak dalej.

- A druga ewentualność? - Góral popatrzył na nią bardzo uważnie.

- Jest gorsza. Naukowa. To, co zgładziliśmy, istniało w sposób realny. Inna biologia. Spadło z kosmosu albo wyewoluowało na Ziemi. Może wlaźło tu z wymiaru, w którym meteoryt nie uderzył i dinozaury miały swoją szansę, a może po prostu zmutowało się?

- Istniały wcześniej niż awaria w Czarnobylu... - Alchemiczka zdobyła się na uśmiech.

- A po co Czarnobyl? Na Ukrainie są złoża uranu.

- Ona ma rację - potwierdził Ihor.

- Pal diabli, skąd się wzięło. Niechby i wypełzło z laboratoriów KGB. Talizman zadziałał, zatem miał pewien potencjał magiczny, prawda? - Alchemiczka straciła część pewności siebie.

- Owszem - potwierdził cieśla.

- Ale, jak Monika, podlegał częściowo prawom przyrody. Był materialny. Krwawił. Zdołaliśmy go zabić bronią niemagiczną. Ogień trawi jego tkanki. Odżywił się, choć w bardzo wyrafinowany sposób... I w związku z tym gryzie mnie pytanie. Jak takie bydlę się rozmnaża? - Katarzyna wpatrzyła się w płomienie.

Popatrzeli po sobie.

- Nasze legendy nic o tym nie mówią - bąknął Ukrainiec. - Takie stwory istnieją i tyle.

- To, co widzieliśmy, było złudzeniem. Bardzo dokładnym złudzeniem. Imitował nie tylko wygląd i zapach człowieka, ale pewnie także wrażenia dotykowe. Gdy umarł, zobaczyliśmy jego prawdziwą postać. Wspominałeś, że czasem zabija kogoś, kogo dziewczyna zna, i zajmuje jego miejsce...

- Co sugerujesz? - zapytała Monika. - Nie znałam go wcześniej. A już po pierwszym kontakcie czułam zmęczenie. Od początku kradł mi energię, więc przez cały czas to była ta istota.

Nawet nie zauważyli, kiedy nadeszła. Była już ubrana i chyba trochę doszła do siebie.

- Kim on był? Jak go poznałaś?

Opowiedziała o wizytach w sąsiedniej dolinie, a potem w Krakowie. Słuchali uważnie.

- Tych obrazów było dużo? - zapytała agentka.

- Kilkadziesiąt.

- Nie zdążył ich namalować sam - mruknęła. - Znalazł jakiegoś malarza, zabił go i skopiował wygląd. Zajął jego miejsce i przejął dzieła. A może i talent?

- Pokazywał mi, jak się maluje - potwierdziła księżniczka. - A sama widziałam, z jaką wprawą szkicuje. Znałam w życiu kilku artystów. Miał talent. Nieprawdopodobny.

- O ile nie okaże się, że to tylko kupa zagruntowanych blejtramów, a wszystkie dzieła były wytworem twojego oszołomionego umysłu - zasugerował Ihor.

- Musimy pojechać do Krakowa - zdecydowała agentka. - I to teraz, zaraz.

- Po co? - zapytała Stanisława.

- Chcę zobaczyć jego pracownię.

- Masz głowę na karku - pochwalił cieśla.

- Ale po co? - powtórzyła alchemiczka.

- Tak sobie pomyślałam. Może za dużo filmów się naoglądałam, ale jeśli w zwłokach malarza złożył na przykład jajka, trzeba się tym zająć.

Stanisława zrobiła minę, jakby zaraz miała zwymiotować, ale kiwnęła głową. Pawło został pilnować ognia i domu, a oni zapakowali się we czwórkę do samochodu i pomknęli szosą na Kraków.

Odnalezienie właściwej bramy nie zajęło księżniczce dużo czasu. Wdrapali się na poddasze. Drzwi zamknięte były na klucz, ale agentka bez trudu sforsowała niezbyt wymyślny zamek. Stanisława wyjęła rewolwer i jednym kopnięciem otworzyła drzwi. Pusto, cicho, martwo. Monika zapaliła światło.

Jej akt stał ciągle na sztalugach. Zmij nie zdążył go dokończyć, pozostały niedomalowane partie tła, ale i tak wyglądał bardzo dobrze. Zaczewieniła się jak burak.

- Fiu, fiu. - Alchemiczka rzuciła wzrokiem na obraz. - Rękę to bydlak jednak miał niezłą... Rewelacja. W życiu nie miałam tak świetnego portretu. Choć, z drugiej strony, aktów nikt mi nie malował...

- Spalmy to - bąknęła Monika.

- Szkoda by chyba było - droczyła się jej przyjaciółka. - To jednak wspaniałe dzieło sztuki, które za kilkaset lat będzie równie znane jak „Narodziny Wenus”.

- Raczej „Maja naga” - mruknęła agentka. - Masz tu, moja droga, wyraz twarzy, jakbyś się wybierała pod latarnię... Albo dopiero co spod niej wróciła. Chyba faktycznie trzeba to będzie spalić. Lub chociaż uśmiech przemalować. Poza tym takie dzieło powinno nieść w sobie zapowiedź jakiejś tajemnicy, a tu wszystko czarno na białym, jak w podręczniku ginekologicznym...

- E, niezupełnie - zaprotestowała wampirzyca. Humor już jej wracał. - Te z podręcznika pewnie nie mają „futerka” wystrzyżonego na kształt serduszka... Ale to sam wymyślił - dodała szybko.

Ihor syknął na nie ze złością. Momentalnie przypomniały sobie, po co tu przyszły. Kolejne drzwi. W łazience pusto. W kuchni powitała ich dziwna, słodkawa woń. Monika i Stanisława rozpoznały ją natychmiast. Gdzieś tu leżą zwłoki... Rozejrzały się. Pomieszczenie wyglądało zupełnie zwyczajnie, tylko jedna ściana była częściowo skośna.

Meble też nie przykuwały uwagi, trochę starych szafek, elektryczna kuchenka, archaiczna lodówka, stół nakryty sięgającą prawie do ziemi ceratą... Pod stołem ludzki szkielet.

- Wylizany do czysta - mruknął góral. - Znaczy, ścierwo nie tylko energię życiową pobiera, ale i mięskiem nie gardzi. Tylko chrząstki i stawy zostały...

Agentka podczas szkolenia widywała na zdjęciach nie takie rzeczy, ale z trudem powstrzymała torsje. Jej kuzynka i przyjaciółka patrzyły na znalezisko spokojnie i bez emocji. Nieraz widywały gorzej sponiewierane ciała. Dwa kolejne kościotrupy odkryli w schowku pod połacią dachu. Wyglądały na „świeższe”.

- Kobiecte - oceniła Katarzyna. - Musiał polować całymi dniami... W każdym razie nie byłaś jedyną ofiarą, którą sobie upatrzył. - Spojrzała na księżniczkę.

- Nie wiadomo, ile lat przebywał w uśpieniu. - Ihor rozejrzał się wokół. - Mógł obudzić się bardzo głodny. Ale jeśli powrócił do naszego świata dzięki kamieniowi, to sądzę, że Monika miała stać się najważniejszym... daniem. Długo ją, że się tak wyrażę, przyprawiał. Tak czy inaczej, od tej strony nic nam już chyba nie grozi. I pewnie sporej garści kobiet uratowaliśmy życie.

- A więc tego uniknęłam - szepnęła Monika, patrząc na garść białych kości.

- Uhum... - mruknęła agentka. - Wciąż nie wiemy, jak się rozmnaża.

- Sądzisz? - Ihor zerknął na księżniczkę zaniepokojony.

- Nie, do kontaktów seksualnych nie doszło, więc raczej jej nie zapłodnił. Ale myślę, że na wszelki wypadek trzeba będzie zrobić tomografię całego ciała Moniki i komplet analiz. A gdzieś za miesiąc powtórzyć. Do lodówki woleli nie zaglądać.

* * *

Monika, milcząco, zeszła na śniadanie. Siadła przy stole i długo tkwiła ze wzrokiem wbitym w obrus. Wreszcie z trudem zmusiła się, by popatrzeć na przyjaciół.

- Nawet wam jeszcze nie podziękowałam... I nie przeprosiłam.

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się Stanisława. - Przeszłaś bardzo ciężką próbę. I nie byłaś sobą.

- Jeśli to był egzamin, to oblałam. - Znowu spuściła wzrok. - Nie mogłam się oprzeć. Nawet o tym nie pomyślałam.

- Nie wiemy, czy ktokolwiek jest w stanie przełamać ten czar. - Ukraińiec wzruszył ramionami. - W każdym

razie nie słyszałem nigdy o takim przypadku. Myślę, że zrobiłaś to, co było w twojej mocy. U nas legendy podają dwa wyjścia...

- Wyrzucić amulet, o tym już opowiadałeś - przypomniała agentka. - A jakie jest drugie?

- Jeśli ojciec lub bracia dziewczyny go przyłapią, wtedy daje okup i odchodzi... Chyba że nie dadzą się przekupić i walczą do upadłego, tak jak my.

- Okup... Zostawił coś przecież!

Stanisława wstała od stołu i po kilku minutach wróciła z pękatą, skórzaną sakiewką, którą żmij rzucił poprzedniego wieczoru na szafkę. Rozsupłała rzemyk i wysypała zawartość na ścierkę. Błysnęło złoto. Krążki były cienkie, wielkości mniej więcej złotówki. Na awersie wybito postać człowieka trzymającego pęk strzał. Po drugiej stronie herby lub napisy...

- Złote holenderskie dukaty - zidentyfikował Ihor. -Siedemnastowieczne. Będzie ze dwieście sztuk albo i lepiej.

- Przybył z Niderlandów? - zaciekała się Katarzyna.

- Niekoniecznie. - Stanisława pokręciła głową. -W czasach mojego dzieciństwa często się ich używało w Rzeczypospolitej. Docierały jako zapłata za nasze zboże eksportowane do wiecznie głodnej Europy Zachodniej.

Podzieliła monety na dwie kupki i jedną podsunęła Ihorowi. Mocno się wzbraniał, ale w końcu przyjął podarunek.

- Dlaczego? - zapytała Monika. - Przecież miał tyle okazji, żeby mnie posiąść i zabić. Tyle razy chciałam. Byłam gotowa mu się oddać. A on sprawiał wrażenie jakby... Jakby w ogóle o tym nie myślał. Jakby był obojętny. Widział mnie naga, pozowałam mu do obrazu. Mówiłeś wczoraj coś o przyprawianiu? - Spojrzała na cieślę.

- To proste. Udawał. To, czym żywi się to bydło, to energia, nie tylko życiowa, ale i seksualna. Pewnie gwałcił cię i mordując, zaspokoiłby swoje potrzeby. Tak zapewne robił w innych przypadkach. Ale teraz widać wolał, żeby napięcie wezbrało w tobie jak rzeka zagrodzona tamą. Żeby móc przejąć to w postaci wyładowania potężnego jak grom. Zaspokajał potrzebę zabijania, mordując inne, a ciebie... Hm, można powiedzieć, tuczył sobie powolutku na niedzielny obiad.

- Jak ja spojrzę w oczy Laszlo... - szepnęła i znowu spuściła głowę.

Łzy kapały na haftowany obrus. Katarzyna objęła ją ramieniem.

- On zrozumie - powiedziała.

Epilog

Trudno ocenić, co stwierdziła komisja badająca sprawę wybuchu w forcie. W opublikowanym oświadczeniu winę zwalono na jednego z zaginionych pracowników, który miał doprowadzić do rozszczelnienia cysterny z gazem. W epicentrum nie znaleziono żadnych śladów ludzkiej tkanki, siła eksplozji i temperatura całkowicie unicestwiły szczątki zarówno Sędziwoja, jak i członków Bractwa Drugiej Drogi. I w sumie dobrze. Tradycji stało się zadość. Prawdziwie wielki alchemik nie powinien mieć grobu.

Z drugiej strony, pamięć tak wybitnego człowieka jakoś trzeba uczcić.

Katarzyna odwiedziła hurtownię materiałów budowlanych, nabyła kilkusetkilogramowy blok granitu. Kamieniarze z warsztatu przy Cmentarzu Rakowickim zeszlifowali jeden bok i szybkoobrotowym diamentowym frezem wykonali napis.

To była krótka uroczystość. Stanęli w piątkę na szczycie wzgórza pod krzyżem. Stanisława sypnęła na ziemię garść ceglanego pyłu z ruin fortu. Ihor, Pawło i Monika, sapiąc z wysiłku, umieścili głaz na miejscu. Pomodlili się jeszcze i zapalili znicz. Przy najbliższej okazji zamówią jeszcze mszę za jego duszę. Napis na kamieniu był krótki i lakoniczny:

MICHAŁ SĘDZIWÓJ Z SANOKA
ALCHEMIK

Dat nie umieszczały, nie było takiej potrzeby, zresztą i tak nikt by nie uwierzył.

- Przeżył tyle lat i dał się zabić... - westchnęła Katarzyna. - Dlaczego? Dlaczego teraz? - wyrwało jej się. - To niesprawiedliwe!

- Myślę, że kto jak kto, ale on może być zadowolony - powiedziała Stanisława. - Dobrze wykorzystał dany mu czas. Był prawdziwym mężczyzną i prawdziwym człowiekiem. Kochał, walczył, tworzył i chyba przez większość swoich dni był szczęśliwy. Oddał życie, likwidując jednocześnie bandę prawdziwych bydlaków, więc nawet jego śmierć nie poszła na marne. No i zostawił po sobie masę prac naukowych, choć zazwyczaj nie podpisywał ich własnym nazwiskiem.

- Ale ja... - Głos jej kuzynki załamał się. Wybuchnęła szlochem.

Długo nie mogła dojść do siebie.

- Zostawił nam to. - Stanisława dobyła z pochwy szablę. - Najbardziej zdumiewający przykład broni białej, jaki istnieje na naszej planecie.

- Dobry płatnerz w wykonaną przez siebie broń zaklina część swojej duszy - powiedziała Monika. - Tak mówią nasze legendy. Jeszcze za tysiąc lat każdy, kto weźmie to do ręki, będzie mógł tylko pochylić głowę w hołdzie jego umiejętnościom... Może to znak dla ciebie? - Popatrzyła na Katarzynę. - Znak, abyś poszła jego drogą?

- Co masz na myśli?

- Ani ja, ani Stanisława nie jesteśmy intelektualistkami. Trwamy, ale nasze istnienie jest raczej jałowe. Nie poszerzamy granic ludzkiego poznania. Ty ze swoją lotną inteligencją możesz kontynuować jego badania.

Zerwał się porywisty, wschodni wiatr.

- Na nas już pora - powiedział Ihor. Zrozumiały, że to pożegnanie.

- Zostańcie - poprosiła Stanisława. - Widzisz, ile tu jest roboty, sama sobie nie poradzę.

- Wasz pobyt jakoś zalegalizujemy - dodała Katarzyna, ocierając oczy. - Mam swoje dojsčia.

Pokręcił głową.

- To wasza ziemia, a ja muszę wracać do siebie. Wiele się nauczyłem od Anzelma, pora wykorzystać tę wiedzę w praktyce i pogospodarzyć na swoim. Ale za rok z przyjemnością wpadniemy znowu na kilka tygodni. Gdyby były jakieś prace wymagające udziału zręcznego cieśli...

- Wiosną będziemy stawiać chaty dla letników - rzuciła agentka.

- Zatem przyjedziemy w październiku przygotować drzewo, przez zimę je wyleżakujemy i gdzieś w maju weźmiemy się do roboty - zaproponował. - Zostawię wam numer telefonu jakby co. I adres poczty elektronicznej, ale zaglądam do skrzynki mniej więcej raz na tydzień. Więc jak coś pilnego, to raczej dzwońcie.

* * *

Rozpoznała go po sylwetce. Stał na przełęczy, patrząc na wieś. Zauważył je i pomachał ręką. Pobiegła do domu, porwała cugle wiszące w sieni. Złapała klacz, dosiadła na oklep i co koń wyskoczy pomknęła chłopakowi na spotkanie. Zeskoczyła i bez słowa, łkając, padła mu w ramiona. Laszlo objął Monikę i długo jej nie wypuszczał. Wreszcie odsunęła się zawstydzona.

Był zmęczony, wychudł, ale jego oczy płonęły jak dawniej, a na wargach wykwitł uśmiech. Ciężkie buty pokryte miał pyłem, spodnie przetrwały się na szwie. Pod spraną, płócienną koszulą zagrały mięśnie.

- Księżniczko... - Uśmiechnął się. - Wróciłem do ciebie.

- Ja... - Chciała od razu wszystko z siebie wyrzucić.

- Wczorzem siądziemy przy kominku i na spokojnie opowiesz mi, co tu się działo. - Przytulił ją i pocałował w policzek. - A ja wiele się nauczyłem przez te tygodnie.

- Ja... Och. Jakie masz plany?

- Wpadłem tu tylko na dzień, może dwa. - Spowaźniał. - Mamy tam nieprawdopodobnie dużo pracy. Będę musiał...

- Chcę jechać z tobą! Pomogę wam. Znam języki, te żywe i te dawno zapomniane, jestem silna i dobrze widzę w ciemności. Umiem walczyć i zabijać. Na pewno nie sprawię wam kłopotu!

Uśmiechnął się i kiwnął głową. Wskoczył z gracją na siodło, posadził przed sobą dziewczynę i lekko ściągnąwszy cugle, pogalopował przez wioskę.

* * *

Jest wczesny ranek. Dolina zmieniła się przez ostatnie kilka tygodni prawie nie do poznania. Na wzgórzu, górując nad wsią, stoi krzyż. Nieco niżej jaśnieją grube belki szlacheckiego dworu. O rzut kamieniem stoi kilka mniejszych budynków gospodarskich. Słońce odbija się w świeżo umytych szybach. Opadający ku południu stok został oczyszczony z chwastów i skopany. Wiosną dziewczęta przesadzą tu krzewy pigwy i derenia. Obok zmieści się nieduża winnica i nowy sad. Wiele jeszcze trzeba zrobić. Poprawić drogę, wyburzyć baraki i zrujnowane budynki dawnego PGR-u, wznieść na ich miejsce estetyczne chaty dla tubylców i letników. Oczyszczyć koryto rzeczki, na młynówce umieścić turbiny. Sam młyn też warto odbudować, będzie się ładnie prezentował. Kowal, którego znalazła Monika, ma przyjechać następnego dnia. Jedna z szop zostanie zaadaptowana na kuźnię. Dobry stolarz też będzie niebawem na miejscu.

Dolina pochłonie jeszcze masę pieniędzy, ale ważniejszy jest wysiłek, praca, którą trzeba będzie włożyć, by majątek mógł nadrobić pół wieku zaniedbania. Pomysły Katarzyny są dobre i powinny przynieść konkretne owoce. Pegeerowcy już wstali, trą zaczerwienione z niewyspania oczy, klną na ciężkim kacu, ale powoli biorą się do roboty. Na razie praca ich przeraża, ale za miesiąc przywykną, za rok może polubią? Dziś czekają ich dwie niespodzianki. Po pierwsze, dostaną wypłatę. Po drugie, Stanisława poczęstuje ich winem. Alchemiczka jest podstępna jak zmija. Odrobina tynktury zmieszana z pospolitym jablem daje ciekawy efekt. Każdy, kto się tego napije, przez długie miesiące będzie czuł wstręt do alkoholu.

Katarzyna przywozła z Krakowa skrzynkę pełną zeszytów oraz oprawnych w skórę ksiąg z notatkami Alchemika. Usiadła w swoim pokoju przy oknie i otworzyła najstarszą z nich. Obiecała sobie, że przeczyta wszystkie, pozna sposób myślenia tego wielkiego człowieka, który, choć odszedł, pozostawił ogromną spuściznę. Wczoraj zajrzała do ostatniego kajetu, znalazła tam gąszcz skomplikowanych wzorów i wyprowadzeń. Wygląda na to, że mistrz przez ostatnie lata zajmował się antygravitacją. Agentka nie wie jeszcze, do jakiego etapu dotarł, ale czuje, że jeśli pójdzie dalej jego drogą... Zamrugła powiekami, powstrzymując łzy cisnące się do oczu, i zaczęła czytać:

Warszawa,

24 października, anno domini 1624

Zaraza w mieście czyni bardzo szybkie postępy. Wraz z Łukaszem Drewno znowu prace medyczne Benedykta Solfy, Petrycego i innych dziś czytaliśmy. Powietrze jako źródło moru wykluczam. Chorobę ludzie sobie wzajemnie przekazują, w sposób dotąd niewyjaśniony. Zaobserwowałem, iż z rozciętych guzów szyjnych krew bardzo zepsuta ciecz. Zatem jakieś czynniki istnieją, jeden, który sprawia, że mięso zabitych zwierząt gnije, i drugi - podobny, zjadliwszy bardziej, który w żywym ciele podobne spustoszenia uczynić może. Mniemam, iż może to coś na podobieństwo robaków być, jednakowoż nieskończenie małych, których ni okiem naszym, ni przez lupę niepodobna dostrzec...

Monika leży zwinięta w kłębek, nakryta cienkim pledem. Już nie śpi. Spakowany plecak spoczywa w nogach łóżka. Schody wiodące na poddasze skrzypią. Za kilka sekund Laszlo stanie w drzwiach, uśmiechnie się do niej i powie:

- Wstawaj, księżniczko. Pora ruszać w drogę.

Koniec